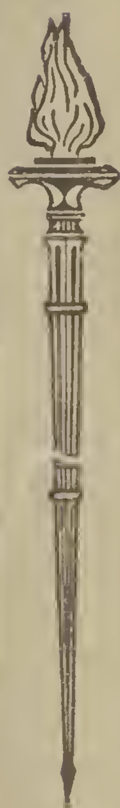


SPRAWA POLSKA
w Ameryce Północnej

na pierwszym Zjeździe Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich w Syracuse, N. Y. w dniach 2 i 3 października 1911 r.







CHICAGO, ILL.
Drukiem W. Dyniewicz Pub. Co.
1912.

Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy Polskich w Ameryce Północnej.





SPRAWA POLSKA
w Ameryce Północnej

na pierwszym Zjeździe Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich w Syracuse, N. Y. w dniach 2 i 3 października 1911 r.





CHICAGO, ILL.
Drukiem W. Dyniewicz Pub. Co.
1912.

SŁOWO WSTĘPNE.

Młode Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy Polskich w Ameryce Północnej — powstałe przed pół rokiem zaledwo, na wezwanie kilku odosobnionych — głuszonych niewiarą, sarkazmem i złą wolą — głosów, przetrwało zwycięsko pierwszy, niebezpieczny okres formowania się i ustalania podstaw swego bytu, w które weszły nakazy i prawdy najwyższego dla nas znaczenia. Drobne grono pierwszych Założycieli, poruszających się ostrożnie i nieśmiało wśród splątanych stosunków naszego wychodźtwa, wśród chaosu prądów, dążeń, walk, zgrzytów i skłębień naszego życia narodowego — miało przed sobą jedną jasną, ściśle określoną wytyczną: złączyć w jedno działalność całej tu inteligencyi piszącej, powiązać usiłowania ich jednym wspólnym, wysokim celem, położyć — jako fundament pracy — istotne dobro polskiego ludu na wychodztwie — na sztandarze swym wypisując — czyn.

Zamęt i chaos naszego polskiego życia, rozpanoszenie się walczących i spychających się wzajem partyi, panoszenie się głośnego frazesu, pustych, szumnych słów bez treści, a jednocześnie brak kardynalny w życiu moralnych podstaw działania, rozumnego sądu i powagi kierującej opinii ogółu, — nakazywały chwycić się, dla uzdrowienia tych opłakanych stosunków wychodztwa, środków ratunkowych — obwołać łączną akcyę wśród społeczeństwa czynników najbardziej świadomych, wyrobionych i czystych — jednostek, trzymających dłoń na pulsie narodowego życia, poczuwających się jednocześnie do wysokiej odpowiedzialności moralnej i powagi narodowych zadań.

Akcyę tę miało odwagę podnieść wśród naszego społeczeństwa młode Towarzystwo Lit. i Dzien. Pol. w Ameryce Północnej, — obwołując konieczność zrzeszenia przedewszystkiem

pracowników pióra, ludzi niosących kierowniczą służbę w społeczeństwie, zdających sobie najjaśniej sprawę z potrzeb i dążeń, nurtujących całość naszego tu życia.

Wołanie — podjęte z wiarą niezłomną w konieczność porozumienia się, moralnego dźwignięcia, zespolenia w prąd jeden rozstrzelonych, a nielicznych sił polskiej myśli i ducha, wołanie — podjęte w głębokiem poczuciu obowiązku świętego względem polskiego ludu, w imię hasła naczelnego — jedności narodu — znalazło oddźwięk rosnący w piersi braci piszącej, tęskniejącej duszą do ideałów życia wysokich, ale przez to życie, przez los twardy, oporny, łamiący kaleczonych, demoralizowanych nieraz. Nikogo chyba z dzieci swych, tak ostro i po macoszemu życie nie traktuje, jak tych właśnie pasierbów swych, znaczonych od urodzenia tęsknotą za pięknem, znaczonych zdolnością, talentem wydobywania ze siebie prawd myśli i ducha, a jednocześnie oddanych na walkę życia najcięższą, na dolę samotną wśród świata, na wyzysk pracy najdroższej — bo mózgu i serca — które idą na dobro i szeroki użytek ogółu, jednocześnie pracownikom swym nie dając nic — ani jutra bez troski, ani starości bezpiecznej, ani obrony przed poniewierką losu i grozą opuszczenia zupełnego. Społeczeństwo zabiera od nich wszystko, wyczerpuje do dna — i przechodzi po nich bez troski, żalu, ani uznania. Jeżeli jednak tak źle dzieje się w Polsce całej, to o ile gorzej, dotkliwiej i ciężej rzeczy te stoją na wychodztwie, w Ameryce. Wierzymy jednak, że opinia nasza polska, dźwigając się z dnia na dzień, uzna wkrótce w zupełności, godność i wysokie znaczenie swych pracowników pióra, łamiących się z życiem nieraz tragicznie dla wywalczenia naczelnych dóbr dla społeczeństwa swego. Wierzymy też, że i pracownicy ci również, poniewierający często wysokie swe zadania — przejrzą głębokie niedobory swe nieraz i wskrzeszą w sobie zatracone poczucie godności, posłannictwa i obowiązków najwyższych.

Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy Polskich w Ameryce Północnej rozpoczyna reformę od siebie, stawiając przedewszystkiem wysokie wymagania etyczne własnej braci piszącej — o wymaganiach tych mówi treściwie ustawa naszego Tow., przedłożona jednocześnie opinii ogółu polskiego. Ustawę tę dziś już przyjęło i honorem swym poręczyło pracowników blisko 30, do Tow. Lit. i Dzien. należących, a pod hasłami Towarzystwa stanęło pism 25. Towarzystwo Lit. i Dzien. odbylo swój Zjazd pierwszy w dniu 2 i 3 października 1911 roku — a w obec swej ustalonej już mocy i faktycznego zrzeszenia — posta-

nowiło przystąpić do pracy czynnej i twórczej na polu naglących potrzeb wychodźtwa.

Zrywając z demoralizującą zasadą frazesu i obietnic, a przystępując odrazu zbiorowo i silnie do czynu wykuwania polskiej przyszłości, kilkunastu przybyłych na Zjazd ludzi pióra zajęło się omówieniem najdonioślejszych spraw życia wychodztwa i przedkłada dziś uwadze czytającego ogółu polskiego pierwsze owoce łącznej pracy swej i zamierzonej na przyszłość działalności.

Szanowny ogół polski ma możność skontrołowania celów i dróg Towarzystwa młodego, które już dziś łączy pod swym wysokim, czystym sztandarem większą część prasy polskiej w Ameryce i zespala w jedno działalność najbardziej energicznych, rwących się do pracy i zadań jutra jednostek. Sam spis prac — w książce tej pamiątkowej ogółowi polskiemu przedłożonych — wymownie mówi o wadze i zakresie prac, które Tow. Lit. i Dzien. na barki swe wzięło i przeprowadzić ma nadzieję przy łącznem poparciu całego ogółu polskiego i miarodajnych, a wpływowych czynników wychodztwa. Wierzymy, iż nadzieja ta nas nie zawiedzie, a wysokie cele i dążenia pracy naszej pozyszczą dla siebie szczere uznanie i pomoc najświatlejszych sił w narodzie.

Książka niniejsza, złożona z prac i referatów, czytanych i dyskutowanych na Zjeździe naszym — przedstawia całokształt podjętych przez nas zadań. Rozpoczyna ją poważna i wyczerpująca praca, "O podstawy naszego bytu", która jakby fundament kładzie pod rozpatrywane dalej kwestye. Zobrazowane tu są wytrawnem piórem znawcy stosunków naszych dzieje wychodztwa wstecz i rzucone wytyczne drogi naprzód — plan budowy gmin polskich — które już wśród wychodztwa przybierają kształty widome. Sprawa to wagi pierwszorzędnej, omawiana w tej, lub innej formie przez wiele pism naszych. Dalej — w następnym referacie "Dziennikarstwo polskie w Ameryce", przechodzimy do spraw prasy polskiej na wychodztwie. Omawiane są tu stosunki, obowiązki i potrzeby, rzucone myśli nowe, projekty twórcze, które Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy z uznaniem do wprowadzenie w życie wzięło.

Następuje dalej kwestya szkolnictwa polskiego wyższego, w której przemawia kapłan-obywatel, specyalista i znawca tych stosunków, a dopełnia obrazu tego referat drugi — "O szkolnictwie parafialnem", podnosząc tak doniosłą, a naglącą wprost

konieczność ujednostajnienia i dźwignięcia wysiłkiem zbiorowym naszego szkolnictwa wogóle.

W myśl tych referatów Tow. Lit. i Dzien. zadecydowało podjąć szeroką akcyę wraz z rozpisaniem ankiety, na koszta której złoży się z pewnością ofiarność publiczna, rozumiejąca doniosłość tak ważnej sprawy.

W pośród tych poruszonych zasadniczych i przyszłościowych kwestyi życia, stoi polska kobieta — z jej obowiązkami, dążeniami i nowym światopoglądem. Referat "Kobieta polska w obec przyszłości", obrazuje właśnie kwestye stosunku kobiety do społeczeństwa własnego, doniosłe stanowisko jej na wychodztwie, naglące potrzeby idących czasów nowych i zmienionego życia. Referat stara się obudzić w tym kierunku uwagę i sumienie ogółu, oraz zdobyć uznanie polskiej opinii dła przynależnych jej praw — jako równorzędnej obywatelce narodu. Tow. Lit. i Dzien. stanęło tu na wysokim szczeblu postępu i uświadomienia, decydując solidarne w tym kierunku oddziaływanie prasy polskiej.

Dalej w rzeczowym, sumiennie oświetlonym z punktu znawstwa i zbadania sprawy robotników w Ameryce — referacie "Unie robotnicze i zawodowe — a Polacy", omówioną jest konieczność akcyi społecznej w celu pomocy i obrony robotniczych mas polskiego ludu, rzuconych bez światła i przewodnictwa w miażdżące, bezlitośne stosunki życia amerykańskiego. W myśl wywodów tej pracy — zadecydowano również ankietę.

Na zakończenie szeregu prac tych — podajemy referat ostatni "Duchowieństwo, lud, prasa", który ujmuje jakby w całość rozbieżność spraw życia i krystalizuje je w kształty zasadnicze, a doniosłe, od których stanowiska wzajemnego zależy rozwój, spoistość i dalsze losy polskiego życia na dalekiej ziemi! Badacz warstw tych wytrawny, w doświadczenie życia bogaty, daje pewność, iż sprawy te oświetlone są sumiennie, bezstronnie, a rzeczowo.

Oto pierwszy plon łącznej pracy i usiłowań zrzeszonych ludzi pióra w Ameryce — oto zarys działalności zaczętej, czekającej na swe zupełne urzeczywistnienie. Wierzymy, iż wszystkim komu obojętną i obcą nie jest, ale boleśnie i ciężko na sumieniu leży chaotyczność i rozprzężenie polskiego życia narodowego, komu drogie są i święte wysokie, a umiłowane przez nas ideały narodu — ten zrozumie i odczuje wagę podjętej akcyi zbiorowej, głęboką czystość pobudek, oddanie i przejęcie

się wysoką służbą idei narodowej na dobro polskiego ludu w Ameryce.

Dokoła nas leżą szerokie, nietknięte obszary życia, czekają pola niezorane pod siew przyszłości — stają bezradne, milionowe, sieroce zastępy dzieci jednej wspólnej, dalekiej ziemi, braci naszych z krwi i kości. — Czy my nie winniśmy im daniny z myśli naszej, ducha i woli — daniny czystej, bez obliczeń żadnych, nagród, zapłaty, bez oczekiwań stanowisk, posad, asesmentów?

Przed nami oto szumi wielkie obce morze, groźne, tajemnicze, okrutne — zmaga się w niem, chwieje, opiera i walczy z zalewem wściekłym drobna łódź polskiego życia tułaczego. Łódź słaba, bezradna, sieroca — łódź ciemna, zagrożona, wątła. Zespólmy usiłowania rozbieżne, rozpalmy ogień kierowniczy, ratunkowy, dźwignijmy światło przewodnie dla zatraconej tej łodzi. — I życie polskie wejdzie śmiało w prąd swój twórczy, przyszłościowy, dobędzie ze siebie siły i zdolności nieoczekiwane, dźwigając na ziemi obcej budowę narodu imponującą swoim i obcym. Chciejmy — ale do pracy tej i budowy stanąć winny łącznie wszystkie czynniki narodu — bez różnicy partyi, stronnictw i obozów — wszystkie w imię jedności narodu — na dobro przyszłych dni. Tyle jest prac i miejsca na bezbrzeżnych obszarach życia, tyle celów, dążeń, umiłowań, zadań. — Odrzućmy podziały i wyłączności — pochylmy czoła w uznaniu szczerem przed każdą wiarą czystą, przed każdem usiłowaniem prawem a szlachetnem. Niech nas ogarnie jednolite poczucie — narodu — i niech w niem ustaną wszystkie nienawiści, ambicye i walki małe, ciasne, jątrzące. Pełni otuchy, wierzymy też, że w pracy tej budownictwa wielkiego wesprą nas bracia nasi w kraju, zasilą nas mocą swego ducha, promieniami światła i wiedzy, czerpanej wprost z piersi Macierzy.

Tow. Lit. i Dzien. Pol. w Am. powołuje wszystkie rozpierzchłe, świadome i jasne siły wychodztwa polskiego do rozpalania wszędzie świateł przewodnich, czy to słowem pisanem, czy inicyatywą, czynem — do wspomagania zadań, celów i prac, zapoczątkowanych przez Towarzystwo, do nawiązywania nici porozumienia, łącznych usiłowań — któreby zbiegając się w jedną więź świetlistą, rozświeciły tu nasze chaotyczne, ciemne życie, krzesząc w niem drogi wytyczne, wiodące do osiągnięcia wielkich celów narodu. Przy takiem zjednoczeniu czynników wychodztwa świadomych najbardziej, naczelnych, kierowanych myślą i wolą czystą — opadną wkrótce mroki, głuszące życie

polskie, umilkną zgrzyty podkopujące pracę każdą, a dusze czujące, gorące, żądne treści i dzieła życia poczują zdwojoną moc, energię, zapał. Takie tylko zrzeszenie — w imię najwyższych haseł i umiłowań — może uzdrowić chore stosunki nasze i wprowadzić powietrze wolne, szerokie w zabagnione podwórka, stronnictwa i podziały. Wiarą tą silni, mocą zadań przyszłości zbrojni — w serdecznej łączności bratniej, zrozumieniu i odczuciu wzajemnem — śmiało do pracy zbiorowej stajemy, niosąc dziś przed sąd społeczeństwa polskiego nasz pierwszy plon i usiłowań zaczątek.

Stefania Laudyn.



STANISŁAW OSADA.

Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy Polskich w Ameryce Północnej.

Po długiej i wyczerpującej dyskusyi na łamach wielu naszych pism, podjętej nad projektem p. Stefanii Laudyn, powołania do życia "Związku Prasy Czystej" zorganizował się w Chicago, początkowo z trzech tylko osób |inicyatorka, Stanisław Osada i Aleksander Karczyński| komitet organizacyjny, który nawiązał stosunki korespondencyjne z innymi zwolennikami projektu i ostatecznie doprowadził do skupienia się przy tej myśli stosunkowo sporego grona ludzi piszących.

Stosownie do woli większości stowarzyszonych przyjęto nazwę "Tow. Lit. i Dzien. Pol. w Am." — a cele zupełnie jasno tłumaczy krótka deklaracya organizacyjna, na czele "ustaw" Towarzystwa poniżej podana. Do szeregów stowarzyszenia na razie powołani zostali ci tylko, którzy publicznie na łamach pism swoich ochotę należenia zaznaczyli; mamy wszelako nadzieję, że dziś — kiedy zorganizowanie Towarzystwa jest faktem dokonanym, liczba członków jego szybko rość będzie. Z chwilą zorganizowania Towarzystwa Lit. i Dz., należało do niego czternastu członków, reprezentujących pism jedenaście, obecnie Towarzystwo liczy członków 30 — i pism 25.

Towarzystwo ostatecznie zorganizowane zostało dnia 7 kw. 1911 r. — pierwszy zaś artykuł w tej sprawie p. Stefanii Laudyn, pod tytułem: "W obec 250 letniego Jubileuszu polskiej prasy" drukowany był na łamach "Gazety Polskiej" 2 lutego 1911 r., poczem nastąpiły dwa inne w tej samej sprawie.

Od założenia upłynęło już przeszło pół roku, a czas ten przebyliśmy, rzec można, zwycięsko, biorąc pod uwagę różnorakie przeszkody, walki i trudności. W ciągu tego krótkiego istnienia wytknęliśmy kierunek zasadniczy jasno i silnie przyjęty i podtrzymywany z zapałem i wielkiem zrozumieniem przez stowarzyszonych.

W każdym razie, w obec społeczeństwa całego, stoimy już dzisiaj, jako czynnik zupełnie poważny, zdający sobie dokładnie sprawę z tego czego chce i dokąd zmierzać zamyśla.

Że fakt ostatecznego zorganizowania się pracowników pióra jest dla społeczeństwa polskiego zdarzeniem wagi pierwszorzędnej, dowodzi tego choćby i ta okoliczność, że wszystkie

dotychczasowe próby zawodziły, że wszystkie momentalnie wiązane organizacye upadały natychmiast po ich skojarzeniu, i że przez tyle lat takiego stowarzyszenia w Ameryce wcale nie było.

Dwie pierwsze próby organizacyi poprzedzone były zjazdami. Pierwszy odbył się roku 1891 w Detroit, w czasie Sejmu ZNP., przybyło 6 dziennikarzy, ale towarzystwo zaraz się rozchwiało, drugi odbył się w dniach 4 i 5 lipca 1895 roku, w mieście Buffalo, przy współudziale 21 redaktorów, wydawców i współpracowników.

I na tym zjeździe zorganizowane stowarzyszenie rozchwiało się zaraz w następnych tygodniach, gdyż członkowie, nie przestrzegając przyjętych reguł w dalszym ciągu, w skandaliczny sposób wzajemnie się po gazetach prześladowali.

Zniechęciło to od dalszych prób na długi szereg lat.

Dopiero przed trzema laty p. Michał Kruszka, któremu udało się połączyć kilka wydawnictw dla wzajemnego pomagania sobie w interesie |i to stowarzyszenie po kilku miesiącach upadło|, nawoływać zaczął także i redaktorów, ażeby się połączyli, wysuwając na plan pierwszy — polepszenie bytu, niestety również bez rezultatu.

Za czwartą próbę zorganizowania ludzi piszących uznać można zorganizowanie Polskiego Klubu Prasowego w Chicago, który na pierwszy plan wysunął życie towarzyskie członków, ale egzystował zaledwie nie całe trzy miesiące.

Po raz piąty w dziejach wychodztwa sprawa ta poruszoną została przez p. Stefanię Laudyn, która inaczej rzecz zrozumiała i zakreśliła. W rzuconym zarysie "Związku Prasy Czystej" główny nacisk położony został na konieczność naglącą podniesienia etyki dziennikarskiej, uzdrowienia fatalnych stosunków prasowych, łączności z Macierzą i narodowej jedności.

Podjąłem głos ten serdecznie na łamach "Gazety Polskiej" poparli go silnie i z przejęciem koledzy Wł. Koniuszewski z "Kroniki", Tomasz Kozak z "Górnika", był też za tem p. B. S. Kamieński z "Polaka w Ameryce" i paru innych. Wywiązała się ożywiona dyskusya i z niej wyłoniły się dzisiejsze zasady Towarzystwa, które podniosło zgodnie sztandar narodowej jedności, a łącząc w swem gronie reprezentantów rozmaitych opinii i stronnictw, udowodniło, że zjednoczenie się takie wśród pewnych okoliczności i dla pewnych celów, jest nietylko możliwe, ale i konieczne.

Dążenie do jedności zadokumentowaliśmy przedewszystkiem w publicznie ogłoszonych przez ustawę zasadach naszych,

stwierdzanych przez każdego z członków własnoręcznym podpisem pod deklaracyą, a następnie w całym szeregu artykułów tzw. "okrężnych" których mieliśmy dotychczas 10, na rozmaite dopełniające się wzajemnie tematy.

Artykuły te pomieszczane są obecnie stale w pismach dwudziestu sześciu.

Starał się też Wydział w myśl zasad Towarzystwa przychodzić z pomocą stowarzyszonym w polepszeniu i utrwaleniu ich bytu i dla kilku kolegów udało mu się nawet znaleźć lepsze stanowiska. Mamy nadzieję, iż z czasem, gdy wydawnictwa więcej liczyć się będą z naszem stowarzyszeniem, rozwiniemy akcyę na tem polu o wiele szerszą.

Ale najważniejszem zdarzeniem w krótkiem życiu naszego Towarzystwa był pierwszy zjazd jego członków odbyty w Syracuse, N. Y., w dniach 3 i 4 października, 1911 roku.

Wzięli wnim udział następujący członkowie: Stefania Laudyn, "Głos Polek" z Chicago; Stanisław Osada "Gazeta Polska" z Chicago; Iza Pobóg z Chicago; ks. D. Szopiński, "Przegląd Polsko-Amerykański" z Chicago; B. S. Kamieński "Polak w Ameryce" z Buffalo; W. Koniuszewski, z Newark, N. Y.; Tomasz Kozak, "Dz. Polski" z Detroit, Mich.; W. S. Rylski, "Jedność" z Baltimore.

Zjazd otworzyła krótkiem i serdecznem przemówieniem inicyatorka Towarzystwa, kol. Stefania Laudyn, poczem ukonstytuowano się, wybierając ją przewodniczącą, kol. S. Osadę sekretarzem i kol. W. Koniuszewskiego, zastępcą.

Po wysłuchaniu sprawozdania z czynności Wydziału, złożonego przez kol. Osadę, przystąpiono natychmiast do czytania referatów, które przy często i bardzo ożywionej dyskusyi, zajęły także cały dzień i wieczór następny, z wyjątkiem 3 godzin popołudniowych, poświęconych rozszerzeniu ustawy i wyborom.

Rezultat wyjaśniają poniżej umieszczone rezolucye.

Ponadto uchwalono:

Aby Koledzy, obowiązani do częstszego informowania prasy polskiej w Europie o stosunkach tutejszych nadsyłali swe referaty do Zarządu po jego rekomendacyjną aprobatę dla nadania im większej wagi i powagi; aby referaty wszystkie wraz z obszerniejszą pracą kolegi Osady, "O podstawach naszego bytu" obok sprawozdań z pierwszego Zjazdu, wraz z rezolucyami wydrukować w książce pamiątkowej; aby zwrócić się do Sejmów Zw. Narodowego Polskiego i Zjednoczenia Polsko-Rzymsko-Kat., o poparcie osobnymi rezolucyami Gmin Terytoryal-

nych, których organizacyę wszyscy stowarzyszeni popierać mają całym swym wpływem w pismach przez siebie reprezentowanych.

Wybory zarządu dały rezultat następujący:

Stanisław Osada, prezes.
B. S. Kamieński, wice-prezes.
Iza Pobóg, sekretarz.
Stefania Laudyn, skarbnik.

Zarząd Towarzystwa rezyduje w Chicago, Illinois.

Oprócz tego, dla zaznaczenia swej wdzięczności dla kol. Stefanii Laudyn za inicyatywę, okrzyknęli ją zgromadzeni pierwszym członkiem honorowym.

Na Zjazd nadeszły 2 telegramy z życzeniami: od "Polaka w Ameryce" i kol. Turchanowicza z Buffalo, oraz serdeczne listy: od kol. ks. dra Kwiatkowskiego z St. Mary's College, Kentucky, z usprawiedliwieniem nie stawienia się i referatem, od kol. ks. A. Syskiego z życzeniami i projektem "Wędrującego Uniwersytetu Ludowego" |uchwalono poprosić autora o szersze rozwinięcie tematu w artykule okrężnym| i od ks. K. Smogóra ze Steubenville, O., poruszający kwestyę szkolną z prośbą, by Tow. Lit. i Dz. i tą sprawą się zajęło. List przyszedł za późno, ale Zjazd i tak sprawę tę załatwił.

Poniżej pomieszczamy zaś rezolucye w ich brzmieniu urzędowem, które treściwie a wyraźnie stwierdzają całą doniosłość przeprowadzonych uchwał.

REZOLUCYE:

Pierwszy Zjazd polskich pracowników pióra w Ameryce, zrzeszonych w Tow. Lit. i Dz. P. — odbyty w dniach 2 i 3 października 1911 roku w Syracuse, N. Y. przy udziale jedenastu członków, oraz gości postanawia co następuje:

1. Wspierać dążenia wszelkie, zmierzające do ujednostajnienia narodowej jedności, w zachowaniu bliskiego kontaktu z krajem ojczystym, oraz pielęgnowania ducha narodowego w szkole i organizacyach na wychodźtwie.

2. Dążyć do podniesienia poziomu etycznego prasy polskiej w Ameryce przez usunięcie z jej łamów wszelkiej nietolerancyi i brudnej polemiki.

3. Przyjmując z uznaniem referaty Ks. Dr. Kwiatkowskiego i kol. Rylskiego, uważa za konieczne, zorganizowanie

ankiety, odpowiednio sformowanej przez Zarząd z przedstawicieli duchowieństwa i osób świeckich w równej liczbie z rozesłaniem jej całemu duchowieństwu, organizacyom i prasie.

Ankieta uwzględnić ma żądanie poprawy systemu naukowego, wyrobienie fachowych sił nauczycielskich, wprowadzenie sił świeckich do wyższych klas szkół parafialnych, założenie seminaryum nauczycielskiego, ujednostajnienie systemu naukowego, zakładanie bibliotek w szkołach, zaprowadzenia dozorów szkolnych i zakładanie szkół narodowych.

4. W myśl referatu kol. Koniuszewskiego dążyć do: a). zorganizowania biura prasowego dla rozsyłania raz na tydzień informacyi o ruchu społeczno narodowym w kraju ojczystym, na podstawie pism krajowych, w formie artykułów okrężnych; b). nałożenia na członków obowiązku natychmiastowego informowania prasy polskiej w Ameryce, o ogólnego znaczenia wypadkach lokalnych i dalej c). informowania od czasu do czasu wybitniejszych pism polskich w Europie o życiu Polaków w Ameryce, oraz o stosunkach ekonomicznych, zwłaszcza Ameryki, pod egidą Tow. lub prywatnie; d) i wreszcie nałożenia na członków obowiązku zawiadomienia Zarządu o dostrzeżonych przez nich błędach, popełnionych w powyższych kierunkach przez prasę europejską, celem sprostowania.

5. By Towarzystwo wstąpiło jako jednostka do prasowych zrzeszeń polskich w Europie.

6. W odniesieniu do referatu kol. Tomasza Kozaka Tow. Literatów i Dziennikarzy, oświadcza się za koniecznością związków robotniczych i za obowiązkiem Polaków należenia do Unii. Prasa polsko-amerykańska powinna zawsze i zasadniczo popierać robotniczy ruch organizacyjny i stawać w obronie interesów robotniczych.

Ponieważ emigracya nasza w Ameryce jest w ogóle swoim robotnicza i jej interes polega w ruchu robotniczym w tym kraju zorganizowanym; ponieważ od masowego należenia Polaków do związków robotniczych zależy poprawa bytu całej masy naszej emigracyi, ponieważ wreszcie do prowadzenia i popierania ruchu organizacyjnego między Polakami w Ameryce potrzeba dat statystycznych — Tow. Lit i Dz. podnosi potrzebę rozpisania ankiety do pism, towarzystw |grup| narodowych i kościelnych, do duchowieństwa i inteligencyi, w poszczególnych osadach, celem zestawienia odnośnych cyfr dotyczących należenia Polaków do unii robotniczych.

Towarzystwo przyjmuje za jeden ze swoich wytycznych obowiązków rozwijanie w emigracyi naszej poczucia solidar-

ności robotniczej i wstępowania do unii, a czyni to w tej myśli, aby z biegiem czasu wytworzyć polską organizacyę robotniczą na całe Stany Zjednoczone, organizacyę, w odłamach swych lokalnych złączoną organicznie z ogólno-amerykańską budową unijną, lecz mającą swoją narodową autonomię.

7. Godząc się z treścią referatu kol. St. Laudynowej, Tow. uznaje dążność do równouprawnienia kobiet, biorąc na się w myśl tego obowiązek dążenia do szerzenia przez łamy pism naszych uświadomienia kobiet polskich w Ameryce, by mogły w całej pełni z praw które im niedługo tu — nawet bez ich udziału dane będą — korzystać.

8. Po wysłuchaniu obszernej pracy kol. Osady "O podstawy naszego bytu" zamkniętej projektem tworzenia Gmin Terytoryalnych — zwraca się Zjazd do ogółu polskiego, a zwłaszcza do Związku Narodowego Polskiego i Zjednoczenia P. R. K., by na Sejmach swych projekt ten omówiono, dopomagając do wprowadzenia go w życie, gdyż jest to jedyna droga racyonalna, do celu prowadząca.

9. Zjazd uznaje jedną i niepodległą Polskę, nie przyznając żadnych zaborów, ani dzielnic i zobowiązuje swych członków do głoszenia tych haseł z wiarą żywą w ich zrealizowanie, nawołując do szeregów wszystkich bez wyjątku, bez względu na przekonanie społeczne i religijne.

* * *

Uzupełnione na tym Zjeździe ustawy i zasady Towarzystwa mają brzmienie następujące:

USTAWY

Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich w Ameryce Północnej.

DEKLARACYA ORGANIZACYJNA.

W imię ogólnego dobra całego narodu, a dla podniesienia poziomu etycznego i moralnego prasy naszej, oraz łącznej pracy społecznej i narodowej w kierunku wzmocnienia sił zbiorowych naszego wychodźtwa, powołanem jest do życia Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy Polskich w Ameryce Północnej.

ARTYKUŁ I.

Nazwa.

Stowarzyszenie to nosi nazwę: "Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy Polskich w Ameryce Północnej".

ARTYKUŁ II.

Członkowie.

Członkiem Towarzystwa może być każdy literat i redaktor, czy współpracownik, któregokolwiek z polskich pism w Ameryce Północnej, zgadzający się z zasadami Towarzystwa, by w myśl tychże pracować, gdy na jego przyjęcie zgadza się ¾ stowarzyszonych. Odrzucenie kandydata nastąpić może wobec dostatecznie uzasadnionego sprzeciwu ¼ stowarzyszonych.

ARTYKUŁ III.

Cele.

1. Podniesienie godności prasy i jej etycznego poziomu, przez wykluczenie z pism, redagowanych przez stowarzyszonych, brudnej polemiki osobistej.
2. Krzewienie postulatu powszechności narodowej, łącznej pracy wszystkich dla celu narodu ostatecznego i tępienie szkodliwej i zacofanej konkurencyi partyjnej i organizacyjnej.
3. Wzajemna pomoc, w przeprowadzeniu akcyi natury ogólnej, pod hasłem jedności narodowej, wychodźtwa i kontaktu z Macierzą.

ARTYKUŁ IV.

Zadania.

Dla osiągnięcia tych celów stawia sobie Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy następujące zadania:

1. Starania o obsadzanie placówek dziennikarskich jednostkami pod każdym względem odpowiedniemi przez:

a). nawiązywanie stosunków z powstającemi pismami,

b). utrzymywanie kontaktu z już istniejącymi,

c). wpływanie w tym kierunku na organizacye, wydające swe pisma.

2. Staranie o podniesienie w opinii społeczeństwa stanowiska dziennikarza, umocnienie go materyalne i moralne, by

pracy jego nie uważano za dorywczą, ale zawód znojny, a wymagający rozlicznych kwalifikacyi.

3. Spieszenie z pomocą stowarzyszonym — i niestowarzyszonym, w zakresie wydawniczym, potęgując przez to wzrost piśmiennictwa, na glebie amerykańskiej wyrastającego.

4. Utrzymywanie biura pośrednictwa pracy oraz informacyjnego, w którem zasięgnąć by można wszelkich informacyi co do danego pisma, i ogólnych stosunków lokalnych.

Uwaga: — Materyału statystycznego dostarczają stowarzyszeni.

5. Stworzenie kasy zapomogowej i zażyciowej, któraby zasilała dotkniętych chorobą, nieszczęśliwym wypadkiem, lub brakiem pracy stowarzyszonych wsparciem jedno lub kilkurazowem.

ARTYKUŁ V.

Środki i sposoby działania.

1. Do przeprowadzenia celów Towarzystwa slużą pisma przez członków reprezentowane.

2. W pismach przez członków Tow., reprezentowanych zwalcza się wszelką zachłanność partyjną i organizacyjną.

3. Wytwarza zdrową i niezależną opinię.

4. Piętnuje bezwzględnie roboty nienarodowe, brudne, jątrzące i zmierzające do podtrzymania dzisiejszego rozbicia, oraz psujące wysiłki, zmierzające do budowy narodowej jedności.

5. Rozsyla co dwa tygodnie do wszystkich pism artykuł okrężny, pisany kolejno przez naznaczanych przez Zarząd członków, na temat ogólny, a w myśl zasad stowarzyszenia, do dowolnego zamieszczania, oraz komunikaty oficyalne.

6. Usilnie baczy na sposób prowadzenia pism przez stowarzyszonych i zwraca uwagę na wypadek sprzeniewierzenia się dobrowolnie podjętym obowiązkom.

ARTYKUŁ VI.

Obowiązki członków.

1. Dążenie do nawiązania bliższych stosunków koleżeńskich z resztą stowarzyszonych.

2. Wzajemna dobra wola, wykluczająca zazdrość, obmowę, spychanie się i szkodzenie wszelkie — ukryte lub jawne.

3. Wzajemna szczera pomoc i poparcie we wszelkich sprawach uczciwych i czystych, czy to spolecznych i ideowych, czy też osobistych, życiowych.

4. Walka z zasadą, przekonaniem, poglądem lub działaniem, nie zaś z jednostką, jej charakterem, życiem, przeszłością.

5. Te same wytyczne obowiązują i wobec tych kolegów, którzy jeszcze do Towarzystwa nie przystąpili.

6. Prawość i moc przekonań niedostępnych żadnej frymarce, przekupstwu i zdradzie dla korzyści materyalnych.

ARTYKUŁ VII.

Zarząd Towarzystwa.

1. Zarząd Towarzystwa składa się z prezesa, wice-prezesa, sekretarza i skarbnika.

2. Siedzibę Zarządu wybiera Zjazd.

3. Zarząd reprezentuje Towarzystwo na zewnątrz, załatwia wszelkie sprawy administracyjne, wprowadza w życie zapadłe uchwały, a sprawy donioślejsze oddaje pod powszechne głosowanie.

4. Zarząd stoi równocześnie na straży Konstytucyi i uchwał Tow. i zwraca się do członków je przekraczających z upomnieniami, a gdy trzykrotne zwrócenie uwagi nie skutkuje, zarządza ogólne głosowanie w celu suspendowania lub wykreślenia danego członka.

5. Powołuje członków do opracowywania artykułów okrężnych, w myśl zasad Tow. z podaniem tematu lub bez.

6. Przechowuje duplikaty wysłanych okólników i listów, oraz całą korespondencyę w archiwum Towarzystwa.

7. Ściąga uchwalone przez ogół podatki na pokrycie wydatków biurowych.

8. Odbywa posiedzenia tak często, jak tego wymagać będzie interes ogółu i sprawy Towarzystwa.

ARTYKUŁ VIII.

Zjazdy.

1. Zjazdy odbywają się co rok — jesienią.

2. Zarząd przedstawia dwie lub trzy miejscowości — dla odbycia zjazdu; — wybiera ogół prostą większością głosów.

3. Datę zjazdu naznacza zarząd.

4. Zjazd daje dyrektywę we wszystkich sprawach Tow., wysłuchuje sprawozdań, rewiduje ustawy i wybiera nowych członków zarządu.

DEKLARACYA:

Na powyższe ustawy i zasady "Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich w Ameryce Północnej" zgadzam się w zupełności, uważam je za własne i obowiązuję się słowem honoru uczciwego człowieka bronić ich ze wszystkich sił i zdolności w pismie przezemnie reprezentowanem.

W razie zaś, gdyby mi kiedykolwiek dowiedziono:

a). grzechu rozbijania narodowej jedności wychodźtwa,

b). grzechów przeciwko łączności z Macierzą,

c). grzechów szerzenia zachłanności partyjnej, lub organizacyjnej, jątrzącej i nienawistnej,

d). grzechu podkopywania dobrego imienia, bytu i stanowiska stowarzyszonych braci po piórze,

e). grzechu sprzedawania przekonań i zasad dla względów materyalnych,

zgadzam się, gdyby po gruntownem rozpatrzeniu sprawy przez ogół członków zapadł wyrok większością ¾ głosów, skazujący mnie na wyłączenie z Tow. i ogłoszenie publicznie tego faktu, wyrok ten przyjąć bez szemrania i jakichkolwiek dochodzeń.

....

Własnoręczny podpis kandydata.

* * *

Na tem miejscu zaznaczyć jeszcze należy, że odnośnie do starań, o poparcie projektu "Gmin Terytoryalnych" przez Sejmy Związku Narodowego Polskiego i Zjednoczenia P. R. K., — pierwszy przeszedł ponad naszą prośbą do porządku dziennego w milczeniu, drugi natomiast wyraźnie w rezolucyach sejmowych zaznaczył, że się z tym projektem solidaryzuje, dając do zrozumienia, że na pomoc tej organizacyi już teraz liczyć możemy.

Po powrocie ze Zjazdu zajął się Zarząd energicznie wprowadzaniem w czyn zapadłych na nim uchwał i postanowień.

Zarządziliśmy wszystko, co było potrzebnem do zorganizowania Biura Prasowego, wydrukowane zostały ustawy, przygotowana do druku książka pamiątkowa i — ułożone plany jej sprzedaży, z której czysty dochód ma być obrócony na urządzenie dwuch przez Zjazd uchwalonych ankiet, — na co potrzeba dosyć znacznego funduszu.

———

STANISŁAW OSADA.

O podstawy naszego bytu.

OD AUTORA.

Kiedy w roku 1909 wystąpiłem z broszurą "Na Rok Grunwaldzki" zestawiając w niej wszystkie w owym czasie na porządku dziennym będące projekty, zdawało mi się, że jubileuszowy ten rok, tchnieniem siły pogromców Krzyżactwa z przed lat pół tysiąca, uzdolni nas do ich przeprowadzenia.

Na pierwszy plan wysunąłem tam projekt organizowania Polskiej Macierzy Szkolnej, wyrosły na naszym gruncie amerykańskim pod wpływem spuścizny otrzymanej przez Związek Narodowy Polski, od zniesionej przez rząd rosyjski "Macierzy" tamtejszej.

Spuścizna ta, w postaci druków rozmaitych, ksiąg kwitowych, kart korespondencyjnych i kilku milionów marek, przy pomocy których powołana w tym kraju do życia "Polska Macierz Szkolną", mogła łatwo rządzić się i gromadzić fundusze, sądziłem, że ułatwi zadanie.

Niestety, społeczeństwo nasze poza mniej lub więcej szumnymi obchodami na nic więcej zdobyć się nie potrafiło, i rok ten jubileuszowy, jak wszystkie poprzednie, minął nie upamiętniwszy się w koloniach polskich w Ameryce żadnym czynem ogólniejszego i trwalszego znaczenia.

Fakt ten wpłynął na mnie osobiście z razu bardzo przygnębiąco, zmuszając do refleksyi i większego wgłębienia się w powody, dla których nasze społeczeństwo polskie w Ameryce, tak mało przygotowanem i zdolnem jest do podjęcia akcyi głębszej i ogólniejszej.

Praca niniejsza, to owoc tych badań i refleksyi, na podstawie których doszedłem do przekonania, że główną i kardynalną przyczyną wszelkich naszych niepowodzeń, jest ogólny brak wiary w utrzymanie naszych placówek w tym kraju.

Wiarę tę podnieść i ugruntować, — to był cel pierwszy. Rozsnuwałem go stopniowo na łamach "Gazety Polskiej", a gdy równocześnie p. Stefania Laudyn wystąpiła z projektem

zorganizowania tutejszych pracowników pióra — połączyliśmy nasze siły — i dziś nie stoimy odosobnieni.

Przy programie, który wyrósł z łącznego wysiłku myśli sporej garści kolegów, skupia się dziś poważne już Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy Polskich w Ameryce Północnej, którego zadaniem głównem ugruntowanie go pośród całego ogółu naszego wychodźtwa.

Następnym celem tej pracy, jest ułatwienie zrozumienia programu o którym mowa i udowodnienie, że wypływa on z głębokiej wiary w siły naszego narodu i w moc zorganizowanej woli ogółu, wraz z wezwaniem do szeregu wszystkich, którzy gorący ten apel należycie odczuć potrafią.

ROZDZIAŁ I.

Czy potrafimy utrwalić posterunki polskie w Ameryce. — Rozwój życia towarzyskiego w tym kraju. — Podział na kółka i kółeczka — Znaczenie parafii w życiu społecznem. — Tryumfy Polaków w rozszerzaniu kolonii. — Tolerancya w Ameryce.

Największą troską naszą w tym kraju, było, jest i prawdopodobnie będzie, jeszcze dość długo, czy potrafimy ugruntować tu nasze, tak bujnie obecnie rozkwitające, posterunki polskie na zawsze.

Warto bliżej rozpatrzyć tę sprawę.

Był czas, że większość nie wierzyła w to wcale, był czas, że większość powątpiewała, a i teraz nie brak nietylko wątpiących, ale nawet doradzających, rzekomo dla naszego własnego dobra, o ile możności asymilacyę jak najrychlejszą.

Niektórym, nawiasem mówiąc, kiepskim obserwatorom, zdaje się nawet, że Polacy już się nietylko zasymilowali, ale że się na dobre wynaradawiać zaczęli.

Złudzenie jak wiele innych!

Pomimo i wbrew wszelkim mniej lub więcej utartym przekonaniom i przepowiedniom, że w Stanach Zjednoczonych wszystkie narodowości napływowe rychlej czy później wynarodowić się muszą, mam zamiar wystąpić z dowodzeniem, że stanie się wręcz przeciwnie, że ten właśnie kraj dostarczy światu przykładów, jak swobodnie obok siebie mogą kwitnąć i rozwijać się kultury wszystkich narodów.

Niema bowiem drugiego kraju i narodu na świecie, któryby posiadał taki ustrój pod względem życia towarzyskiego i społecznego, jak właśnie Stany Zjednoczone i niema siły, któraby na jego zmianę wpłynąć mogła, bo z biegiem lat tylko się utrwala i jeszcze bardziej gruntuje.

Wszyscy mieszkańcy tutejsi, owszem żywią w sobie wielkie poczucie jedności obywatelskiej, wszyscy przy każdej nadarzonej okazyi manifestują swoją wierność i przywiązanie dla

krajowego sztandaru, ale jest to też jedyna rzecz, która nas łączy.

Po zatem, cały kraj podzielony jest na drobne kółka, jak najściślej w sobie zamknięte, żyjące własnem odrębnem życiem, w których bardzo mało interesują się tem, co się dzieje w najbliższem sąsiedztwie.

Są to kółeczka ściśle terytoryalne, któremi pokrył się cały kraj, tak w miastach, jak i po farmach. Kółeczka te, w obrębie swych granic posiadają ogromną siłę asymilacyjną, do tego stopnia, że jednostka, która się jej poddać nie chce, musi się szybko z ich granic wynosić i szukać innego więcej dla siebie dogodnego miejsca pobytu.

Rdzeniem zaś głównym, podstawą i fundamentem, na którym każde takie kółko się oparło, jest zawsze świątynia, zbór, dom modlitwy — Kościół.

W Ameryce Północnej, każdy, wierzący, czy nie wierzący, jeżeli chce żyć, musi należeć do jakiegoś zgromadzenia religijnego, do jakiejś sekty, do jakiejś parafii i istotnie, bardzo niewielu jest takich, którzy mają odwagę wyłamywania się z pod tego zwyczaju.

Opinia publiczna jest tu na tym punkcie bezwzględna, boć — idzie tu nietylko o spełnianie przykładne obowiązków religijnych, ale także o **ponoszenie ciężarów utrzymania kościoła, a często także szkoły i innych instytucyi parafialnych.** Każdy mieszkający w obrębie granic parafii, a usuwający się od tego obowiązku, wnet uczuje niezadowolenie sąsiadów do tego stopnia, że się z granic parafii wynosić musi i będzie zmieniał miejsce zamieszkania tak długo, aż znajdzie dzielnicę, czy okolicę, w której mieszkają ludzie bardziej z jego usposobieniem zgodni, choćby z tego względu, że nie potrzebują kościoła. Są bowiem i takie dzielnice, szczególniej w większych centrach handlowych, w których wszyscy wzajemnie się tolerują, a raczej w których wcale się nie znają, podobnie jak w wielkich miastach europejskich. Ale takich dzielnic jest bardzo mało.

Rzeczywiście dziwny mają ustrój te miasta nasze.

Miasto Chicago nazwał ktoś wielką wsią. Nazwa o tyle tylko nietrafna, że jest to raczej kilka tysięcy wsi, skupionych obok siebie na niewielkiej przestrzeni. Każda dusi się około jakiegoś kościoła i interesy drugiej wcale ją nie obchodzą.

Jest to obowiązujące nietylko dla ludności napływowej, a więc Polaków, Niemców, Czechów, Szwedów, Litwinów, ale także dla rdzennych Amerykanów.

Jest więc w takiej wsi obok kościoła, a często także szkoły parafialnej jednego języka i wyznania, kilka tego samego wyznania i języka towarzystw, jest mniejsza lub większa liczba, stosownie do rozległości wsi, lekarzy, aptek, akuszerek, zakładów pogrzebowych, wyrębów mięsa, salunów, składów rozmaitych, piekarń itp., a wszystko to rozwija się i żyje, polegając głównie na wzajemnem poparciu.

Niechby ośmielił się tam osiedlić jakikolwiek przemysłowiec, któryby miał odwagę nie przystąpić do parafii, nie posyłać do szkoły parafialnej swych dzieci i nie należeć do kilku przynajmniej towarzystw miejscowych... Wnet zbankrutuje i musi się wynosić do dzielnicy specyalnie handlowej, dokąd zjeżdżają się już tramwajami ludzie z dalszych okolic, po większe zakupy.

Wsie te organizowały się równocześnie z powstaniem wszystkich tych większych miast w Ameryce, które oprócz Nowego Yorku, Bostonu i Filadelfii, dopiero od kilkudziesięciu lat są wielkiemi.

Kilkanaście lub kilkadziesiąt rodzin wystarczało zazwyczaj na zorganizowanie towarzystwa parafialnego, a gdy to zdobyło się na kościół, parafia-wieś rosła już jak na drożdżach.

Dziś obserwować można ciekawą walkę tych parafii-wsi o rozszerzanie swych granic. W Chicago jest ona tembardziej zajmującą, że my Polacy, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, święcimy w niej kolosalne tryumfy. W przeciągu ostatnich lat dziesięciu, nielicząc niezabudowanych przestrzeni przez nasze nowe wsie-parafie zajętych, wyparliśmy Niemców i innych z jakich 10 mil kwadratowych i wypieramy ich dalej.

Niech tylko w jednym "bloku" uda się zakupić naszym, cztery lub pięć realności, niech tylko ci nasi wprowadzą do tych czterech lub pięciu domów 50 familii |w miejsce dawnych 20|, to już reszta mieszkańców "bloku" zacznie myśleć o "mufowaniu". Pierwszy wystawi tablicę "for sale" salunista i rzeźnik z narożnika, bo tych 50 polskich familii stale mija jego drzwi i idzie choćby spory kawał drogi do "swego". Miejsca ich zajmują Polacy. Potem robi to piekarz, potem wszyscy inni, nie wyłączając aptekarza, chyba, że się postara o polską obsługę.

Jeżeli zaś takie stosunki panują po większych miastach, to cóż mówić o mniejszych, o farmach, gdzie wszyscy jeszcze lepiej się znają i gdzie sfera interesów wspólnych jest jeszcze obszerniejszą.

W Ameryce Północnej istnieje wielka tolerancya i wyznań i przekonań, ale nie w granicach takiej wsi parafialnej. Spotyka się ją w "businessie" na większą skalę, w wielkim przemyśle, w zrzeszeniach zawodowych, w polityce wreszcie, ale to wszystko jako "business" ściśle odłączonem jest od życia domowego, rodzinnego, towarzyskiego, od owego świętego amerykańskiego "home" w którem każdy chce się otoczyć wyłącznie tem, co mu się osobiście najlepiej podoba.

I wszystkim jest z tem zupełnie dobrze, nie wyłączając ludności napływowej, która z całą skwapliwością korzysta z tej swobody, by swój "home" urządzić według własnych upodobań.

Że taki, a nie inny układ stosunków w Ameryce, może, gdy będzie wsparty rozumną i planową akcyą przewodników, dać podstawę trwałemu ugruntowaniu się rozmaitych kultur narodowych we wszystkich gromadach wychodźtwa europejskiego, o tem chyba wątpić nie można.

Jeszcze słówko:

Rdzenni Amerykanie istotnie bardzo życzliwie witają w swoich wsiach-parafiach wszystkich świeżych przybyszów, tem życzliwiej im inteligentniejszą jest jednostka wchodząca do ich koła, ale jest jeden warunek: trzeba na każdym kroku okazywać wyraźnie chęć przyjęcia ich sposobów życia. Trzeba wstąpić do parafii, wpisać się do klubu, itp. Taka jednostka oczywiście dla narodowości z której wyszła, przepada bezpowrotnie.

Tej to właśnie okoliczności zawdzięczają wszystkie emigracye europejskie swoje skupienia i możność samodzielnego rozwoju.

Temu zawdzięczają np. Irlandczycy, że pomimo jedności języka z powszechnie używanym w kraju, nietylko się nie wynarodowili, ale nawet dzięki swej sile liczebnej, dawności swego osadnictwa i opanowaniu najwyższych godności w hierarchii kościelnej, dużo cech własnych narzucili katolikom innych narodowości. To naprzykład, co my nazywaliśmy swego czasu "amerykanizacyą przez Kościół", jest raczej "ajryszeniem" gdyż Kościół katolicki będąc tu zupełnie młodym i nie mając żadnej tradycyi, nie może jej narzucać nikomu.

ROZDZIAŁ II.

Zaniepokojenie Yankesów. — Amerykanizacya przez setlementy. — Organizacye tajne i ich znaczenie. — W jaki sposób przeciwstawiają się im organizacye narodowościowe. — Związek Narodowy Niemiecki. — Przyjdzie kolej i na nas!

Stan rzeczy opisany w poprzednim rozdziale jest dla każdego rozgarniętego człowieka tak wyraźnym, że za rdzennych Amerykanów uważający się Yankiesi, którzy w dawniejszych czasach z łatwością asymilowali przybyszów, mocno się zaniepokoili.

Zważywszy, że szkoła i prasa, które obok innych ubocznych wpływów, najskuteczniejszą w asymilowaniu odgrywały rolę, już nie wystarcza, bo ludność napływowa przeciwstawia im szkołę i prasę własną, pomyśleli o pomnożeniu dróg, któremi przeszczepiać by się dało amerykańską kulturę w te sekciarskie skupienia cudzoziemców.

Rozpoczęto więc przedewszystkiem po wielkich miastach zakładać t. zw. ''University Settlement'' oddając je pod kierownictwo misyonarzy i misyonarek amerykańskiego nacyonalizmu, z wyraźną instrukcyą przyciągania cudzoziemców.. Settlementy'' te, mieszczą się zwykle w dość obszernych gmachach, z kilku, lub kilkunastu salkami, bezpłatną wypożyczalnią książek, czytelnią, łazienkami, itp., w których początkowo obowiązywała ustawa, że korzystać z nich mogą zupełnie bezpłatnie kluby i towarzystwa, istniejące lub zorganizowane w okolicy, ale z urzędowym językiem angielskim....

I cóż się pokazało?

Oto, o ile ''settlementy'' te miały ''cywilizować'' Polaków, Czechów i innych Słowian, — świeciły pustkami.

Musiano spuścić z tonu i dziś korzysta z nich cały szereg towarzystw polskich, narodowych, odbywając tam swoje posiedzenia, a polscy prelegenci miewają w tych salach wykłady w polskim języku. Na angielskich wykładach sale świeciły pustkami....

Po za tymi "settlementami" powołano do życia cały szereg organizacyi nie znanego w Europie typu, z tajnym rytuałem, pełnym śmiesznych dla Europejczyka ceremonii, które miały wpajać poczucie jedności i braterstwa w szeregach swych członków.

Ale podobnie jak "settlementy" tak samo i organizacye nie dopisują.

Wytworzył się tylko nowy, odrębny typ sekty, opierający się na hasłach i rytuałach wspólnych i stosujący przy każdej okazyi pomoc wzajemną **wyłącznie wobec "braci"**, do tej samej należących organizacyi. Namnożyła się wielka moc najrozmaitszych "elków", "woodmanów", "makabeuszów" i innych, tworzących nic innego tylko nowe gminy wyznaniowe, tem tylko od dawniejszych różne, że ich członkowie nie mieszkają obok siebie, w sąsiedztwie kościoła, czy zboru wspólnym kosztem utrzymywanego, ale rozsypani po całym obszarze Stanów Zjednoczonych.

Poznają się wzajem za pośrednictwem oznak, haseł i znaków różnych, przyczem w ruchu są ręce i oczy, a co wszystko razem wzięte stanowi nowy i ciekawy dowód, że w Ameryce wszystko jakby się zmówiło w tym kierunku, aby jej ludność, jeżeli nie w sposób naturalny, to bodaj sztuczny dzieliła się na rozmaite kategorye i grupy, żyjące w ściśle zamkniętych kołach, jak gdyby na dowód, że serce ludzkie za małe jest aby obejmować takie ogromy ludu i obszary ziemi, jakie kraj tutejszy przedstawia.

Trzeba jeszcze wiedzieć, że członkowie tych na pół tajnych organizacyi wspierają się wzajemnie przy każdej sposobności i z podziwienia godną solidarnością. Wspierają się i w polityce, i w interesie i w każdej ważnej potrzebie, w sposób w krajach europejskich po prostu nie znany. W czasie wyborów np. idą po ložach tajne hasła i rozkazy, którym żaden z członków nigdy się nie sprzeciwi. Jest to ogólnie znaną tajemnicą, że aby dostać się na urząd, często nawet wcale nie wysoki, trzeba koniecznie być członkiem przynajmniej jednej takiej organizacyi |bo te co do popierania swoich członków, często wchodzą z sobą w kompromisy| i niema bodaj przykładu, aby obywatel nigdzie, do żadnej organizacyi nie należący, wybił się na jakiekolwiek stanowisko. W rachubę wchodzą tu także wyznaniowe i narodowościowe organizacye, bo Amerykanin przywykł już do liczenia się nie z jednostką, ale z tymi, co po za nią stoją związani z nią braterstwem.

Taki to już kraj dziwny!

I nietylko w polityce, ale nawet i w sądach stosowana jest ta zasada braterstwa... Są zrzeszenia, które stosują je, podobnie jak hasło: "**right or wrong — my country**", |słusznie czy nie słusznie, idę z tem co dobre dla ojczyzny| — do osób pojedyńczych: — słusznie, czy nie, ale nasz brat — i wszystkich używają wpływów aby uwalniać i ratować nawet rzeczywistych przestępców, nawet zbrodniarzy. Nieraz to wychodzi na jaw, chociaż prasa rozpisuje się o tem niechętnie, gdyż i reprezentantów prasy wiążą rozmaite zobowiązania wobec lóż rozmaitych.

Otóż dzięki tym wszystkim okolicznościom i temu ustrojowi tutejszego życia społecznego, w Stanach Zjednoczonych prawie już niema takich ludzi, którzyby nie oceniali wartości życia organizacyjnego.

Zrozumiała to także ludność napływowa różnych narodów europejskich i umiejętnie do celów własnych wyzyskuje.

Organizacyom ogólno-amerykańskim, najpierw wyraźnie antykatolikom, często masońskim, lub bezwyznaniowym, przeciwstawiły się przedewszystkiem katolickie |foresterzy np., Rycerze Kolumba itp.| i wyznaniowe, a potem i narodowościowe, walcząc tą samą bronią, a nie rzadko wchodząc też w kompromisy.

Te wyznaniowe, katolickie organizacye, trzeba tu otwarcie powiedzieć, nam Polakom dużo wyrządziły szkody, bo pociągnęły ku sobie dużo naszych mało uświadomionych braci i więcej narobiły spustoszenia, aniżeli organizacye czysto amerykańskie, do których wstępuje bardzo niewielu i to przeważnie jednostek, których wchłonąć całkowicie już nie potrafią.

Ale i narodowościowe organizacye rozwijają się w ostatnich czasach co raz potężniej. **Niemcy pierwsi zrozumieli, że kultura, język, wspólna krew, historya i wszystko, co się składa na odrębną rasę i naród, to czynniki daleko silniejsze, aniżeli jakieś wymyślone hasło, znak tajemniczy a choćby najwymyślniej brzmiąca przysięga w jakiejkolwiek loży organizacyjnej.** Niemcy pierwsi stworzyli tu jeden wielki Związek Narodowy Niemiecki, złączywszy w nim wszystkie wyznaniowe i cywilne organizacye w którym od razu znalazło się blisko 3 miliony ludzi niemieckiej krwi i pochodzenia.

Ten związek śmiało już może wchodzić w pertraktacye z najpotężniejszemi nawet tajnemi organizacyami Ameryki — może wchodzić w pertrakcye, bo w danym wypadku może także walczyć skutecznie.

Istnienie tego Związku, uwalnia też Niemców od potrzeby należenia do rozmaitych lóż amerykańskich.

Wystarcza im w zupełności.

Stanowi siłę sam w sobie.

To też już się puszą. Wszyscy pamiętamy, jak wbrew interesom tego kraju żądali zmiany taryfy celnej z korzyścią dla ich ojczyzny...

My Polacy, nie stanęliśmy jeszcze w swojej organizacyi narodowościowej, tak wysoko, jak Niemcy, ale też nie jesteśmy ani tak liczni, ani tak dawno osiedleni, ani tak zamożni. Jesteśmy jeszcze rozbici, jak do niedawna rozbici byli Niemcy, ale zbliża się czas, że i u nas wszyscy zrozumieją potrzebę i korzyści połączenia się w jedną organizacyę.

Jeżeli Niemcy pomimo większych niż pomiędzy nami sprzeczności [bo mają przecież pomiędzy sobą i poddanych dwóch monarchów i wyznawców rozmaitych wyznań], potrafili się zjednać, potrafimy i my!

ROZDZIAŁ III.

Nieco o prawie naturalnem. — Polskość naszym fundamentem w walce o byt. — O zaspakajaniu potrzeb kosztem jak najmniejszego wysiłku. — O ludziach małej wiary. — Nieco o żydach. — O siłach tajemniczych dzięki którym istnieją. — Dlaczego inne ludy w dawnych czasach tak łatwo się wynaradawiały. — O władzy "pochodzącej od Boga". — Nauka na usługach możnych tego świata. — Prawa człowieka.

Poznaliśmy już, że żyjemy w kraju, w którym rozwój społecznego życia układa się w sposób zupełnie inny, niż w którymkolwiek na świecie, że układa się w sposób dla nas tak korzystny, iż przy solidarnie zorganizowanej woli, wszystko przeprowadzić można. Czuję atoli, że jeszcze nie przekonałem, że ten i ów kręci z niedowierzaniem głową, i z uśmiechem lekceważenia zarzuca mi niczem nieuzasadniony optymizm:

— Z motyką na słońce się porywasz, mój ty kochany optymisto — przemawia pod moim adresem. Łudzą cię pozory, manią chwilowe sukcesy — mnie nie przekonasz, bo ja wierzę, że prawo natury jest jedno od wieków, a historya nam powiada wyraźnie, że silniejsze organizmy pochłaniają słabsze, że musiało mu już uledz tyle i tyle nawet wielkich i potężnych narodów w przeszłości, a cóż dopiero mówić o emigracyach choćby nawet niewiedzieć jak licznych, które osiadły wśród społeczeństwa już posiadającego własną, wyrobioną kulturę.

I przytacza mi w myśli historyę Rzymian i Greków, historyę przetwarzania się narodów po epoce wielkich wędrówek, a z czasów późniejszych i lepiej u nas znanych, historyę, choćby tylko owej emigracyi Niemców, którą z taką łatwością przetrawiła Polska, że ślad jej ostateczny widzimy tylko w niemieckich nazwiskach, dziś często jak najgorętszych polskich patryotów.

Ja wierzę — powiada — w prawo natury i mnie nie przekonasz — na nic nasze wysiłki, bo praw natury człowiek nie jest w stanie odmienić nigdy.

Widzę z tej odpowiedzi, że nie wystarczy tu, nagromadzenie pewnej ilości faktów, na udowodnienie mojego twierdzenia, że trzeba sięgać głębiej, że trzeba rzecz poruszyć i zbadać, aż do jej najfundamentalniejszych podstaw, a chociaż to rzecz niezmiernie trudna, chociaż nikt jeszcze przedemną nie tylko nie wyczerpał, ale nawet nie tknął tego tematu — w odniesieniu do przyszłości naszego polskiego wychodźtwa w Ameryce, — nie cofnę się, spróbuję mych sił — boć idzie tu przecież o rzecz z ważnych najważniejszą, idzie o życie już nietylko przyszłych pokoleń, ale także o nasze własne...

Jeżeli istotnie mielibyśmy ginąć w tem morzu amerykańskiem, jeżeli to istotnie miałoby wynikać z niezłomnych praw natury, to — nie okłamujmy siebie, nie marnujmy sił, na bezpotrzebną obronę, skierujmy raczej energię naszą w kierunku jak najszybszej asymilacyi, która jak twierdzą t. zw. "trzeźwi" ułatwi masom naszego ludu walkę o byt w tym kraju.

Ale ja twierdzę właśnie przeciwnie!

Twierdzę mianowicie, że po przejściu pewnego procesu asymilacyjnego, który jest koniecznym dla uzdolnienia nas do życia społecznego i obywatelskiego w tym kraju, my w trzymaniu się naszej narodowości polskiej znajdziemy **fundamentalną podstawę w gromadnej walce o byt.**

Natura niema takiego prawa, któreby bezwzględnie skazywało słabszych na pożarcie mocniejszym, bo i najsłabszym nawet w świecie zwierzęcym, często dała środki obrony; istnieje natomiast walka o byt, stanowiąca bezwzględnie najkardynalniejsze prawo natury.

Walka zaś o byt opiera się, jak stwierdza nauka o ekonomii politycznej, na dążeniu wszystkich ludzi **do zaspakajania swych pragnień kosztem jak najmniejszego wysiłku.**

Innych praw w naturze niema!

Na tle walki o byt i dążności do zaspokojenia pragnień kosztem jak najmniejszego wysiłku, rozsnuwa się cała historya rozwoju ludzkości.

W historyi mamy atoli tyle powikłań dotychczas nierozjaśnionych, tyle zboczeń, tyle wypadków rozmaicie przez naukę tłumaczonych, że rozmaite fakta rozmaicie dadzą się wytłumaczyć i uzasadnić.

Jakąż drogą doszli ci wątpiący w naszą przyszłość w tym kraju, do tego zaniku wiary, skutkiem czego rozgrzeszają się z karygodnej **swej bezczynności**?...

Otóż oparli się przedewszystkiem, nie na prawie natury, |którego istnienia dotąd nikt stwierdzić nie potrafił wyraźnie|, ale na historyi, która opowiada nam, że wypadki wchłaniania słabszych przez mocniejszych zdarzały się rzeczywiście i z nich to właśnie, za pomocą indukcyi wymotywowali owe wnioski o istnieniu takiego prawa natury.

Ta sama jednak historya, już nawet w odleglejszych wiekach zanotowała wypadek, że żaden z narodów nawet najsilniejszych, nie potrafił wchłonąc w siebie.... żydów, którzy przez dwa blisko tysiące lat nie dali się nietylko nigdzie wynarodowić, ale nawet zasymilować.

Już słyszę zarzut: żydzi to wyjątek, żydzi dawniej naród wybrany, potrafili wydobyć ze siebie rzeczywiście dużo siły odpornej, ale płacą za to zbyt drogo, bo taką pogardą świata, że żaden naród nie miał i nie będzie mieć odwagi ich naśladować.

Powoli, nie spieszmy się za bardzo z wydawaniem wyroków.

Zobaczmy przedewszystkiem dlaczego żydzi istotnie byli w odległej starożytności **narodem wybranym**: Oto dlatego, że był to wówczas jedyny bodaj naród, który w całej swej masie wiedział, że jest żydowskim. Żaden inny z narodów starożytnych nie stanął na szczycie tak powszechnego uświadomienia narodowego, jak właśnie żydowski. Wszędzie istniał podział na klasy, wszędzie tylko pewna klasa, mianowicie klasa rządząca była narodowo uświadomiona, i wszędzie prawie zagładę owym narodom przyspieszyły owe masy narodowo nieuświadomionych niewolników, które w chwilach przełomowych z największą rozkoszą dokładały ręki do niszczenia wszelkich śladów cywilizacyi, która w ich przekonaniu była źródłem wszelkiej tyranii.

Tylko żydzi stanowili wyjątek i dlatego potrafili przetrwać największe nawet nieszczęścia ojczyzny. Tradycyę tego powszechnego uświadomienia przenieśli też na tułaczkę i nawet w tych wiekach, kiedy nikt jeszcze nie myślał o oświecaniu ludu prostego, kiedy z podobnych usiłowań nietylko drwiono powszechnie, ale za polityczną zbrodnię je poczytywano, między żydami nie było prawie analfabetów. Znajomość pisma, wyniesiona do godności praw zakonu, sprawiła tyle, że ten naród przez długie wieki po zburzeniu Jerozolimy był rzeczywiście wybranym pomiędzy narodami ziemi.

Dopiero w ostatnich dziesiątkach lat cywilizowane narody Europy, dorównywać zaczynają pod tym względem pogardzanym powszechnie żydom, dopiero w ostatnich dziesiątkach lat widzimy narody pod względem powszechności uświadomienia narodowego dorównywające żydom.

W tej to właśnie powszechności uświadomienia narodowego, a w niczem innem, tkwi owa wielka odporność żydowska, i dlatego przez długie wieki byli wyjątkowym, jedynym rzeczywiście wybranym narodem.

Jedyny to naród żyjący, który się może poszczycić historyą liczoną nie na setki, ale na lat tysiące. Jedyny to naród, który w historyi swojej widział i początek i koniec wielu daleko potężniejszych od siebie pod każdym względem gromad społecznych. Za jego pamięci upadł potężny Egipt, przepadła Persya, zginęły wraz z wspaniałą cywilizacyą Rzym i Grecya; cała cywilizacya starożytna i wszystkie jej narody, nie potrafiły stawić czoła potężnej nawale hord barbarzyńskich w czasie wielkich wędrówek. Oni jedni nietylko cało wynurzyli się z tego potopu, ale nawet przeżyli wiele narodów młodszych, które się wyłoniły z zamętu walk i krzyżowania się ras po upadku cywilizowanych narodów starożytnych.

Za daleko doprowadziłoby nas wyliczanie wszystkich państewek i narodów, które wybitną odgrywały rolę w wiekach średnich, po których i śladu nie pozostało; przedewszystkiem w sąsiedztwie najbliższem Polski istniały, a następnie najazdowi Germanów uległy potężne Czechy, rozwijała się dalej samodzielna Litwa, zaś bardziej na południe w wielkie potęgi rozrastały się liczne południowo-słowiańskie narody, jak Serbia i Bułgarya, które znowu zagarnęła przemoc turecka.

Żydzi w owym czasie żyli już w wielkiem rozprószeniu po całym świecie, wszędzie prześladowani, ale podczas gdy tak samo w Czechach jak na Litwie, jak i w krajach południowo-słowiańskich, w czasie największego rozkwitu potęgi tych narodów, nawet na najwybitniejszych stanowiskach, nie było wcale ludzi umiejących czytać i pisać, u żydów znajomość pisma nakazana Zakonem, stanowiła kardynalną podstawę ich łączności.

I gdy w późniejszym rozwoju wymienionych narodów, zaledwie setki a najwyżej tysiące, żyły życiem obywatelskiem, korzystały z praw i przywilejów, a lud w całej swej masie jęczał w niewoli, zaspokojenie głodu, uważając za jedyny cel życia, u żydów, podobnie jak w czasach największej potęgi — wszyscy odczuwali jedność pochodzenia i jedność dążeń całej swojej gromady.

Wzmacniające się prześladowania, wzmacniały tylko tę jedność i jak dowodzi historya, nic jej rozbić nie potrafiło.

Inaczej stało się z państwami Słowian, o których była mowa powyżej.

Najazdy germańskie i tureckie po złamaniu oporu nielicznej garści rycerstwa i szlachty, nie znalazły już później prawie przeszkody w takiem przetwarzaniu ludności zagarniętej, jaka się dla zdobywców okazała najkorzystniejszą.

Szlachta o ile nie wyginęła na polach walk, nie mając ani materyalnych ani moralnych sił do oporu, turczyła się i germanizowała z niesłychaną łatwością, tembardziej, że w zamian za to odstępstwo kupowała sobie często łaskę zaborcy pod postacią wolności dalszego gnębienia swoich poddanych. Lud zaś, tę zmianę panów przyjmował zazwyczaj zupełnie obojętnie; było mu to bowiem prawie wszystko jedno, czy pan okładający jego plecy batem, wymyśla mu w słowiańskim, czy też w innym języku.

Inaczej było na Litwie.

Monarchowie rodu litewskiego, zasiadający na tronie polsko-litewskim, pociągali szlachtę litewską po zaszczytne godności i posady do krajów koronnych, zaś szlachtę polską, tą samą drogą pchali w krainy litewskie. Nie potrzeba było zbyt długiego czasu, aby zatarły się prawie wszystkie różnice pomiędzy jedną i drugą.

A lud spał wszędzie!

— Panowie nigdzie nie pytali się ludu, o jego wolę. Na świecie szalały burze, zmieniały się trony, szlachta walczyła, turczyła się, germanizowała, lub polonizowała, a lud spał snem pełnym udręki i cierpień, niezdolen do żadnego oporu, bo ciemny i bezwładny.

Mijały wieki, a w położeniu ludów cierpiących nie widać było zmiany najmniejszej. Świat już zapomniał, że kiedyś istniało potężne królestwo czeskie, że na ziemiach Turcyi europejskiej żyły buńczuczne wolne ludy słowiańskie, że Litwa miała swoje dni chwały zwycięskie tocząc boje z germańską nawałą.

Kto ocalał, cieszył się życiem; o tych, którzy zginęli, nikt już nie myślał. — Sami sobie winni — mogli się byli bronić, kiedy czas był, nie bronili się, — przepadło!

I urobiło się zdanie i przekonanie, że w walce o byt, mocniejszy zawsze zwycięża; chrześciańska Europa aż do rewolucyi francuskiej pod koniec ośmnastego stulecia, korzyła się

przed Siłą, jako najwyższą potęgą, której ulegać musi wszystko, co żyje.

Nie ulegli jej wprawdzie słabi, wszędzie pogardzani i wszędzie prześladowani żydzi, ale ktoby sobie tam głowę kłopotał tak plugawym narodem, ktoby tam chciał zadawać sobie trudy nad badaniem źródła ich dziwnej siły odpornej.

Doszło do tego, że ktokolwiek z przypadku, czy z konieczności znalazł się poza granicami własnej ojczyzny, dokładał wszelkich sił, aby jaknajprędzej zrzucić z siebie dawną skórę i jak najrychlej upodobnić się z otoczeniem. Trzeba tu dodać, że za granicę ojczystej ziemi, przedostawać się mogły w owych czasach tylko klasy wyższe, szlachta, kupcy, wojskowi, duchowieństwo, czasami też rzemieślnicy. Doszło dalej do tego, że te klasy wyższe, o ile należały do narodów mniej silnych i mniej sławnych w Europie, tak mało sobie ceniły własną odrębność narodową, że — do własnych środowisk wprowadzały zwyczaje i języki narodów mocniejszych, o kulturze bardziej wyrobionej.

Był przecież taki czas, w którym można było przypuszczać, że cała Europa sfrancuzieje; strój francuski zapanował wszechwładnie, a język francuski zastąpił łacinę, która w wiekach średnich była językiem dworów panujących, uczonych i duchowieństwa.

Poczucie przynależności narodowej bardzo było słabe u szlachty, a w masach ludowych nie było go wcale. Co więcej, u szlachty herbowej całego świata urabiało się poczucie międzynarodowej przynależności klasowej, więc nic dziwnego, że z taką łatwością wyzbywano się cech narodowych, przy lada okazyi i dla lada jakiego powodu.

Zaś masy narodowe wszędzie pogrążone w głębokiej ciemnocie, spętane niewolą, pędziły żywot bezmyślny wołów roboczych.

A taką była wiara w potęgę silniejszych, że nietylko nikomu nie przychodziła myśl o oporze, myśl o zmianie tego porządku, ale nawet zaczęto go zaliczać do praw natury, bo wszystko to było uważanem za prawa z góry przez Boga ustanowione.

A taką była wiara w tę potęgę, że i później, już po odkryciu Ameryki, często się zdarza, |przy wydzieraniu sobie wzajemnie przez kolonialne państwa europejskie obszarów tej ziemi|, iż ludność francuska np. lub holenderska dostawszy się pod panowanie angielskie, wnet przystosowywała się do nowego porządku, i przeciwnie, angielska do francuskiego, albo obie do hiszpańskiego lub portugalskiego. Kto zdobył dany

obszar ziemi, ten zaprowadzając w nim swój język urzędowy, wnet go innym narzucał.

Wierzono powszechnie: wszelka władza od Boga pochodzi; słabszy korzył się przed mocniejszym, uznając w tem wolę Bożą... Nawet uczeni uchylali głowy przed tą potęgą, zapominając, że już Chrystus głosił równość ludzi, w boskich przykazaniach miłości.

Nauka poszła na usługi możnych tego świata, od czego i dziś zresztą nie jest zupełnie wolna; świat uwierzył niezłomnie w to, że wytwór czysto ludzki — cały ówczesny porządek społeczny, z podziałem na państwa, ujarzmiające i pochłaniające słabsze narody, z królami i cesarzami na czele, ze szlachtą utrzymującą milionowe masy ludu pracującego w niewoli, że wszystko to dzieje się według niezłomnych praw natury, wprost z woli Stwórcy...

A wiara ta i to przekonanie, tak było potężnem, że w wielu wypadkach przeżyło wszystkie w ostatnim wieku dokonane przewroty, i utrzymuje się do dziś, podtrzymywane z jak największą gorliwością, przez tych, którzy mają w tem osobisty interes.

Dość przypomnieć, że i dziś jeszcze mówi się o koronowanych głowach w Europie, że panują z "Bożej łaski" — dość przypomnieć, że do czasu zniesienia pańszczyzny, uczeni całego świata dawny system uznawali za jedynie racyonalny i naturalny, dość przypomnieć, że i tu w Stanach Zjednoczonych, aż do czasu zniesienia niewolnictwa, zasiadali na katedrach uniwersyteckich ludzie, którzy naukowo udowadniali, jak ten barbarzyński system jest zgodny z prawem natury, a więc z prawem Bożem...

Dziś już większość tych praw, dawniej za niezłomne, za święte podawanych, leży pod gruzami dawnego porządku, pokryta pyłem zapomnienia.

Świat przetwarza się w myśl ewangelii Chrystusowej w kierunku — Praw Człowieka, ale ciągle jeszcze, pomimo jak najwyraźniejszych dowodów, że w rozwoju społecznym ludzkość nie ma żadnych praw naturalnych poza walką o byt, opartą na dążeniu wszystkich ludzi do zaspakajania swych pragnień kosztem jak najmniejszego wysiłku, za pomocą nauki nawet, szerzy się tu i ówdzie i propaguje przekonania wręcz przeciwne, a zgodne z interesem tych, którzy w danej chwili mają jeszcze w swem ręku — siłę.

ROZDZIAŁ. IV.

Bankructwo podstaw naukowych o "prawach asymilacyjnych" — Prawa "mniejszości narodowych" w Europie. — Ameryka pozostała w tyle. — Powód tego zacofania. — Rozćwiartowanie Polski przyczyną rozbudzenia się ludów. — Najdrobniejsze narody mają prawo do bytu i kulturalnego rozwoju. — W Europie niema asymilacyi.

Do takich błędnych twierdzeń, którym życie rozwijające się w Europie |pomimo rządzących jeszcze z "Bożej łaski" monarchów| na podstawie Praw Człowieka — zadaje cios za ciosem, należy rzekome naturalne prawo o asymilacyi, skazujące mniejszość na bezwzględne upodobnienie się do większości.

Pod wpływem rozwoju życia, wycofują uczeni ze swych katedr coraz śpieszniej dawne naukowe twierdzenia, a rządzący z "Bożej łaski" monarchowie, widzą się zmuszonymi do liczenia się i do uwzględnienia praw różnych "narodowych mniejszości".

W Stanach Zjednoczonych jeszcze do tego nie doszło. W Stanach Zjednoczonych, gdzie pomimo całej wolności na katedrach profesorskich najdłużej usprawiedliwiano naukowo system niewolnictwa, do dziś naukowo udowadnia się o istnieniu praw naturalnych, które ludność napływową skazują na bezwzględną asymilacyę, na bezwarunkowe wynarodowienie się.

Tego uczy się z katedr, o tem pisze się na łamach gazet szowinistycznych, i trzeba przyznać, że środek ten aż do lat ostatnich okazywał się bardzo skutecznym. Ludność napływowa, ulegała tej hypnozie, godziła się z przeznaczeniem, nie myślała nawet o tem, by wogóle mogło być inaczej.

Polacy ulegli także tej hypnozie, okazując to brakiem wiary w przyszłość własną ,nie w słowach wprawdzie, lecz w czynach, zdradzających wielki brak wiary.

Z tego co wyżej powiedzieliśmy wynika, że kwestyą jak największej wagi jest dla nas rozwiązanie zagadnienia czy istnieją w naturze prawa, skazujące w danych warunkach

mniejszości narodowe na zagładę przez wynarodowienie?

Pod hasłem: siła przed prawem, dokonywane były wszystkie grabierze i wojny zaborcze w wiekach średnich i nowych.

Cały świat chrześciański kornie chylił głowę przed dogmatem siły, do niej naginając i prawodawstwo i naukowe badania, nawet w fundamentach wiary szukając usprawiedliwienia najpotworniejszych zbrodni i uroszczeń. Deptanym ludom tłumaczyło się je wolą nieba i dopustem i karą Bożą.

W nędzy i upodleniu płynął ludzkości wiek jeden za drugim.

Dokoła wolnej jeszcze Polski coraz bardziej zaciskał się pierścień sił brutalnych, miażdżących swobodne dawniej narody.

Na ujarzmionej i zdeptanej swobodzie Słowian północnych oparł z jednej strony potęgę swą mongolsko-germański carat, z drugiej wyrastał krwią słowiańską zasilony potwór krzyżacko-pruski a i na południu po przeciwnej stronie Karpat, przetrawiali Węgrzy pochłoniętych przed wiekami Słowaków i inne narody słowiańskie, pomiędzy które wbili się klinem miażdżącym.

I mogło całemu światu się zdawać, że żaden z narodów słowiańskich nie ostoi się długo, że wszystkie skazane są na zagładę.

Tak sądzili przedewszystkiem późniejsi rozbiorcy Polski.

Zdawało im się, że mają dosyć dowodów niemocy ludów słowiańskich. Wszak potężny ongiś naród czeski uległ zupełnie, a zgermanizowana czeska szlachta służyła monarchom z "Bożej łaski" wierniej, niż rodowici Niemcy, wszak śladu już nie było polskości na Śląsku i rozległych ziemiach, dawniej rdzennie polskich i słowiańskich, wystarczył stosunkowo dość krótki przeciąg czasu do zupełnego ich przetrawienia. Widziano dalej, z jaką łatwością uporali się Węgrzy ze Słowacczyzną a tureckie pułki janczarskie, w krwi słowiańskiej — jak dowodzono, czerpały swoją psią wierność dla chorągwi proroka...

Słowiańska krew budziła coraz potworniejsze apetyty u monarchów z "Bożej łaski".

W rozszarpaniu Polski szło nietylko o grabież ziem i bogactw, wysiłkiem wielu pokoleń przez wieki nagromadzonych, ale także o ową słowiańską krew, którą zasilić się chciały te mocarstwa zaborcze, marzące o pułkach janczarów polskich dla popierania swoich dążeń potwornych.

A na katedrach uniwersyteckich zasiadający mężowie nauki, zapewniali ich, że jest to możliwe, wskazywali na rzekomę

prawa natury, według których tyle a tyle ludów słabszych uledz już musiało mocniejszym, krwią własną wzmacniając siłę pogromców....

Ułożono się, by dla łatwiejszego strawienia nowego łupu, roz ćwiartować go na trzy części — i rzeczywiście dokonano tej zbrodni, największej w dziejach ludzkości, ale też i ostatniej...

Roz ćwiartowany żywcem naród, tyle miał w sobie sił żywotnych, i podniósł tak ogromny krzyk bolesnego protestu, że na jego głos bolesny drgnęły ludy całego cywilizowanego świata. Godzina największej owej w dziejach zbrodni, stała się, co dokumentalnie stwierdza historya, godziną przeogromnego przełomu w dziejach świata, punktem zwrotnym w rozwoju ludzkości.

Dopiero po pierwszym rozbiorze Polski zrozumiały narody, że są towarem, którym bezkarnie kupczą koronowane głowy, że los Polski może być losem wszystkich, jeżeli się przeciwko temu nie zabezpieczą.

Aż do pierwszego rozbioru Polski, w całym świecie cywilizowanym w życiu społecznem udział brały wyłącznie tylko nieliczne klasy uprzywilejowane, a przedewszystkiem szlachta. W Polsce szlachta prędzej niż w którymkolwiek innym kraju zrozumiała, że nie potrafi sama obronić jego samodzielności i dlatego w Polsce pierwej niż gdziekolwiek zrodziła się wielka myśl uobywatelnienia ludu, uruchomienia nowych potężnych sił, które jak dziś wszyscy to już widzą wyraźnie — przekształciły i ciągle przekształcają do gruntu, społeczny i polityczny układ całego świata.

Do uobywatelnienia i uruchomienia mas ludowych w Polsce nie dopuściła wraża koalicya tronów, przyspieszywszy chwilę jej rozdarcia, ale strawić już nietylko ludu ale nawet szlachty nie potrafiła i nie potrafi nigdy.

Idea uobywatelnienia ludu niewolnego podniesiona przez szlachtę polską rozeszła się wraz z bolesnem echem protestu przeciwko rozbiorom po wszystkich krańcach cywilizowanego świata.

Lud francuski w krwawej rewolucyi pierwszy upomniał się o prawo obywatelstwa; jego śladem poszły niebawem kolonie angielskie, w Ameryce północnej, a nasz Kościuszko był pierwszym obywatelem w tej Rzeczypospolitej, który wyraźnie zaznaczył tu i podkreślił, że wolność kraju powinna być równie opartą na wolności wszystkich jego mieszkańców, nie wyłączając nawet murzynów, których pierwszy w tym kraju uznał za ludzi.

Gdyby o tem wszystkiem chcieli pamiętać wszyscy przewodnicy społeczeństwa polskiego w Ameryce, nie przejawiałoby się tyle niewiary w przyszłość w całem ich postępowaniu.

Tak jest — z Polski naszej, z duszy tej nieszczęsnej i grzesznej Polski szlacheckiej, poszła na cały cywilizowany świat idea, która go jak najgruntowniej przeobraża i zmienia.

Zrodziła się zaś z myśli o zupełnie egoistycznej obronie, wyłoniła się z walki o byt, stwierdzając następnie całym szeregiem zdarzeń i faktów, że niema w naturze prawa skazującego bezwzględnie na zagładę żadnych słabszych i mniejszych narodów, i że zarówno dawna uległość, jak i dzisiejszy opór źródło swe mają w jednem i tem samem prawie natury: chęci zaspokojania potrzeb kosztem jak najmniejszego wysiłku.

Koalicya mocarstw rozbiorczych nietylko, że nie potrafiła przetrawić rozgrabionej Polski, ale doczekała się niebawem czasów, w których pod tchnieniem prądów nowożytnej cywilizacyi, coraz szersze zataczającej kręgi, rozbudziły się w ich granicach państwowych ludy, o których istnieniu już zupełnie zapomniano.

O prawa swoje upomina się coraz głośniej dawny niewolnik, nietylko jako człowiek i obywatel państwa, ale też jako Czech, Polak, Słowak, Chorwat, Litwin, Rusin, Bułgar, Serb itd.

Wiek dziewiętnasty, to okres niebywałych w dziejach przewrotów społecznych. W krwawych zawieruchach wojen i rewolucyi, grupują się potężne zrzeszenia kulturalne na jedności narodowej oparte, nie wszędzie wprawdzie państwowo samodzielne, ale z taką siłą żywiołową praw swych narodowych się dobijające, że nawet w tych państwach, które ostatkiem sił bronią starego porządku, nie ma już ludzi, którzyby wierzyli, że długo utrzymać się potrafi.

Interes zrzeszeń narodowych w kwestyi społecznej Europy wysuwa się na plan pierwszy. Pretensye dynastów-królewiąt i książąt rozlicznych, rozbudzone w swej świadomości ludy, pomieszczają w muzeach jako zabytki zamierzchającej przeszłości.

Jednoczą się na podstawie takich pretensyi podzielone Włochy i Niemcy, wzmacnia się jedność narodowa Francuzów, Hiszpanów, Portugalczyków, odradza się Norwegia i Szwecya, a równocześnie głowę podnoszą wszystkie ludy od wieków ujarzmione na całym obszarze Europy.

Anglia ma kwestyę irlandzką, Turcya serbską, bułgarską i grecką, Niemcy polską, Rosya polsko-finlandzką i parę in-

nych, Austrya czeską, polską, węgierską i także parę innych. Węgry słowacką i rumuńską, Polska litewską i rusińską.

Wszystkie ujarzmione w ciągu wieków narody, nawet te, których dawne obywatelstwo szlacheckie zangielszczyło się, poturczyło, zgermanizowało, spolonizowało, czy madziaryzacyi uległo, podnoszą głowę i albo z bronią w ręku walczą o swoje prawa, zdobywając niepodległość polityczną, albo usilną pracą kulturalną zmuszają rządy zaborcze do ciągłych ustępstw na drodze państwowego i krajowego prawodawstwa, umożliwiających coraz wszechstronniejszy rozwój ich narodowej kultury.

Ogólny postęp cywilizacyi Europy i całego świata rozwija się ustawicznie i coraz bardziej w tym kierunku, że umożliwia nietylko silniejszym, ale nawet najsłabszym narodowym zrzeszeniom samoobronę i rozwój.

Postęp cywilizacyi, idący w kierunku rozszerzającym prawa człowieka, nadający równe prawa obywatelskie wszystkim bez wyjątku klasom, nie może ich odmawiać narodom i narodowym zrzeszeniom, nawet tam, gdzie są w najdrobniejszej nawet mniejszości o ile **wydobędą dość ze siebie siły aby się o nie upomnieć.**

A pod wpływem tej samej cywilizacyi, dążącej ustawicznie do tego, aby w żadnym kraju nie było analfabetów, aby o ile możności wszystkich jego mieszkańców uzdolnić do pracy i służby obywatelskiej, siły te z roku na rok mnożą się niesłychanie.

Jest jeszcze opór po stronie obrońców starego porządku w państwach, mających w swem łonie wyżej wymienione wewnętrzne kwestye narodowych mniejszości, ale nie ma już wiary, by się dało je załatwić zdławieniem.

Austrya pierwsza weszła na drogę ustępstw, próbując za pomocą urządzeń autonomicznych umożliwić współżycie obok siebie w jednem państwie rozmaitym narodom. Nawet Niemcy dawno już przestali wierzyć, by się im udało zgermanizować chociaż jedną uczciwą polską rodzinę i do jednego tylko dążą, aby drogą kolonizacyi już nawet przymusowej, |prawo o wywłaszczeniu|, na ziemie polskie wpakować tyle Niemców, aby liczebnie przewyższali Polaków. Ten jeden tylko środek wydaje im się na dziś niejaką gwarancyą utrzymania swej władzy zaborczej nad tą ziemią w owej dobie jasnej, do której szybkimi krokami podąża ludzkość, a w której nie moc oręża decydować będzie o losach narodów, ale ich wola głosowaniem objawiona i większością głosów rozstrzygająca.

W odbudowanie Polski niepodległej wierzą dziś nietylko Polacy, ale nawet Niemcy i cały świat cywilizowany, bo ogólny postęp cywilizowanego świata idzie w kierunku obalającym wszelką niewolę polityczną i wszelki ucisk społeczny i narodowy.

Co więcej, poczucie etyczne, rozbudzone pod wpływem cywilizacyi, zmusza dziś do szanowania i uwzględniania interesów najdrobniejszych narodów, nawet najmniejszych narodowościowych kolonii, żyjących w łonie innych choćby najpotężniejszych.

W Europie nie ma dziś ani jednego żywego narodu, któryby w jakimkolwiek stopniu z jakiejkolwiek strony ulegał wpływom asymilacyjnym, wszystkie zaś, nawet najdrobniejsze, zapamiętale pracują nad wzmacnianiem swych sił, swojej jedności, swojego dorobku kulturalnego. Odnosi się to zaś nietylko do tych, którzy żyją w większem skupieniu na swojej wolnej, czy nie wolnej ziemi, ale także do tych, których walka o byt rozprószyła po świecie.

ROZDZIAŁ V.

Nieco o Słowakach. — Żywy przykład mocy, zdobytej wiarą w swe siły. — O Czechach i innych narodach słowiańskich. — Kwestya litewska i ruska w Polsce nowożytnej. — Polska, która dawniej przyasymilowała mieszczan we wszystkich miastach, nie może obecnie spolonizować jednej niemieckiej rodziny. — Unarodowienie ruchów proletaryackich. — Zmieniły się czasy.

W ostatnich latach w zdumienie wprawiają świat żywotnością swoją Słowacy.

Jest to naród, który już przed tysiącem lat stracił swoją niezawisłość, a właściwie mówiąc, nigdy jej nie posiadał, gdyż tylko razem z Morawianami wchodził w skład państwa Wielkomorawskiego, następnie rozbity, dostał się w niewolę węgierską i podobnie jak wiele innych uważany był za wygasły. Tymczasem jak wszędzie, tak i tutaj, jedynie szlachta się zmadziaryzowała, lud żył, i w czasie kiedy ludem interesowano się nie więcej niż bydłem roboczem, przeżył lat tysiąc, aż doczekał się chwili, w której wszystkie ludy Europy zyskiwać zaczęły możność zdobycia praw obywatelskich.

Chwila ta, zastała go w wielkim rozprószeniu.

Słowacy, którzy nigdy nie stanowili wielkiej potęgi, dopiero przed trzydziestu laty po raz pierwszy zaczęli się rachować, a do dziś doliczyli się do przeszło trzech milionów głów, rozprószonych po całym prawie obszarze węgierskiego królestwa i Morawii i w pojedyńczych osadach, w Austryi Niższej, Bukowinie, Slavonii i w Ameryce. Tylko w dziesięciu komitatach północno-wschodnich Węgier stanowią oni większość ludności, oczywiście wiejskiej i drobnomieszczańskiej, najbardziej upośledzonej, bo wszystkie wyższe stanowiska już przed wiekami przeszły w ręce Węgrów.

Chwila ta, zastała ich dalej rozdwojonych religijnie, bo apostołowie czeskiego husytyzmu znaleźli ongiś wdzięczne pole dla propagandy reform religijnych wśród katolickiego ludu

słowackiego i jedną trzecią jego część przeciągnęli na swoją stronę.

Chwila ta zastała ich wreszcie zupełnie ciemnych, bez żadnego kulturalnego dorobku, z językiem literacko-niewyrobionym, w którym zaledwo pismo święte, pewna liczba ksiąg religijnych i pieśni, oraz podań ludowych były drukowane w dawniejszych czasach.

Nie mieli zatem nic. Ani kulturalnego dorobku, ani organizacyi, ani nawet świadomości swej liczby. Z dawnej przeszłości pozostał im tylko język i wielkie umiłowanie swojszczyzny.

Gdy przez Europę przebiegać zaczęły prądy budzące w śpiących ludach z razu tęższe tylko jednostki do czynnej pracy dla ogólnego dobra, gdy zwłaszcza rozbudziły się najbliższe duchowo Słowakom Czechy, znalazło się z początku kilka, potem kilkanaście, kilkadziesiąt i tak dalej patryotów także i w Słowacczyźnie, którzy podjęli wielką myśl zbudzenia i zjednoczenia tego rozproszonego narodu swego, aby i on godnie przygotował się na to jutro społeczne, w którem wszyscy korzystać mają z pełni praw i swobody życia według własnego upodobania.

Ciężkie i trudne było to zadanie, tak trudne, że nawet my Polacy nie możemy mieć dokładnego o tem pojęcia, bo my w czasie, kiedy rozpoczęła się praca nad oświatą ludu, mieliśmy przecież i kulturę narodową wspaniale wyrobioną i ludzi do takiej pracy uzdolnionych całe gromady.

Nie cofnęli się jednak patryoci słowaccy, i pomimo przeszkód nietylko ze strony rządu węgierskiego, ale także węgierskiego społeczeństwa, w łonie którego żyły szczątki starożytnego narodu, doprowadzili do tego, że dziś, pomimo urzędowej szkoły węgierskiej, pomimo obowiązkowej służby wojskowej w szeregach węgierskich, pomimo najrozmaitszych prześladowań, jakimi nękane są ich towarzystwa narodowe, ogromna większość Słowaków czyta słowackie pisma, umacnia się w swej słowackiej jedności narodowej, walczy wytrwale o prawo rozwoju samoistnego i zdobędzie go, bo czasy idą takie, że żaden naród cywilizowany, godność własną szanujący, nie będzie mógł odmówić tych praw, z których sam korzysta — nikomu.

My, Polacy amerykańscy, lepiej możemy ocenić tę słowacką tężyznę ducha, aniżeli nawet rodacy nasi w kraju ojczystym, bo patrzymy tu z bliska na ich organizacyę, i na ich tu uprawianą pracę społeczną.

Wystarczy, skoro tu powiem, że Słowacy, których w całym świecie jest mniej, niż nas w Ameryce, mają więcej członków w swoich amerykańskich organizacyach narodowych, aniżeli Polacy...

Jest między nimi a nami jednak wielka różnica: Oni z rozprószenia swego w Europie, nawet tu do Ameryki przywieźli wielką wiarę w ducha swego narodu, a wiara ta daje im siłę twórczą, przy pomocy której budują jedność swą, której nawet największe rozprószenie osłabić nie będzie w stanie. My, na wiarę taką tu w Ameryce dotąd zdobyć się nie potrafili, a choć lud polski obcych nawet swą energią zadziwia, wodzowie tego ludu dla jego jedności, dla połączenia jego wysiłków zrobili o wiele mniej niż Słowacy.

O Czechach pisać wiele nie trzeba; historya ich rozwoju znaną jest ogólnie, a nawet ci, którzy nie znają szczegółowo ich historyi, wiedzą o tem, że są jednym z tych narodów, który w całem tego słowa znaczeniu z martwych powstał do społeczno narodowego życia zaledwo przed kilkudziesięciu laty i z niewoli niemieckiej wyszedł ogołocony z warstwy szlacheckiej, która przyjąwszy kulturę niemiecką, doszczętnie się zgermanizowała. Czechy pod tym względem przeszły przez ten sam proces pozornej martwoty co nasz Ślązk, w którym także szlachta polska doszczętnie się zgermanizowała, a który obecnie tak przeraża Niemców polskim patryotyzmem rozbudzonego w narodowej świadomości ludu polskiego.

Nie trzeba tu bardziej szczegółowo rozpisywać się o historyi Słowian południowych, Bułgarach, Serbach, Chorwatach, Slovencach, wystarczy tu ponowne skonstatowanie faktu, że data rozbudzenia się ich świadomości nie wiele odbiega od daty rozbudzenia się jej w Czechach, Irlandyi i gdzie indziej.

Polska nie stoi w rzędzie tych narodów, które dopiero w tym okresie rozbudzają się do narodowego życia, Polska podobnie jak Francya, Niemcy, Anglia, Włochy i inne narody, doczekała się tego okresu rozbudzenia się mas ludowych do życia społecznego, przy podobnym zupełnie co tamte układzie klas i warstw społecznych. Różnica jest tutaj ta tylko, że narody wyżej wspomniane doczekały się tego okresu w pełni rozkwitu własnych urządzeń państwowych, Polska natomiast już po utracie swojej niepodległości.

Ale i Polska, pomimo, że rozdarta, że z mapy państw europejskich wymazana, nie potrafiła uchronić się przed zamętem wywołanym budzeniem się dawno za wygasłe uznanych narodów i ma ją także w granicach dawnego swojego państwa, tak samo, jeżeli nie bardziej jątrzącą, jak wszędzie.

Nie uchroniła się przed zamętem nawet tem, co już w jednym z poprzednich rozdziałów staraliśmy się jak najwyraźniej podkreślić, że ona właśnie, jej los nieszczęsny stanowił główną

pobudkę dla wszystkich narodów, w podjęciu całego szeregu usiłowań nad narodowem uświadomieniem mas ludowych, celem wzmocnienia swych narodowych sił.

Polska bowiem w ciągu wieków, wprawdzie nie drogą podbojów, ale na skutek dobrowolnej unii połączywszy się z Litwą i Rusią przez kilkuwiekowe współżycie państwowe z tymi narodami, do tego stopnia zasymilowała ich szlachtę, że okrom nazwisk nie wiele pozostało w niej cech dawniejszych.

Oprócz tego, jak wiemy, do obu tych krajów ciągle napływała ludność polska i w końcu doszło do tego, że tak mieszczaństwo jak i szlachta w chwili rozbiorów Polski w Litwie jak i na Rusi niczem prawie nie odróżniała się od swoich braci w Koronie.

Lud, który pozostał niezmiennie ruskim i litewskim, jak wszędzie, tak i tutaj, nie był brany w rachubę.

Rozbudzenie się tego ludu później, co prawda nastąpiło, jak w całej Europie, później nawet jak w Polsce, ale mimo to, nie mogło być innem, niż wszędzie. Chłop litewski i ruski, po rozbudzeniu się swojem, nie mógł żadną miarą odczuć swej przynależności do dawnej polskiej państwowości, nie mógł odczuć, historycznej, ani żadnej innej łączności, bo nie miał pod tym względem żadnych wspomnień, bo przez długie wieki był tylko własnością, inwentarzem, rzeczą po prostu, więc po rozbudzeniu świadomości narodowej, obok poczucia litewskiego i ruskiego pochodzenia, rozbudzić się musiała nienawistna niechęć do wszystkiego, co polskie a tak ściśle związane z dawniejszą jego niedolą.

Kwestyę ruską i litewską w Polsce, załatwić i rozwiązać pomyślnie może jeden tylko czas. Polska, rozumiejąca cały ten proces przekształcania się, budzenia i formowania narodów, wcale nie myśli dziś o prześladowaniu Litwinów albo Rusinów, a jeżeli są zatargi, to dlatego, że **broni swojego stanu posiadania na Litwie i Rusi**, że Polacy tam od wieków żyją, nie myślą ani polskości się wyrzekać, ani placówek raz zajętych opuszczać.

Jak to powiedzieliśmy, jeden tylko czas tę kwestyę rozwiązać potrafi.

On z jednej strony przekona Litwinów i Rusinów, że walka nie może być zawsze podstawą ich rozwoju i że koniecznie trzeba zgodzić się na współpożycie z Polakami, którzy tam się znajdują, z drugiej strony, on tylko może wytworzyć takie same warunki, jakie wytworzyły się w wiekach ubiegłych, które coraz bardziej zacieśniały węzły braterstwa tych trzech narodów.

Jedna tylko pomiędzy przeszłością a przyszłością będzie różnica: Młoda Litwa i Ruś młoda, nie poddadzą się już żadnym asymilacyjnym wpływom polskiej kultury, bo ich własna takim wysiłkiem zdobywana jest i będzie im tak drogą, jak i wszystkim narodom na ziemi.

A w dalszym ciągu będzie mieć Polska w łonie swem także kwestyę żydowską i niemiecką, bo Polska tak samo, jak i cały świat widzi, że dziś nawet mowy być nie może o asymilacyi większej gromadki obcych przybyszów, którzy w łonie innego narodu się osiedlili.

Kultura narodowa jest dziś wszystkim zarówno droga.

Zmieniły się czasy!

Ta sama walka o byt, jedyne wszelkie stworzenie obowiązujące prawo natury, która w wiekach dawniejszych kazała się wszystkim, poza kresy własnego kraju wyrzuconym, wyzbywać jak najrychlej cech dawnych, by przy jak najmniejszym wysiłku mieć możność życia, to samo prawo dziś wskazuje na zachowanie i trzymanie się kultury swojego narodu i na łączność z nim, jako na bardzo potężny środek, walkę o byt ułatwiający.

Polska, która potrafiła w wiekach dawnych zasymilować niemieckie mieszczaństwo prawie wszystkich swych miast, Polska, która polonizowała całe kolonie niemieckie, **nie może dziś spolonizować nawet pojedyńczej niemieckiej rodziny, która opuściła kraj niemiecki już po dokonanem przetworzeniu narodu, po odrodzeniu się jego masy ludowej.**

Kultura narodowa, jest dziś wszystkim zarówno drogą, zarówno tym, którzy w zbitej masie zamieszkują ziemię ojczystą, jak i tym, którzy tworzą mniej lub więcej liczne kolonie w obcych środowiskach. Zaś wspomniana już w jednym z poprzednich rozdziałów łatwość komunikacyi, kolosalny rozwój prasy i literatury, uświadomiła do tego stopnia wartość kultury narodowej wszystkim, że stała się ona skarbem prawdziwym przez wszystkich jednakowo cenionym.

Zmieniły się czasy stanowczo!

Średniowiecze, wraz ze swym oligarchicznym ustrojem społecznym, z wojnami o dziedzictwo tronów, z pożogą wojen religijnych, w których nigdy nie walczył naród z narodem, ale król z królem, lub wyznanie z wyznaniem, minęło już bezpowrotnie. Minęły już bezpowrotnie owe czasy, w których kulturę narodową lekceważono sobie wszędzie, dlatego, bo jej prawie nie było, a raczej była jedna, europejska, ściśle mówiąc, łacińska; minęły i te czasy, kiedy lekceważono ją sobie dlatego, bo była dorobkiem i własnością zaledwie setek, a następnie tysięcy je-

dnostek w każdym narodzie, nie interesując po za niemi nikogo. Dziś, z całą świadomością nad podniesieniem kultury każdego kraju i narodu pracują miliony, znając i odpowiednio ceniąc wartość tych wysiłków, bo prasa i literatura każdego narodu ciągle i wszystkim nawet po najdalszych koloniach rozrzuconym trzyma to przed oczyma jako największą świętość narodową. A dokonały tego wszędzie przedewszystkiem szkoły ludowe i wytężona praca nad podniesieniem poziomu oświaty ludu.

I dlatego zmieniły się czasy.

Zaś ruch ten, rozpoczęty w pierwszych dziesiątkach lat wieku dziewiętnastego, rozwija się i potęguje z roku na rok, zataczając coraz to szersze kręgi, do tego stopnia, że większy wywiera wpływ na kształtowanie się stosunków społecznych we wszystkich państwach europejskich, w których istnieje, aniżeli ogólnoświatowa walka pracy z kapitałem, o której przez pewien czas mylnie sądzono, że potrafi go zepchnąć na drugi plan albo i całkiem usunąć z porządku dziennego.

Ruch ten okazał się tak silnym, że potrafił nietylko przygłuszyć tak potężnie niedawno jeszcze rozlegające się hasło socyalistów: "proletaryusze wszystkich krajów łączcie się", ale nawet kwestyę narodową sprowadził do samego środka tego międzynarodowego ruchu.

Ruch ten okazał się tak silnym, że kwestyę narodową potrafił wprowadzić nawet do powszechnego rzym.-katolickiego Kościoła, uzyskując najwyższą aprobatę Stolicy Apostolskiej, błogosławiącej każdemu narodowi, szanującej i polecającej szanować wszelkie narodowe pamiątki, wszelkie narodowe tradycye, jako świętość najwyższą, a nietykalną.

Raz rozbudzony, z siłą prawdziwie żywiołową dokonuje wolno lecz stale kolosalnych przewrotów społecznych, stwierdzając ustawicznie, że w układaniu się warunków współżycia rozmaitych ludów obok siebie najważniejszą rolę odgrywać będzie poszanowanie ich kultury, odpowiedniemi prawami każdego państwa czy narodu formalnie zastrzeżone.

Kwestya ta, teoretycznie, w całej Europie już jest stanowczo stwierdzoną i rozstrzygniętą.

W Stanach Zjednoczonych, jak dotąd nie była jeszcze nigdy przedmiotem jakiejś szerszej publicznej dyskusyi. Jak dotąd istnieje z jednej strony cicha, ale zawzięta walka, aby do tego nigdy bodaj nie dopuścić, z drugiej zaś, często bezwiednie nawet, ale z siłą wprost żywiołową formują się narodowościowe skupienia, odczuwając coraz wyraźniej potęgę własną.

Czy dojdzie do jakich silniejszych starć jawnych, czy będą one wogóle potrzebne, trudno dzisiaj przewidzieć. W każdym razie, Stany Zjednoczone, nie stanowią żadnej osobnej planety, a przestrzeń, dzieląca je od Europy, skutkiem ustawicznego ulepszania środków komunikacyjnych zmniejsza się z każdym nieomal rokiem.

ROZDZIAŁ VI.

Narodowość w Stanach Zjednoczonych jest przywilejem prywatnym. — Odgrywa jednak wielką rolę w życiu publicznem. — Mamy prawo swobodnego rozwoju, należy tylko z niego korzystać. — W trzymaniu się narodowości tkwi nasza siła społeczna. — Wielka siła żywiołów napływowych i lęk Yankiesów. — Sto milionów nowych przybyszów w następnych stu latach. — Co to znaczy? — Nowożytne pojęcie narodowości. — Wola ludzka wobec praw natury. — Polacy w Ameryce nie wynarodowią się nigdy.

W poprzednim rozdziale powiedzieliśmy, że kwestya narodowości obywateli tutejszych nie występowała w Stan. Zjednoczonych nigdy w takiej formie, jak w Europie, nie była też nigdy przedmiotem oficyalnej dyskusyi |mam na myśli kongres| lub walki o prawa narodowościowe grup poszczególnych w europejskiem tego słowa znaczeniu.

Dzieje się to poprostu dla tego, że w Stanach Zjednoczonych **narodowość, podobnie jak religię uważa się za przywilej prywatny wszystkich obywateli,** przywilej po prostu nietykalny, postawiony na wysokości dogmatu wolności osobistej, na podstawie którego wszystkie grupy narodowościowe mają **absolutną** swobodę, wiązania i zakładania takich korporacyi, stowarzyszeń i organizacyi, jakie kto uważa za konieczne dla ochrony i podtrzymania interesów swego wyznania, sekty, czy narodowości.

Wynika to poprostu z ducha ustaw zasadniczych, któremi rządzi się ta nasza przybrana ojczyzna, z tych paragrafów jej konstytucyi, których zmienić nie może ani kongres, ani nawet wola większości całego ogółu obywatelstwa, którą obalić by mogła jakaś wielka chyba a krwawa wojna domowa, podjęta w imię hasła o skasowanie wolności, co chyba zupełnie jest wykluczonem.

Ale ta absolutna wolność wyznań i stowarzyszeń nie wyklucza bynajmniej starć rozmaitych i walk jakie z niej wypły-

wają. Przeciwnie, stanowi ich fundamentalną podstawę, która z biegiem czasu rozwijać się tylko będzie i Bóg wie, jakie jeszcze przybierze rozmiary.

Zastanówmy się nad tem głębiej cokolwiek:

Konstytucya Stanów Zjednoczonych, uznawszy raz, że religia i narodowość stanowią prywatny przywilej wolnego życia jej obywateli, po zagwarantowaniu im opieki prawa w używaniu tej wolności, podobnie jak gwarantuje opiekę nad własnością prywatną, nie może żadną miarą zapobiedz, by obywatele prywatni nie używali w życiu publicznem dla przeprowadzenia swoich zamiarów wszystkich sił, jakie im daje, czy to własność prywatna, czy właśnie owa wolność stowarzyszania się w imię prywatnych interesów ich wyznania czy narodowości.

W obliczu prawa, jeżeli idzie o nasz udział w życiu publicznem, w wywieraniu indywidualnego wpływu na kierunek polityki Stanów Zjednoczonych, na udział w rządach, w zajmowaniu urzędów itp., jesteśmy wszyscy równi. Ubiegać się może obywatel każdy czy bogaty czy ubogi, mądry czy głupi, katolik, czy protestant, Irlandczyk, czy Polak, murzyn, czy też biały.

Ale czy wszyscy mogą naprawdę korzystać z tego przywileju?...

Korzystają ci tylko, którzy wykażą potrzebne kwalifikacye, na które jak wszędzie, tak i w Stanach Zjednoczonych, składają się te same czynniki.

Nie wolno tu nikomu ubiegać się o urząd dlatego tylko, że jest bogaty. Ale bogaty prędzej go otrzyma, niż biedny.

Nikt tu nie zdobędzie żadnego urzędu, dla tego tylko, że jest wykształcony, ale wykształcenie zawsze mu zdobycie urzędu ułatwia.

Nikt nie może wysuwać swojej kandydatury, jako katolik, protestant, Niemiec, Polak, Francuz, albo wreszcie murzyn, czy biały, ale wolno mu zaapelować do współwierców i współplemieńców o poparcie **i dlatego właśnie, religia i narodowość, będące tu w obliczu prawa przywilejem prywatnym, odgrywają jednak w życiu publicznem wielką rolę, tak samo, jak ją odgrywa majątek i wykształcenie, przywileje również prywatne.**

Z tego widzi chyba już każdy, że Stany Zjednoczone nie mogą pomimo na pozór odmiennego założenia, wykreślić z życia społecznego wpływów ani wyznań przeróżnych, ani narodowości i znajdują one tu zupełnie takie samo oparcie w życiu, jak w całym świecie cywilizowanym.

Kraj ten, podobnie jak cały świat będzie na zawsze widownią ścierania się wewnętrznego interesów najrozmaitszych

grup społecznych, z tą tylko różnicą, że tu prawdopodobnie prędzej niż gdziekolwiek grupy te potrafią unormować względem siebie warunki współżycia, co zresztą do pewnego stopnia już się tu dokonało.

Żadne wyznanie ani też żadna narodowość, mając z góry zapewnione prawa swobodnego rozwoju, nie potrzebuje tu, podobnie jak w Europie, dobijać się dopiero o uznanie, ale każde i każda musi się starać tak prawa te wykorzystać, by się jak najbardziej wzmocnić, by jak największe osiągnąć z nich korzyści.

I w tym kierunku właśnie rozwija się w ostatnich dziesiątkach lat życie społeczne w tym kraju co raz wyraźniej.

Potomkowie dawniejszych kolonistów, którzy w wiekach ubiegłych z taką łatwością wyzbywali się swej narodowości, bo w walce o byt w nowych warunkach nie miała ona dla nich żadnego znaczenia, dziś sami widzą, że zmieniły się czasy i bynajmniej nie lekceważą siły tych milionowych mas ludności napływowej, która tu w ostatniem piędziesięcioleciu się osiedliła i stopniowo a gruntownie zmienia charakter całego kraju.

Widzą oni dokładnie, że ta świeższa emigracya, rekrutująca się z uświadomionych narodowo ludów europejskich, inaczej ceni dorobek kulturalny swojego narodu, niż ci, którzy przybyli tu w czasach dawniejszych, kiedy świadomość narodowej kultury była przywilejem nielicznej tylko klasy uprzywilejowanej.

Dowodzi tego gwałtowna agitacya za obostrzeniem praw imigracyjnych, za zamykaniem granic dla imigracyi, słowiańskiej zwłaszcza, jako najniebezpieczniejszej, zapewnie dlatego, że u niej pierwiastek walki o prawa narodowe najgłębiej w ostatnich czasach się zakorzenił i uwidocznił w Europie. Dowodzą tego dalej najrozmaitsze wysiłki sekt rozmaitych, dowodzą próby amerykanizacyi przez kościół, przez szkołę publiczną, przez stowarzyszenia rozmaite, a potem owe plany ograniczenia swobody, osiedlania się obcych przybyszów, by zapobiedz formowaniu się kolonii narodowościowych i najrozmaitsze ankiety w ostatnich czasach na ten temat tak często zarządzane.

Typowi ci amerykańscy patryoci, patryotyzm swój oparli na dążeniu do bezwzględnej asymilacyi wszystkich tu osiedlających się narodów, nie lekceważą sobie zatem bynajmniej tej siły opornej, która się przejawiła w masach kilkunastu milionowej ludności napływowej ostatniego piędziesięciolecia.

Typowi ci Amerykanie lepiej od nas zdają sobie sprawę z przeobrażenia się pojęć, jakim uległy ludy Europy w ostatniem stuleciu, lepiej od nas zdają sobie sprawę z potęgi oświaty ludowej, z potęgi drukowanego słowa i rozpowszechnienia sztuki czytania w ogólnem czytelnictwie gazet, rozumieją też, co znaczy ustawiczne doskonalenie się wraz z potanieniem środków komunikacyi i — gotowi byliby uciec się nawet do środków represyjnych, aby dalszy wpływ Europy na masy w ostatniem pięćdziesięcioleciu tu przybyłe powstrzymać, jedyny w tem upatrując ratunek dla swej patryotycznej utopii.

Jest to tylko nowy dowód wyraźnej potęgi tych narodowościowych skupień, jakie tu w ostatniem pięćdziesięcioleciu potworzyć się zdołały.

Typowi amerykańscy patryoci, nie dopną jednak swego, bo człowiek nigdy jeszcze nie dokonał niczego, jeżeli przedsięwzięcie swoje oprzeć chciał na prawach niezgodnych z prawem naturalnem.

Żywioły napływowe są już tak w tym kraju silne i taki wpływ wywierają, nie tyle jeszcze na polityczny, co ekonomiczny jego rozwój, że potomkowie dawniejszych kolonistów tamy położyć mu już nie potrafią.

Dowodzi tego choćby ostatnia ankieta Departamentu Handlu w Washingtonie, w której prawie wszyscy zaproszeni do głosu, nawiasem mówiąc, reprezentujący opinię ogromnej większości obywateli, wypowiedzieli się wyraźnie przeciwko wszelkim tego rodzaju represyom.

Stany Zjednoczone pozostaną na zawsze krajem wolności.

"**Przeznaczeniem Ameryki jest istnieć dla całej ludzkości i nie chciałbym nigdy, żeby przed kimkolwiek zamknęła bramy.**"

Zdanie to wypowiedziane przez mayora miasta Toledo, będącego potomkiem rodziny osiadłej tu przed trzema wiekami, będzie zawsze zdaniem ogromnej większości wszystkich, co z takich nawet rodzin pochodzą.

A obawy tych amerykańskich szowinistów, którzy szczęście i rozwój tej rzeczypospolitej widzą, tylko w bezwzględnej asymilacyi wszystkich, są w zupełności nieuzasadnione.

Podobnie jak istnienie wyznań i sekt najrozmaitszych, chociaż ścierały się one zawsze pomiędzy sobą, a nawet zawzięte staczały walki, nie wpływało i nie wpływa w niczem na politycznie jednolity ustrój tej rzeczypospolitej, tak i istnienie grup narodowościowych, a nawet ścieranie się i walki, jakie z tego wynikać mogą w przyszłości, jedności tej nie osłabi.

Na straży tej jedności, jak stała dawniej, tak i stać będzie na przyszłość, właśnie **Wolność**, konstytucyjnie gwarantująca wszystkim prawo swobodnego rozwoju.

Jak niemieliśmy dotąd w Stanach Zjednoczonych partyi politycznej, któraby się oparła wyłącznie na jednem wyznaniu, tak nie będzie tu partyi, któraby walkę narodowościową wprowadzić chciała w wir politycznego życia, bo wolność absolutna nie daje do tego żadnej naturalnej podstawy, bo mamy tu wszyscy jednakie prawa, i jednakowo z nich korzystać możemy, a kto korzysta mniej, to już nie wina prawa, tylko — jego własnego niedbalstwa.

Oficyalnie zatem w kongresie Washingtońskim nie będą zasiadać nigdy reprezentanci Yankesów, Niemców, Czechów, Polaków, Szwedów, jak nie zasiadali nigdy katolików lub protestantów, ale nie mniej zasiadać tam będą Yankiesi, Niemcy, Polacy i inni, którzy dostaną się tam tylko dzięki temu, że są Yankiesami, Niemcami i Polakami i jako tacy znaleźli potrzebne poparcie wyborców.

W tym właśnie kierunku rozwija się cały układ wewnętrznie ścierających się sił społecznych w tym kraju.

Jak zaznaczyliśmy, widzą to wyraźnie rdzenni Amerykanie i liczą się z tem.

O nas, o Polakach, o wodzach społeczeństwa polskiego powiedzieć tego nie można. W czynach naszych bardzo często przebija się brak wiary w przyszłość. Idziemy na ślepo, żyjąc poprostu z dnia na dzień, odruchami energii.

Ratuje nas dotąd tylko zdrowy instynkt ludu polskiego.

Mimo wszystkich dotychczas przytoczonych wywodów, czuję, że jeszcze nie przekonałem każdego.

A jednak Ameryka z taką łatwością, bez żadnego widocznego wysiłku zasymilowała już tyle milionów ludu najrozmaitszego pochodzenia, powie niejeden.

Wielu na połowę przyasymilowanych "foreignerów" polskiego pochodzenia, posiadających papiery obywatelskie tego kraju, a więcej jeszcze ich dzieci zrodzonych tu przed czterdziestu laty, nie może poprostu zrozumieć tych obaw okazywanych w ostatnich czasach przez amerykańskich szowinistów.

Ich zdaniem — następne pokolenia wynarodowić się tutaj muszą bezwarunkowo, i każdy na zapytanie: dlaczego — ma na poczekaniu krótką, ale stanowczą odpowiedź: Bo taki tu już kraj; bo takie... powietrze, bo — |tak odpowiadają ludzie głębsi| — wolność amerykańska tak jest pociągającą, społeczne instytucye tutejsze taki mają urok, że każdy przybysz na-

wet, o ile może jak najprędzej stara się zrzucić swoją skórę starokrajską, aby jak najrychlej korzystać w całej pełni z tutejszych instytucyi społecznych.

I z szeregów tych właśnie pionerów pierwszych naszych kolonii polskich w Ameryce, od tych fundatorów naszych parafii i naszych organizacyi, pochodzi ów powiew niewiary w naszą przyszłość w Ameryce, niewiary, trzeba przyznać, często zaraźliwej, niewiary, której lekceważyć nie można, i której, pomimo całego szacunku dla twórców podstaw naszej narodowej polskiej społeczności w Ameryce, należy wytoczyć wojnę nieubłaganą.

W poprzednich rozdziałach starałem się dać, w formie możliwie jak najbardziej dla przeciętnego czytelnika przystępnej, obraz gruntownej przemiany politycznego i społecznego życia całej Europy, oraz wypływających z niej zmian w charakterze, usposobieniu i przekonaniach nowych mas wychodzczych, które w ostatnich latach do Ameryki napływają.

Doskonale o tem wszystkiem wiedzą ci, których nazywamy szowinistami Ameryki i stąd lęk, stąd chęć reakcyi, stąd chęć przeciwdziałania tym prądom z Europy płynącym.

Nie uspokaja ich fakt, że w przyszłości było inaczej, bo rozumieją, dlaczego tak było.

Wiedzą oni, że wolność, która dawniej stanowiła podstawę potężną asymilacyi, obecnie, gdy ludność napływowa, korzystając z niej, wytwarza własne silne placówki, obraca się przeciwko nim właśnie i to z siłą, coraz to większą.

Stąd rodzi się owa chęć ograniczania wolności, a przedewszystkiem zamknięcia granic Stanów Zjednoczonych przed imigracyą.

Widzą oni wyraźnie, że z lekceważonych dawniej instytucyi parafialnych, posiadających wybitne cechy narodowe, przy których skupiają się w zwartych masach napływające tak licznie z Europy nowe zastępy przybyszów, wyrastają skupienia coraz wyraźniej wymykając się z pod ich kontroli.

Tem tylko wytłómaczyć sobie można rozmaite karkołomne wysiłki, aby w jakiś sposób kontrolę tę odzyskać.

Przykład Europy, gdzie w ostatniem 50-ciuleciu przy wzmożonym ruchu przesiedleńczym we wszystkich krajach tworzą się silne kolonie różnonarodowe, na każdym kroku nie tylko podkreślające przywiązanie do kultury narodu z którego wyszły, ale śmiało walczące o prawa swobodnego rozwoju, ustalający się wreszcie coraz wyraźniej typ organizacyi państwowej różnojęczycznej, przy tolerancyi nietylko wyznań, ale i

kultury narodowej obywateli danego państwa, powiada im wyraźnie, że i w Stanach Zjednoczonych w końcu dojść do tego musi.

Żyjemy w czasach, w których rozwój ludzkości posuwa się naprzód w tępie jednostajnie przyśpieszonym.

Jedno dwudziestopięciolecie przeobraża dziś ustrój świata daleko gruntowniej, aniżeli jedno dwieściepięćdziesiątlecie w wiekach średnich, a w ostatniem stuleciu ludzkość w rozwoju swem dokonała większych zmian, niż w ciągu całego poprzedniego rozwoju.

Chwila, w której człowiek będzie obywatelem świata, zbliża się z niesłychaną szybkością.

Z każdym rokiem udoskonalający się system komunikacyi, redukuje odległość od minimum, ludzkość rozlokowuje się równomierniej na głobie ziemskim, a przeludniona Europa w następnych stu latach dostarczy Stanom Zjednoczonym, bezwarunkowo, co najmniej stu milionów nowych mieszkańców, podwajając w ten sposób ich ludność dzisiejszą.

Szowiniści amerykańscy, zapatrzeni w kilkuwiekową przeszłość, w której anglosasom, bez żadnego prawie wysiłku, udawało się asymilować nielicznych stosunkowo przybyszów, innych ras i narodów, z przerażeniem patrzą obecnie w przyszłość, bo widzą, że odwróciła się karta, że wchłonięcie takich mas jakie stara Europa wyrzuca obecnie na nasze brzegi staje się fizycznem niepodobieństwem.

Więcej jeszcze przeraża ich myśl, że ta zalewająca obecnie Amerykę fala inną niesie kulturę, z innych niż dawniejsza pochodzi krajów Europy, bo dawniejsze dały już Ameryce wszystko co dać miały, co każe im przypuszczać, że rasa i kultura anglosaska, zginąć może w tym potopie napływających tu Słowian, Węgrów, Włochów, Litwinów i innych, na domiar wszystkiego, niesłychanie płodnych i solidarnych.

Skoro się weźmie pod uwagę, że w chwili obecnej w Stanach Zjednoczonych w ogólnej liczbie mieszkańców żyje 40 milionów ludzi przez rasę anglosaską dotąd nie wchłoniętych, dwa razy od anglosasów płodniejszych, których w stuleciu następnem zasilić ma fala stumilionowa świeżych przybyszów, łatwo zrozumieć lęk rasy... wymierającej, łatwo nawet usprawiedliwić z instynktu wprost rodzącą się chęć obrony.

Z punktu widzenia interesów rasowych łatwo ją sobie wytłómaczyć ale coraz więcej obywateli tego kraju widzi, **że nie jest i nigdy nie będzie ona tutaj potrzebną w interesie samego**

kraju, stającego się nową ojczyzną dla zamieszkujących go wszystkich ras i narodów.

Kraj ten, ta nowa wspólna ojczyzna nasza, prędzej niż ktokolwiek dzisiaj przypuszczać może, umożliwi w granicach swych zupełnie dogodne współżycie wszystkim. żadna kultura żadnego narodu, żadne wyznanie nigdy w rozwoju swem krępowanem tutaj nie będzie, a wszyscy bez względu na język używany w rodzinie, narodowych zrzeszeniach, oraz instytucyach kulturalnych własnych, dobrymi będą obywatelami, dobrymi patryotami, potem pracy swej, krwią własną, bogacącymi kraj cały.

Tak w głównych zarysach przedstawia się sytuacya doby obecnej, oraz najbliższej.

Reasumując wszystkie dotąd przytoczone wywody, konstatujemy:

Pojęcie narodowości nie może być dzisiaj, a tem bardziej w przyszłości, wobec ustawicznie wzmagającego się ruchu przesiedleńczego, przywiązywanem do gromady ludzkiej w zbitej masie dany kraj |albo państwo| zamieszkującej.

O narodowości danego osobnika nie decyduje obecnie miejsce urodzenia, ale krew i kultura.

Naród, posiadający krew zdrową i kulturę silnie wyrobioną, potrafi utrzymać w jedności i łączności wszystkie swoje dzieci, choćby w największem rozprószeniu po całym świecie żyjące.

Państwo przyszłości, choćby nawet jak najbardziej narodowo jednolite, będzie musiało zgodzić się z tem, że w jego łonie żyć i rozwijać się będą rozmaite grupy narodowościowe, wyszłe z łona innych narodów i że należy im dać taką opiekę prawa, jakiej swobodny rozwój ich indywidualnych interesów wymagać będzie.

Zaś grupy te, jako mniejszość danego państwa, zgodzić się bezwarunkowo muszą na lojalne spełnianie wszystkich obowiązków obywatelskich z przynależności do państwa wynikających.

W tym kierunku podąża ewolucyjny rozwój ludzkości.

Ta sama siła, tkwiąca w narodowo uświadomionych masach ludów świata, która wyrugowała z życia już za międzynarodowy uznany w nauce i literaturze język łaciński i zastąpiła go własnym, ta sama siła, pod parciem której unarodowił się wszędzie powszechny Kościół Katolicki, ta sama siła, która w naszych oczach unaradawia ruch proletaryacki w międzynarodowej walce z międzynarodowym kapitałem, ta sama siła z

gruntu przetworzy i ureguluje w przyszłości współżycie różnych narodów w organizacyach państwowych, które narodowo-jednolitem nigdzie już być nie będą mogły.

Oczywiście, te grupy, lub te jednostki, wyrzucone z własnego kulturalnego środowiska, które nie potrafią wydobyć z siebie dość sił odpornych, które same, z dobrej woli poddadzą się wpływom nowego otoczenia, ginąć i wynaradawiać się będą w przyszłości tak, jak się wynaradawiały dotąd.

Z praw natury człowiek może, ale — nie zawsze korzysta. Wola ludzka stoi tu ponad prawem natury w takim samym stosunku, w jakim znajduje się łan ziemi przydatnej pod uprawę: wydaje taki plon, jakiego człowiek od niego zażąda.

Polacy w Ameryce nie wynarodowią się nigdy, jeżeli wydobędą ze siebie dość silnej woli, aby łan swój obsiać i uprawiać gorliwie.

ROZDZIAŁ VII.

Polacy w Ameryce nie korzystali dotąd w mierze dostatecznej z praw natury i przywilejów tolerancyjnych tego kraju. — W zorganizowanej robocie społecznej cofnęliśmy się wstecz. — Zatraciliśmy cele pierwotne pierwszych organizatorów. — Rzut oka wstecz. — Jaki cel miały "Gminy?" — Parę słów o pierwszych celach Związku i Zjednoczenia. — Jaką organizacyę zalecał Polakom w Ameryce Agaton Giller, jeden z członków ostatniego Rządu Narodowego.

Czy my, Polacy w Ameryce, korzystamy z praw i przywilejów zagwarantowanych nam konstytucyą tego kraju w duchu tolerancyi powszechnej?...

Czy korzystamy z praw natury, zezwalających na siew i uprawę naszych ideałów społecznych i narodowych na gruncie przez nas zajmowanym?...

Niestety, na te dwa pytania dziś jeszcze nie można odpowiedzieć twierdząco.

Idziemy po omacku, żyjąc odruchami niezorganizowanej energii, bez owej jasnej myśli przewodniej, która jedna mogłaby czynom naszym dać moc siły świadomej tak środków, jak i celów działania.

Cofnęliśmy się nawet!

Skoro rzucimy okiem na pierwsze karty dziejów naszego osadnictwa w tym kraju, zobaczymy, że pierwsi organizatorzy naszego społecznego ruchu, zawsze mieli na oku **ujęcie w całość wszystkich sił naszych,** że zdawali sobie sprawę z koniecznej potrzeby kontrolowania wszystkich objawów naszych sił żywotnych.

Cel ten zatracił się później dopiero, w owych walkach partyjnych, które go na cały szereg lat, aż do dnia dzisiejszego, zasłoniły zupełnie.

Czasby był zedrzeć tę zasłonę, trzeźwiej spojrzeć na nasze sprawy inaczej zabrać się do roboty.

Jak tę robotę pojmować należy, lepiej od nas samych, od dzisiejszych wodzów społeczeństwa naszego, powiedzą nam ci, którzy się na gruncie tutejszym do niej zabierali przed pięćdziesięciu, czterdziestu i trzydziestu laty, organizując tu pierwsze "Gminy Polskie", a potem "Związki Narodowe" Zjednoczenia Polaków" itp.

"Gmina Polska" obok parafii była pierwszą formą organizacyjną przyjętą przez najwcześniejszych osadników polskich w Ameryce. Było ich tutaj kilka; a wszystkie pozostawały ze sobą w ścisłej łączności. Pierwszą zorganizowano w Chicago w roku 1866, w porozumieniu z wychodźtwem polskiem |popowstaniowem| we Francyi, które do organizowania "Gmin" dało inicyatywę, marząc o przeprowadzeniu jednolitej organizacyi wszystkich Polaków po całym świecie porozrzucanych.

Organizacya Gminy w swem założeniu była bardzo szeroko pojęta: w kolonii amerykańskiej obejmowała troskę o kościół, o szkołę, dom polski i wszystko cokolwiek w życiu zbiorowem w pierwszej takiej kolonii się przejawiło.

Myśl ta nie przyjęła się jednak.

Owa zorganizowana w roku 1866 w Chicago "Gmina Polska" istnieje wprawdzie do dziś, ale jako zwykle "towarzystwo bratniej pomocy" nic z szerokimi celami projektodawców pierwszych gmin nie mając wspólnego. Do roli takiego towarzystwa "bratniej pomocy" zeszła już w parę lat po założeniu.

Gdy projekt "Gmin" się nie utrzymał, ci sami prawie ludzie |Kałusowski, Andrzejkowicz, Lipiński i inni| — zaczęli myśleć o zorganizowaniu Związku Narodowego, który miał objąć wszystkie istniejące parafie i towarzystwa, dla tem skuteczniejszego zaspakajania wszystkich potrzeb społecznych stale zwiększających się kolonii. Gdy pierwsza próba w roku 1870 |w New Yorku| zawiodła, ponowiono ją w roku 1880 w Chicago. — Niestety także bez powodzenia, bo już miały czas przejawić się różnice w poglądach i wydzielać ambicye osobiste jednostek, które zorganizowaniu wszystkich Polaków w Ameryce stanęły na przeszkodzie.

Ważnym jest dla nas atoli ten fakt, że wszystkie te próby miały rozmach szeroki — projektami obejmowały ogół i jego potrzeby daleko szerzej, aniżeli którakolwiek z organizacyi dziś istniejących.

"Zjednoczenie Rzymsko Katolickie Polskie", powołane do życia w roku 1873, które miało na celu połączenie wszystkich parafii, stawiało sobie następujące zadania:

1. Budowa wyższych szkół.
2. Założenie banku polskiego na całą Amerykę.
3. Założenie klasztoru dla kształcenia sióstr nauczycielek.
4. Założenie seminaryum nauczycielskiego.
5. Zakładanie bibliotek.
6. Założenie szpitala polskiego.

Wszystkie te plany a i sama organizacya upadła niestety w kilka lat po założeniu z powodu sporów wynikłych w jej łonie o zasadę. Ks. Gieryk, jej fundator, był za tem, aby uczynić ją jak najpowszechniejszą i przyjmować Polaków bez różnicy na wyznanie religijne, czemu sprzeciwiali się inni księża, którzy też organizacyę rozbili, powołując |w roku 1880 w parę miesięcy po zorganizowaniu Związku Narodowego| do życia nową ale już o charakterze wyłącznie wyznaniowym.

Ponownie w roku 1880 zorganizowany Związek Narodowy zakreślił sobie plany bardzo szerokie.

Agaton Giller, jeden z członków ostatniego rządu narodowego pisał do założycieli:

"...Piszą, że emigracya dogorywa, że się kończy, — a oto pół miliona, czy też trzysta tysięcy Polaków znajduje się w samych Stanach Zjednoczonych. Tak licznej emigracyi jeszcześmy nigdy nie mieli.

"...Ponieważ więc emigracya jest i stanowi siłę wielką, której zaprzeczyć nie można, powinno więc być zadanie dobrze zrozumianego patryotyzmu, tak nią pokierować, ażeby sprawa ojczyzny największy z niej pożytek odnieść mogła.

Jakim sposobem nadać jej można kierunek pożyteczny dla sprawy polskiej?

Za pomocą organizacyi, odpowiadamy, bo tylko organizacya może zjednoczyć rozprószonych... W miarę jak koła czy gromady organizacyjne w Ameryce tworzyć i rozwijać się będą zwiększać się będzie wykształcenie narodowe tamtejszych Polaków i utrwalać warunki zachowania narodowości; samo już bowiem życie w organizacyi oświecać ich i wzmacniać będzie i sprawi, że każdy dbać też będzie ażeby i potomkowie jego byli wychowani w polskiej narodowości."

A dalej wypowiada słowa, które złotemi literami wyryte winniśmy wszyscy i dziś ciągle mieć przed oczyma:

"...W wielkiej sprawie narodu, to tylko kierownictwo jest rozumne, które żadnej siły pojedynczej lub zbiorowej nie traci z oczu, żadnej nie uznaje za mało znaczącą, lub nie do użycia, a rozprószone lub zbłąkane zagarnia do gromady i prowa-

dzi właściwemi drogami do służb które podnoszą znaczenie potęgę, blask ojczyzny, oraz jej samodzielność.

Po nad tę sprawę, nie ma już ważniejszej dla Polaków..."

A oto jak mu się przedstawiała ta organizacya w Ameryce i jak, przy tej okazyi, trafnie przepowiedział nasze dzisiejsze rozbicie:

"Bez wspólnego dążenia, życie polskie w Ameryce ujęte w formy licznych parafii, gmin i towarzystw, rozprysnęłoby się w tyle kierunków, ile byłoby grup organizacyjnych. Potrzebną jest więc instytucya, którąby stojąc nad nimi, wyobrażała ich jedność narodową i pilnowała, ażeby się wszystkie rozwijały w jednym polskim kierunku. Instytucyę więc naczelną, kierowniczą, regulującą różnorodne interesa i potrzeby tamtejszych Polaków należy koniecznie utworzyć.

"...Ponieważ zaś organizacya tamtejsza **wesprzeć się musi na parafii, jako na fundamencie trwałego i dobrego uspołecznienia,** wypada, że przewodnik parafii, tj. ksiądz powinien być również człowiekiem rozumu i charakteru, zdolnym nietylko przez słowo swoje, ale i życie cnotliwe oddziaływać na moralność swoich parafian. Powinien on być prócz tego i wszyscy przewodnicy organizacyi, człowiekiem tolerancyi, którą prawo amerykańskie tak wysoko podniosło i uczyniło obowiązującem dla wszystkich obywateli, powinien być przyjacielem nieograniczonej wolności i form republikańskich i nic wspólnego nie mieć z polityką pewnej kategoryi księży w Europie, których ideałem są średnie wieki i którzy wojując ciemnemi namiętnościami, nienawidzą postępu i zasad nowoczesnego państwa, posiadającego jedynego reprezentanta w tej właśnie republice Stanów Zjednoczonych, które dzisiaj i dla Kościoła katolickiego są jedynie pewnym i bezpiecznym przytułkiem"...

Wspaniały to był i szeroko pojęty plan organizacyi.

Podjęli go z zapałem organizatorzy Związku Narodowego, staczając w jego obronie tysiączne boje, rezultat atoli ostateczny jest taki, że dziś po trzydziestu przeszło latach, nietylko Związek Narodowy, ale wszyscy jesteśmy tu dalsi od zrozumienia tak szeroko pojętej myśli społecznej, aniżeli byliśmy w owej epoce.

ROZDZIAŁ VIII.

Przepowiednia Agatona Gillera. — Życie polskie w Ameryce. rozprysło się. — Usiłowania Związku sparaliżowane. — Zjednoczenie również zostało tylko "kasą pośmiertną." — Owoce naszej niezgody i warcholstwa: Dzielimy się bez końca. Dlaczego wszystkie następne próby złączenia Polonii w Ameryce zawiodły.

Sprawdziła się niestety przepowiednia Agatona Gillera:

"Życie polskie w Ameryce, ujęte w formy licznych parafii, gmin i towarzystw, rozprysnęło się w tyle kierunków, ile mamy grup organizacyjnych".

Przepowiednia sprawdziła się jak najdokładniej, gdyż na organizacyę, doradzaną przez tego męża, na organizacyę "wyobrażającą jedność narodową, którąby pilnowała ażeby wszystkie rozwijały się w jednym polskim kierunku", nie potrafiliśmy się zdobyć ani wtedy, ani później, a do kierunków dawnych, każdy rok dodaje nowe; wprowadza je bowiem w życie każda nowo powstała organizacya i każda nieomal nowa parafia...

Związek Narodowy Polski w pierwszych latach swego istnienia gorąco pragnął ideę, podyktowaną mu przez ostatniego z żyjących członków polskiego Rządu Narodowego, wprowadzić w czyn.

Skupiła się koło niego także garść księży-patryotów i był czas, w którym zdawać się mogło, że wychodźtwo polskie w Ameryce zdobędzie się na "organizacyę jedność narodową wyobrażającą".

Na nieszczęście nasze, ten sam szatan narodowego zaprzańśtwa, który w owych czasach straszne czynił spustoszenia w ojczyźnie, objawił niebawem moc swoją i na tej półkuli.

Fakt, że myśl o "organizacyi jedność narodową wyobrażającej" wyszła od ostatniego członka Rządu Narodowego, który kierował powstaniem, w Polsce w owych czasach haniebnie wy-

szydzanem, szkalowanem i wyklinanem, fakt ten, niedawał po prostu spać takim ludziom, |a było ich sporo i w Ameryce|, którzy również potępiali powstanie ostatnie i nie tylko powstanie, ale także wszelką myśl o jakiejkolwiek narodowej jedności, narodowej pracy, lub narodowej organizacyi.

Znalazło się w owych latach, niestety, na gruncie tutejszym sporo zwolenników szkoły krakowskiej, t. zw. stańczyków, którzy, podobnie jak w kraju ,umyślili wyrwać z duszy narodu pierwiastek patryotyczny, stanowiący, ich zdaniem, nasienie buntu a następnie klęsk wszelkich, zaszczepiając w to miejsce hasło "zgody z losem" i uleganie pokorne przed każdą siłą...

Tu właśnie, w tej strasznej niemocy narodu. całego narodu, w jaką popadł po rozgromieniu ostatniego powstania, tkwi zarodek naszego nieszczęścia, żeśmy się dotąd na organizacyę jedność narodową wyobrażającą zdobyć nie potrafili.

Wychodząc z założenia, że do Związku Narodowego teoretycznie dostęp mieli Polacy wszelkich wyznań i politycznych przekonań, byle dla ojczyzny wspólnie pracować chcieli, zaczęto go prześladować, podburzając przeciwko tej organizacyi ciemne masy ludowe, w które snadnie wmówiono, że został powołany do życia dla walki z Kościołem...

Niedość tego, powołano do życia nową organizacyę, konkurencyjną, ale ściśle wyznaniową, która połączyć miała w jedno wszystkich po polsku mówiących katolików.

Trudno dzisiaj dokładnie udowodnić, jaki cel mieli organizatorzy tego nowego zrzeszenia*).

---

*) Kiedy sprawę tę poruszyłem na łamach "Gazety Polskiej", redaktor "Dziennika Chicagoskiego", który **nie czytał poprzedniego artykułu**, wystąpił z całym szeregiem zarzutów, drwinami zaprawnych, pragnąc swoim zwyczajem rzecz zbagatelizować. Odpowiedziałem na łamach "Dziennika Związkowego" i "Gazety Polskiej" przytaczając argument następujący:

"Prawdą jest, że "Zjednoczenie Polskie" istniało jeszcze przed założeniem Związku. Piszę o tem wyraźnie w mojej Historyi Związku na str. 65, konstatując, że założył je ks. Gieryk z Detroit, prawdą jest, że istniało nawet lat kilka i odbyło nawet sejmy kolejno w Detroit, Chicago i Milwaukee, ale — prawdą też jest |na co znajdują się liczne dowody w rocznikach "Gazety Polskiej" i "Gazety Katolickiej"|, że zostało rozbite właśnie przez późniejszych fundatorów nowego Zjednoczenia, a zostało rozbite dlatego, że jego fundator pchał organizacyę zbyt wyraźnie na tory szczerze narodowe, |jego przeciwnicy mówili: liberalne| i na sejmie w Milwaukee, ośmielił się żądać, aby do Zjednoczenia przyjmowano Polaków, bez różnicy na wyznanie religijne.

Fakt jednak pozostanie faktem: Celu dopięli o tyle. że wychodźtwo polskie do dziś dnia nie ma "organizacyi wyobrażającej jedność narodową", że jest rozbite na tyle kierunków, ile mamy grup organizacyjnych.

Warto się tym grupom i tym kierunkom z bliska przypatrzeć. Lekarz, który chce pomódz choremu, musi dobrze poznać przebieg choroby i jej przyczyny.

Więc przedewszystkiem Związek Narodowy Polski:

Miał łączyć gminy i parafie, miał budować szkoły parafialne i wyższe zakłady naukowe, zająć się na szeroką skalę kolonizacyą organizować banki i wielkie przedsiębiorstwa, miał połączyć wszystkich, ująwszy kierunek prac i zabiegów całego wy-

---

W celach swych Zjednoczenie z roku 1873 było bardziej zbliżone do później zorganizowanego Związku i bodaj że Związek miałby więcej prawa do pokrewieństwa z nim, niż Zjednoczenie późniejsze.

Zaś Zjednoczenie to, [dzisiejsze] zorganizowało się dopiero po powołaniu do życia Związku Narodowego, na skutek odezwy biskupa Krautbauera, z Green Bay, który pismem odręcznem z dnia 7 lipca 1880 roku Związek ten wyklął.

Dokument ten przedrukowała "Gazeta Katolicka" z dnia 15 lipca tego roku, a ja go w Historyi Związku na stronicy 141 dosłownie przytoczyłem.

Zaraz poniżej na str. 142, przedrukowałem artykuł "Gazety Katolickiej" z dnia 5 sierpnia 1880 roku, który jest niezbitym dowodem, że Zjednoczenie później od Związku zorganizowane zostało i który jest jednocześnie dowodem, że zorganizowane zostało do walki z tą organizacyą.

Jest tam przedewszystkiem ustęp następujący:

"Idąc za radą J. W. Biskupa Krautbauera [wyklinającego Związek, Przyp. Aut.], który w numerze 45 "Gazety Katolickiej" był umieszczony, postanowiły towarzystwa polskie parafii św. Stanisława Kostki z Chicago, połączyć się w jeden Związek Centralny i w tym Związku wiarę i narodowość ojców swoich wziąść za fundament swego działania."

Postanowienie to zapadło na posiedzeniu reprezentantów 5 towarzystw z parafii św. Stanisława Kostki z Chicago, dnia 1 sierpnia, na którem pierwszym prezydentem organizacyi został Piotr Kiołbasa, a sekretarzem W. Smulski.

Zaś co do zarzuconej mi "bredni", co do faktu, że Związek w pierwszych latach założenia miał na celu łączenie gmin i parafii, budowanie szkół itp., to o celu tym mówiły wyraźnie pierwsze konstytucye Związku, a paragraf o parafiach usunięto z ustaw dopiero 1895 roku na sejmie w Cleveland.

Tak się przedstawia prawda lat dawnych. Aktorów głównych owych pierwszych usiłowań i walk nie ma już pomiędzy nami, ale pozostały roczniki pism i inne dokumenty, które mówią dobitniej jeszcze, niż świadkowie naoczni."

W drugiej replice, z którą "Dziennik Chicagoski" następnie wystąpił, nie znalazłem ani jednego dowodu rzeczowego, któryby twierdzenia moje osłabić potrafił.

chodźtwa w swe ręce i... żadnego z tych planów nie przeprowadził.

Opadnięty ze wszystkich stron z rokiem każdym rezygnował z jakiejś cząstki planów szerokich, wprowadził natomiast w czwartym roku swego istnienia kasę pośmiertną i odtąd na tę część swej działalności najwięcej zwracać musi uwagi.

Cóż znaczy cała dzisiejsza, po 30 przeszło latach borykania się, potęga Związku, wobec wielkich planów jakie mu zakreślili założyciele....

Cóż znaczy 80,000 członków, w obec faktu, że jest nas tu blisko 4 miliony...

Co żnaczy niedawno otwarty dom emigracyjny, w obec tego, że założyciele myśleli o bankach, domach handlowych i fabrykach własnych, po wszystkich koloniach...

Co znaczy około stutysięczny fundusz na budowę wyższej szkoły, gdy sobie uprzytomnimy o zamiarach założycieli, zorganizowania całego szkolnictwa, któreby pozostawało pod kierunkiem i kontrolą Związku...

Rozszerzył oświatę, podniósł ducha narodowego, upowszechnił zwyczaj urządzania obchodów narodowych, ale niestety, sprawy **rzeczywistego zorganizowania naszego wychodźtwa nie posunął ani o jeden krok naprzód,** a przez sam fakt swego istnienia i rozwoju, przez długie lata zaznaczał twardo rozłam na dwa obozy, wszczepiając w sercach wielu, mimowoli niejednokrotnie, niechęć, a często i nienawiść, do wszystkiego co żyło i rozwijało się poza jego obrębem.

A Zjednoczenie Polskie Rzymsko Katalickie?....

I jego kierownicy marzyli o wielkich celach. Chciano go przeciwstawić Związkowi. Samym faktem powołania go do życia, zaprzeczono pierwszemu prawa do organizowania parafii. Ta właśnie organizacya miała ująć w kontrolę szkoły parafialne, budować seminarya duchowne i nauczycielskie, zakładać domy macierzyste sióstr, budować szpitale, sierocińce itd. i t. p. — i cóż z tego wszystkiego wprowadziła w życie, czego dokonała ostatecznie przez długi szereg lat swej egzystencyi?...

A no, podobnie jak Związek Narodowy Polski zorganizowała kasę pośmiertną, tylko że nie zyskała ani tak wielkiej liczby członków, nie ma żadnego domu, nie powołała do życia żadnej instytucyi, ani naukowej, ani filantropijnej i — wegetuje z roku na rok nie myśląc nawet o tak wzniosłych i niezbędnie potrzebnych celach jak kontrola szkół parafialnych, budowa i utrzymywanie seminaryów itp.

Nie dokonał niczego Związek, ale niczego też nie dokonało Zjednoczenie, bo i parafii zorganizować nie potrafiło, pociągając w swoje szeregi nie liczne zaledwie towarzystwa parafialne i to głównie dla pośmiertnego.

Istnienie i względny rozwój obu tych wielkich organizacyi nie wpływały prawie wcale na bieg życia i rozwój kolonii polskich w tym kraju.

Poza ich plecami organizowały się i jak grzyby po deszczu wyrastały nowe parafie, wznosiły się wspaniałe gmachy kościelne i szkolne, dzięki **inicyatywie prywatnej** powstawały szkoły wyższe, szpitale, domy przytułku, zawiązywały się nowe kolonie i osady farmerskie, mnożyły spółki budowlano pożyczkowe, a także handle i przedsiębiorstwa polskie, co wszystko, według planów pierwszych organizatorów naszego ruchu społecznego, miało być kierowanem z jednego źródła, z jedną myślą przewodnią, z jednym planem, i z ciągłą troską o to, by żadna odrobina energii polskiego ludu nie szła na marne, by świadomie budować polski gmach organizacyi społecznej dla siebie i najdalszych potomków.

Zamiast tego wszystkiego, doczekaliśmy się dosłownego sprawdzenia przepowiedni Agatona Gillera:

"Życie polskie w Ameryce, ujęte w formy licznych parafii, organizacyi i towarzystw, rozprysnęło się w tyle kierunków, ile mamy grup organizacyjnych".

* * *

"Tyle kierunków ile organizacyjnych grup" — powiedział Agaton Giller i zdanie to zawiera prawdę w brzmieniu najdosłowniejszem.

Po całym szeregu najrozmaitszych wysiłków, nie mamy w Ameryce dwóch organizacyi, nie mamy nawet dwóch parafii, któreby potrafiły iść razem z jakimś z góry określonym planem, do jednego i tego samego celu. Każda z nich stanowi dla siebie "Polskę w zmniejszeniu", o inne nie dba, nie troszczy się i jeżeli ze względów konkurencyjnych nie przeciwdziała, nie szkodzi, to z pewnością w niczem nie pomaga.

Na stan ten prawdziwie rozpaczliwego rozbicia dużo złożyło się czynników i zaiste warto je bliżej rozpatrzyć, bo prawdę powiedziawszy, u nas nikt dokładnie sobie sprawy nie zdaje z tej nędzy w jakiej żyjemy.

Istnienie Związku i równolegle z nim Zjednoczenia, zawdzięczamy, jak to już było wytłómaczone, rozłamowi istniejącemu w owym czasie w całym narodzie, który go rozdzielił na

zwolenników dawnych haseł patryotycznych i zwolenników zgody z losem, stańczyków.

Powodów następnych rozłamów, wiązania się rozmaitych drobnych organizacyi, szukać już jednak trzeba w naszych drobniejszych wadach narodowych, we wrodzonem warcholstwie, sobkostwie i urażonych ambicyach jednostek, które przy lada okazyi odrywały się od głównego pnia jednej lub drugiej większej organizacyi by do życia powołać nową, często z planami zupełnego zniszczenia starej.

W ten sposób, po sejmie w Buffalo |w roku 1889| powołaną została przez księży, którzy się od Związku Narodowego odłączyli, Unia Polska, która przed trzema laty znowu się rozbiła na dwie organizacye; w ten sposób po sejmie w Cleveland, |w roku 1895| powstał, zaledwie że wegetujący obecnie Związek Polaków w Stanie Ohio; w ten sam sposób, po oderwaniu się od Zjednoczenia paru grup, powstało, nieistniejące już dziś, Stowarzyszenie pod opieką M. B. Częstochowskiej, potem "Macierz Polska", która od Zjednoczenia dużo młodzieży odciągnęła, później znowu Stowarzyszenie Polaków w Ameryce |w Milwaukee| i parę innych.

Wszystkie te drobne organizacye, a mamy ich obecnie kilkanaście, powołane zostały do życia przez jednostki ambitne, żądne urzędów i zaszczytów, żadna zaś z nich nie miała na celu jakiejś wyższej myśli społecznej, spełnienia jakiegoś posłannictwa, bo wszystkie zajęły się wyłącznie tylko zorganizowaniem kasy pośmiertnej i ściąganiem na ten cel podatków.

Ze wszystkich organizacyi, w ostatniem trzydziestoleciu poformowanych, wobec istnienia dwóch dużych organizacyi o celach zupełnie podobnych, jedynie zorganizowanie Związku Polek miało pewną racyę naturalną, i ta jedynie organizacya spełnia też swoją misyę, wyrabianiem samodzielności w naszych szeregach kobiecych.

Ale i to, co się dotąd działo w naszych tzw. "ideowych" organizacyach, w naszych związkach Sokołów, Młodzieży i Wojsk polskich, nie przynosi nam bynajmniej zaszczytu.

Wszyscy jeszcze żywo mamy w pamięci owe skandaliczne walki i rozdwojenia w Związku Śpiewaków. Obecnie istnieje co prawda, jeden Związek tworząc osobny Wydział w Związku Narodowym, ale jakże śmiesznie mały, w obec faktu, że w Stanach Zjednoczonych istnieje co najmniej parę setek, doskonale wyćwiczonych chórów, które nigdzie nie należą, a do obowiązku przyłączenia się do organizacyi śpiewaczej, bynajmniej się nie poczuwają.

A nasze Sokolstwo... Na wstyd i hańbę naszą mamy obecnie dwa Związki, z których jeden słabszy liczebnie, uprowadził na bok większość uzdolnionych instruktorów gimnastycznych, uniemożliwiając prawidłowy rozwój szybko powiększającym się szeregom tych, którzy stanowią osobny wydział przy Związku Narodowym. I tu smutną rolę odegrała prywata jednostek i niewiadomo jeszcze kiedy ta straszna krzywda, wyrządzona całemu społeczeństwu nagrodzoną zostanie.

Związek Wojsk Polskich, stanowiący obecnie także osobny Wydział przy Związku Narodowym, liczy raptem coś kilkanaście oddziałów, podczas gdy oddziałów takich mamy w Ameryce do tysiąca, a może i więcej i niema bodaj nadziei aby wszystkie kiedykolwiek się połączyły, nie traktuje ich bowiem seryo nikt, a nawet one same w wojskowe i rycerskie swe powołanie nie wierzą.

Pozostaje Związek Młodzieży. Organizacya istniejąca już około lat dwudziestu, zorganizowana w imię haseł bardzo szczytnych, cóż — kiedy posiadająca jakąś wadę organiczną nie dopuszczającą normalnego rozwoju. Wada ta polega między innymi na tem, że nie obmyślano go jako organizacyi, przez którą młodzież przesuwałaby się w pewnym okresie swego życia, ale kto do niego raz wstąpi, to już tkwi do śmierci, a dziś, po 20 latach istnienia, widzimy w nim, siwowłosych weteranów, którzy dosyć śmiesznie wyglądają w związku... młodzieży.

Niema w tem nic jednak tak bardzo dziwnego. I ten Związek, stanowi w sobie także pewnego rodzaju... Polskę w zmniejszeniu; taka już u nas moda nieszczęsna.

Najbardziej atoli typową Polską w zmniejszeniu jest u nas każda parafia.

Z założenia rzeczy powinnaby właściwie stanowić jedno kółko w mechaniźmie organizacyi dyecezyalnej, którą zarządza biskup, ale że u nas dotąd żadna parafia do tego stopnia się nie zamerykanizowała by tę funkcyę świadomie spełniać mogła, istnieje zatem każda dla siebie, bynajmniej nie troszcząc się nawet o najbliższą, z którą, owszem, często toczy się gorsząca walka o... dusze.

Biskup, który dotąd nie zdołał wciągnąć żadnej polskiej parafii do swojego mechanizmu dyecezyalnego, potrafił jednak przeszkodzić, by ufundował się z nich jakiś nowy, od siebie samego zależny mechanizm polski.

Tem to właśnie tłumaczy się fakt, że ani Związek Narodowy Polski, który to sobie wziął za zadanie, ani nawet Zjednocze-

nie Polsko-Rzymsko-Katolickie, nie potrafiły wciągnąć w swoje szeregi ani jednej polskiej parafii.

Pozostawione same sobie, oraz zdolnościom i osobistym przymiotom swoich proboszczów, są prowadzone jak Bóg da; jedne przykładnie i pod każdym względem wzorowo, w duchu nietylko prawdziwie katolickim, ale zgodnie z tradycyą Kościoła Katolickiego w Polsce — także narodowym, inne — gorzej, gdzieindziej, gdzie proboszcz nie wychowany w kulturze polskiej, wprost zgubnie dla narodowości polskiej i jej najkardynalniejszych interesów i zadań.

Są parafie, w których obok kościoła i szkoły są obszerne i dobrze urządzone domy narodowe dla klubów i towarzystw, piękne sale teatralne, biblioteki i czytelnie, w których życie społeczne rozwija się bujnie, niecąc radość w sercach wszystkich naród swój miłujących, są jednak i takie, w których oprócz bractw różańcowych, poorganizowanych samorzutnie przez sam lud, bez pomocy księdza, niema żadnego innego towarzystwa, lub co gorsza, są i takie, w których młodzież za wiedzą i zgodą proboszcza organizuje kluby sportowe amerykańskie i jawnie zrywa wszelkie węzły z polskością i naszą narodową tradycyą.

Wyłomów w tych twierdzach polskości, za które uważamy wszyscy parafie i parafialne organizacye, co raz to więcej, a w obec braku jakiejkolwiek spójni pomiędzy nimi, w obec braku jakiejkolwiek nawet wiadomości z ich życia i w obec niemożebności jakiejkolwiek pomocy tym zagrożonym placówkom, wyłomy ciągle mnożyć się będą i nadejdzie czas, w którym jedna po drugiej placówki te tonąć zaczną w morzu amerykańskiem przepadając na zawsze dla naszego narodu.

Najgorszem w tem opuszczeniu i w tym braku organizacyi jest to, że pod absolutną mocą takich pasterzy, obok parafii zostaje także i szkoła parafialna, która — znowu — pożal się Boże — ile szkół tyle systemów; parafie mocniejsze nigdy słabszym nie spieszą z pomocą ale.... o tem trzeba pomówić w osobnym rozdziale, gdyż to z wszystkich nędz naszych bodaj, że największa i najbardziej bolesna.

Stan ten prawdziwie opłakany, pomimo ciągle rosnącej naszej liczby, pomimo gromadzonych bogactw, pomimo wzrostu nawet parafii i organizacyi, niepokoił zawsze wszystkich głębiej się zastanawiających nad naszem położeniem.

Z tego niepokoju o przyszłość wychodźtwa, ze strony ludzi odrzucających teoryę o "Polskach w zmniejszeniu" już trzykrotnie, w krótkich dziejach naszych wyłaniały się projekty

szerszych organizacyi, których celem głównym miała być myśl, o całości i wspólna pomoc słabszym jednostkom organizacyjnym.

Pierwszym był projekt Ligi Polskiej, drugi Federacyi Polsko-Katolickiej, trzeci zaś — i ostatni, to projekt Związku Jedności podjęty i gorąco propagowany przez J. E. ks. biskupa Pawła Rhodego.

Pierwszy upadł, jak orzekli narodowcy, dla tego, że za mało był tolerancyjnym dla tego obozu, drugi dlatego, że wcale organizacyi narodowych nie uwzględniał, a trzeci wcale jeszcze konkretnych kształtów nie przybrał i też upadnie, jeżeli nie zostanie pomyślany głębiej i praktyczniej aniżeli oba poprzednie.

Ale powód upadku pierwszego projektu, Ligi Polskiej, był daleko głębszy niż ogólnie sądzimy i mówimy, a był nim już sam plan organizacyi, zbyt płytki i powierzchowny, na podstawie którego chciano połączyć istniejące organizacye, dla uformowania przedewszystkiem jakiejś władzy, która miała decydować o rozmaitych potrzebach, **a nie dla stworzenia siły z połączonych kadrów ludu, by je wszystkie do pracy społecznej zaprządz.** Zapomniano przytem, że organizacye, które chciano połączyć właściwie żadnego wpływu na rzeczywiste życie społeczne nie wywierały, że były to organizacye głównie tylko ubezpieczeniowe, a tej, która kontrolowała rzeczywiście najważniejszą placówkę narodową, bo szkołę, prawie że plan "Ligi" pomijał, **nie mając nawet nadziei wciągnięcia w swoje kadry polskich parafii.**

Projekt Federacyi Polsko-Katolickiej upadł dlatego, że planował połączenie parafii z pominięciem organizacyi; i nie liczył się z tym faktem, że istnienie parafii i organizacyi stworzyło straszny rozłam w narodzie, oba zaś projekty dlatego, że **nie znalazły łaski w oczach amerykańskiego episkopatu,** i że — Polonia w Ameryce od samego początku ustawicznie dzielona, tak tymi podziałami nasiąkła, że żaden plan połączenia jej pomyślany od góry nie da się przeprowadzić.

Jedna tylko pozostaje droga wymagająca długich lat pracy, u samych podstaw, od samego dołu, aby tę straszną zmorę podziałów przezwyciężyć raz na zawsze, skutecznie i ostatecznie.

Pomówimy o niej w rozdziałach następnych.

ROZDZIAŁ IX.

O szkole parafialnej. — Parafialne czy publiczne? — Dla Polaka najgorsza nawet szkoła parafialna lepszą jest od publicznej. — Nietakt Polskiego Kongresu Narodowego w Washingtonie. — Starania o język polski w szkołach publicznych poniechane. — Nic się jednak nie robi dla ulepszenia szkół parafialnych. — Defraudacya w Zjednoczeniu i jej znaczenie. — Księża muszą słuchać biskupów. — Przyszła organizacya Jedności nie może być wyznaniową, ale cywilną, obywatelską. — Dlaczego? — Jak wygląda najgorsza klątwa podziałów.

Zanim zaczniemy zastanawiać się nad sposobami zwalczania strasznej zmory podziałów gnębiących naszą Polonię w Ameryce, rozpatrzyć nam trzeba jedną z największych bolączek naszych — sprawę naszej szkoły parafialnej; bez tego obraz nędzy naszej nie byłby zupełny.

Jeżeli szkoła ta dotąd nie stanęła na wysokości zadania, to także wina tych podziałów nieszczęsnych, dzięki którym na żadną akcyę wspólną zdobyć się nie możemy.

— Cóż to za strasznie ohydna rzecz te podziały!...

W czerwcu, roku 1910, a był to, jak wiadomo rok Grunwaldzki, pomieściłem na łamach "Gaz. Pol." szereg artykułów, w których z całem przekonaniem stwierdziłem, że "**dla Polaka najgorsza nawet szkoła parafialna, lepszą jest od publicznej**".

Podjąłem tę sprawę obrony polskiej szkoły parafialnej dla tego, że na Kongresie Narodowym Polskim w Washingtonie, polecono ludowi polskiemu w Ameryce osobną rezolucyą, aby się starał o zaprowadzenie w szkołach amerykańskich niższych, wykładów języka polskiego, ani słowem nie wspominając o około czterystu szkołach parafialnych wychowujących około sto tysięcy naszych dzieci.

Wydało mi się to tak rażącym nietaktem, tak grubem przeoczeniem, które mogło dotkliwie pomścić się na całem społeczeństwie, że znieść tego w milczeniu nie mogłem.

Jakto? Kongres Narodowy, występujący z pretensyą do reprezentacyi całej Polonii w Ameryce, udaje że nic nie wie o blisko czterech setkach szkół polskich i — mówi tylko o szkole publicznej doradzając starania o wprowadzenie do niej języka polskiego?...

A cóż się ma dziać z tymi setkami tysięcy dzieci polskich które do życia przygotowują te właśnie... milczeniem pominięte szkoły parafialne...

Oto ów artykuł w brzmieniu dosłownem:

"W rezolucyach, przyjętych przez Kongres Narodowy Polski w Waszyngtonie, jest punkt jeden, który jeżeliby miał być podtrzymany przez Związek Narodowy Polski, jedyną organizacyę, dla której — teoretycznie przynajmniej — uchwały kongresu mają moc obowiązującą, będzie nietylko powodem wojny pomiędzy nią a wszystkimi innymi, ale także ostrzejszych niż wszystkie dotychczasowe starć wewnętrznych.

Mam na myśli ten punkt rezolucyi sekcyi naukowo-oświatowej, która poleca **staranie się o zaprowadzenie w szkołach amerykańskich niższych, wykładów języka polskiego.**

Rzecz na pozór zupełnie niewinna i wysoce patryotyczna, a jednak, jak to postaram się udowodnić, krytym sztychem, godząca w kardynalne podstawy naszego bytu i naszej odrębności narodowej na wychodźtwie.

Związek Narodowy Polski, aczkolwiek w jego łonie ścierają się od wielu lat najrozmaitsze prądy, a ludzie najrozmaitszych przekonań walczą o to, aby je reszcie albo wpoić, albo poprostu narzucić, był dotąd o tyle **narodowym**, że liczył się z przekonaniami i potrzebami katolickiego ludu polskiego, że szanował to, co ten lud polski krwawicą swą, w pierwszym odruchu samoobrony i odczuciu potrzeb duchowych zbudował, a z niesłychanym, podziwu godnym wysiłkiem podtrzymuje i doskonali.

Mam na myśli szkołę parafialną polską, jedyną instytucyę, której wyłącznie zawdzięczać możemy, że dziatwa w drugiem i trzeciem pokoleniu jednak odczuwa w sobie przynależność do wielkiej rodziny polskiej w Ameryce.

Związek Narodowy Polski szanował dotąd i uznawał ten wysiłek ludu polskiego i aczkolwiek w jego łonie byli ludzie w postępowości swej wyprzedzający postęp narodów świata, aż tak daleko, że obojętną stała się im nietylko wiara, jaką kto wyznaje, ale i język, jakim kto przemawia, zaś tradycyę, a więc owe węzły tysiącami niewidzialnych nici, wiążące nas z duchami przodków wszystkich pokoleń, uważali za najkardynal-

niejszą przeszkodę prawdziwego postępu, to jednak, ludzie ci nie mieli dotąd odwagi użycia powagi Związku do walki z tą tradycyą.

Nie było zresztą okazyi.

Każdy Sejm Związku w większości swej, składał się zawsze z ludzi, nie tylko do wiary ojców, ale i do szkoły polskiej całem sercem przywiązanych, którzy śmiałków, targających się na te ich ideały od razu starliby w proch.

Okazya wyłoniła się na Kongresie Narodowym dopiero.

Stronnictwo polsko-katolickie usunęło się od udziału; lud wierzący, ten, który zbudował i utrzymuje szkoły parafialne, słabo był reprezentowany, a sekcyę naukowo-oświatową **opanowali zdeklarowani socyaliści,** wysuwając na czoło jednego z najdzielniejszych swych reprezentantów, dra Czakiego.

Szanse jeszcze się poprawiły, gdy większość członków kongresu rozjechała się do domów przed jego zakończeniem, a reszta nie miała po prostu czasu do dyskusyi i hurtownie, bez głębszego zastanowienia się, przyjmowała rezolucye przedkładane sobie przez poszczególne sekcye.

Jako czynny członek Związku Narodowego Polskiego od lat siedemnastu, jako były dyrektor Zarządu Centralnego przez dwie kadencye, jako autor Historyi Związku, który w pracę tę włożył kilka lat trudów, poszukiwań i cząstkę duszy własnej, jako wreszcie pięcioletni redaktor Działu Sokolego w Zgodzie, z czasu gdy całe Sokolstwo stało wiernie przy sztandarze Związku N. P., mam chyba nietylko prawo, ale i obowiązek wystąpić z głosem ostrzegawczym, mam prawo odezwać się do ludu polskiego w Związku Narodowym, aby nie pozwolił wprowadzić się na manowce ludziom, dla których interes narodowy już dawno zgubił się w dążnościach do uszczęśliwiania całej ludzkości.

I ja kiedyś byłem gorącym zwolennikiem polecanych dziś rezolucyami Kongresu starań o wprowadzenie języka polskiego do szkoły publicznej. Pomyślny rezultat takich starań przedstawiał mi się w blasku aureoli zwycięstwa naszej sprawy narodowej. Ale wówczas nie byłem jeszcze ojcem, na którego barki i sumienie spada odpowiedzialność przed narodem za wychowanie własnych dzieci. I moje dzieci przez niejaki czas uczęszczały do szkoły publicznej. Łudził mię, jak wielu innych, doskonały system pedagogii tych szkół. Sprawdziłem to, a w rezultacie wycofałem jak najspieszniej dzieci swoje z tej szkoły, bo przekonałem się, że pomimo starań matki, duszą całą wychowaniu ich oddanej i mojej w tym kierunku pomocy, stra-

cone będą dla społeczeństwa polskiego w Ameryce, że zatraci się w nich poczucie łączności z tem społeczeństwem, bo doskonały istotnie system pedagogii szkoły publicznej narzuci na te młode duszyczki taką sieć niewidzialnych nici amerykańskich, że już żadna siła rozplątać jej nie potrafi.

Zrozumiałem, że pomimo dochowania w zupełnej czystości języka polskiego, nauki historyi polskiej itp., dzieci moje żyć zaczynają tylko i wyłącznie Ameryką, jej chwałą i jej organizacyą, że w młodych ich duszach budzi się poczucie przynależności do tego kraju wyłączające jakąkolwiek inną organizacyę.

Wspaniałym jest istotnie system pedagogii szkoły publicznej!.... Zauważyłem zupełnie wyraźnie, że przy tym systemie nauka języka polskiego wprowadzona do szkoły publicznej, będzie tylko nową i bodaj najsilniejszą nicią w owej sieci, sieci misternej, a niewidzialnej, którą młode duszyczki opętuje idea bezwzględnej asymilacyi i amerykanizacyi.

Nauka tego lub owego języka w tej szkole nie zmieni systemu, bo ten opiera się nie na nauce, **ale na wychowaniu.**

Wówczas zrozumiałem wyraźnie, co już niejednokrotnie w publikacyach moich podkreślałem i zaznaczałem, **że dla Polaka najgorsza nawet szkoła parafialna lepszą jest od najlepszej publicznej,** gdyż wprowadza dziecko do środowiska polskiego, łączy je od najwcześniejszych lat z polską organizacyą, przyzwyczaja do myśli, że żyjąc w Stanach Zjednoczonych, ma obok obowiązków dla tej ojczyzny, także obowiązki wypływające z krwi i kultury tego narodu, który tutaj budował i utrzymuje szkołę i kościół, a tam, za morzem, jest bardzo nieszczęśliwy i prześladowany.

Apeluję teraz do tych wszystkich, którzy agitują za rozpoczęciem akcyi mającej na celu wprowadzenie nauki języka polskiego do szkoły publicznej, niech mi wskażą w szeregach tego pokolenia, które wychowane w Ameryce, od lat paru co raz wybitniejszy bierze udział w życiu naszem, jednego chociaż Polaka, któryby wyłącznie wychował się w szkole publicznej.

— Niema, niema **ani jednego!** Nie znam takich! Tacy nie znają już Polski, ani naszych spraw polskich w Ameryce! Proszę dalej policzyć myślą tych wszystkich, ogólnie znanych, codziennie widywanych przy naszej społecznej robocie, i proszę zapytać ich, gdzie się kształcili i wychowali, a każdy wymieni wam, jeżeli nie któryś z polskich zakładów wyższych, to przynajmniej szkołę parafialną, w której ugruntował się w przynależności do naszej gromady w Ameryce.

A jeżeli tak się rzecz ma z inteligencyą, to cóż dopiero mówić o tym szarym tłumie mas robotniczych. Jestem przekonany, że w towarzystwach naszych polskich niema bodaj wcale takich członków, którzyby wyłącznie w szkołach publicznych się kształcili. W szkole parafialnej polskiej, w towarzystwach dziatwy wiązanych po parafiach, jest jedyne źródło w którem zasilają się szeregi naszych towarzystw młodzieżą polsko- amerykańską.

Kto to wszystko zrozumie, kto to zechce rozważyć w sumieniu swem gruntownie, ten nigdy nie zdobędzie się na odwagę agitowania za szkołą publiczną bez względu na formę w jaką agitacyę tę beznarodowi postępowcy ustroić zechcą.

Jest jeszcze jeden punkt w tej agitacyi niezwykle silnie oddziaływujący na mniej krytycznie uposażonych ludzi, a jest nim straszak klerykalizmu.

Szkoła parafialna — powiadają — zabija samodzielność myśli, wdraża w jarzmo klerykalizmu, uczy bezwzględnego ulegania księżom, nawet w rzeczach czysto świeckich i prywatnych.

I na mnie dawniej argument ten działał bardzo silnie, gdyż o klerykalizm nikt mnie chyba posądzić nie może, a w latach dawniejszych mieliśmy tu sporą liczbę księży, którzy w tym kierunku rozwijali akcyę silną i energiczną.

W ostatnich atoli czasach, przyznać to musi każdy bezstronny badacz naszych stosunków, wyjątkowo chyba, tu i ówdzie spostrzega się dążności wyraźnie klerykalne.

Stosunki w tym kraju tak się układają, że niema w nim miejsca na tego rodzaju prądy. Seminarya tutejsze, amerykańskie, wychowując Kościołowi świeże zastępy sług ołtarza, wychowują równocześnie **krajowi obywateli,** a polskie towarzystwa literackie, w tych zakładach istniejące, wraz z gronem polskich profesorów, **obywateli Polaków,** mniej lub więcej silnie do naszej odrębności narodowej przywiązanych.

Asymilatorów spotkać pomiędzy wychowankami tych zakładów daleko łatwiej, aniżeli **klerykałów.** Sportowców amerykańskich jest pomiędzy nimi daleko więcej, aniżeli takich, którzyby marzyli o zabijaniu samodzielności myśli, lub o wdrażaniu wiernych w jarzmo bezwzględnego ulegania księżom, nawet w rzeczach czysto świeckich i prywatnych.

A zatem nic ze strony klerykalizmu grozi nam w Ameryce zagłada, ale wisi nad głowami naszemi w postaci **amerykanizacyi,** zarówno groźnej, czy idzie ze szkoły publicznej, czy też z

kancelaryi i szkoły parafialnej, w której urzęduje nie ksiądz-obywatel, ale amerykański sportowiec.

Jedna jest atoli różnica:

Prądu amerykanizacyi płynącego ze szkoły publicznej nie wyrugujemy inaczej, **tylko ostrzeganiem przed nią rodziców polskich, posuniętem choćby aż do piętnowania tych, którzy dzieci swoje oddają im na pastwę,** zaś prądowi amerykanizacyi, który tu i ówdzie przejawia się w szkole i kancelaryi parafialnej, **przeciwstawić możemy zorganizowaną siłę całego ogółu polskiego wyraźnem i stanowczem zaznaczeniem swej woli, jaką szkoła ta być powinna.**

I w tym kierunku rozwija się rzeczywiście akcya nasza pod naciskiem przepotężnych praw życia.''

* * *

Prawie wszystkie gazety powtórzyły ten artykuł z uznaniem, podnosząc rozwinięte w nim wywody i — w rezultacie — stronnictwo, dla którego rezolucye kongresu Waszyngtońskiego jedynie były obowiązującymi, dało spokój gorętszej agitacyi za językiem polskim w niższych szkołach amerykańskich.

Ale, był to też rezultat jedyny.

Nic dziwnego! Na negatywę zawsze zdobyć się łatwiej. niż na wyraźną i wysiłków wymagającą akcyę pozytywną.

Na dalsze artykuły, w których była mowa o potrzebie powołania do życia poważnej instytucyi reprezentacyjnej, obejmującej wszystkie kolonie, którąby się szkolnictwem zaopiekowała, doskonaląc je ustawicznie, na te artykuły, nie zwracano już prawie uwagi.

Minęły bez echa, podobnie jak mój pierwszy apel do Ludu Polskiego i jego wodzów w Ameryce, wyrażony w broszurze ''Na rok Grunwaldzki'' w sprawie Polskiej Macierzy Szkolnej.

Trucizna, jaką w żyły naszej społeczności wsączyła klęska podziałów, do tego stopnia znieczuliła nasz organizm, że na żadną akcyę obronną wspólnymi siłami podjętą zdobyć się nie możemy.

Był czas, w którym łudzić się było można, że projektowany Związek Jedności niebawem zostanie powołany do życia i że kwestyę szkoły parafialnej ureguluje. Dziś i takiej nadziei nikt już nie żywi.

Po ostatniej katastrofie w Zjednoczeniu P. R. Kat., rozwiała się zupełnie powaga zarządu tej organizacyi, a cios był tak silnym, że kilka lat upłynie, zanim zrzeszenie to będzie mogło pomyśleć o jakiejś akcyi zewnętrznej.

J. E. ks. biskup Paweł Rhode, gorąco zajmował się tą sprawą, ale cóż poradzi wódz, choćby najzdolniejszy, bez wojska?... Nasz polski biskup, pomimo że jest tylko sufraganem chicagoskiej dyecezyi, **mając jednak prawo wizytowania polskich parafii po całej Ameryce,** mógłby wiele zdziałać, mając za sobą **lud polski.**

Księża nasi, muszą niewątpliwie słuchać **swoich własnych biskupów,** których wola i interes, nie zawsze i nie wszędzie, zgodną jest z naszym narodowym polskim interesem, **który właśnie nasz polski biskup reprezentował podnosząc projekt Związku Jedności,** ale ci sami księża, do posłuszeństwa własnym biskupom zobowiązani, **nie mogą też lekceważyć woli swojego ludu,** gdyby ją silnie i świadomie objawić potrafił.

Na tem tylko tle, na podwalinach świadomie wyrażonej woli ludu, mógł nasz polski biskup budować plany Związku Jedności.

To też, jeżeli kiedykolwiek Związek Jedności Polskiej w Ameryce zostanie powołany do życia **nie będzie się on mógł opierać na duchowieństwie, w zupełności od woli biskupów dyecezyalnych zależnem, ale oprzeć się musi na woli ludu.** Nie może też być organizacyą ściśle wyznaniową, jaką jest każda parafia wolą biskupa zawsze w pewnej mierze krępowana, ale **cywilną, obywatelską,** albo inaczej powiedziawszy, **narodowo-polską,** której członkowie są nietylko katolikami, ale także i Polakami.

Tylko takiej organizacyi nie mogliby krępować swymi rozporządzeniami i mocą swej władzy obcy nam narodowością biskupi amerykańscy, tak jak nie mogą krępować swą władzą podległych sobie wiernych w organizacyach ekonomicznych i politycznych amerykańskich.

Rozumie to dobrze nasz polski biskup i dlatego, jego projekt Związku Jedności nie opierał się na organizacyi parafialnej ale **miał w planie swym łączenie organizacyi do pewnego stopnia cywilnych i obywatelskich.**

Defraudacya w Zjednoczeniu, które miało w owych planach główną odegrać rolę, wszystkiemu stanęła w poprzek, uniemożliwiając myśl o jakiejkolwiek organizacyi na długie lata.

Defraudacya nietylko Zjednoczeniu, ale całemu społeczeństwu polskiemu wielką wyrządziła krzywdę.

Ratunek najważniejszej placówki polskiej narodowości w tym kraju, ratunek polskiej szkoły parafialnej, poszedł w od-

włokę i niewiadomo jeszcze kiedy na taką wspólną w tym kierunku akcyę zdobyć się potrafimy.

A ze szkołą tą jest źle i będzie coraz gorzej.

Jeżeli w czerwcu 1910 roku mogłem z czystem sumieniem napisać, że "dla Polaka najgorsza nawet szkoła parafialna lepszą jest od publicznej" to już za parę lat słowa te mogą się stać nietylko pustym frazesem, ale głosić fałsz wierutny, bo nasza szkoła parafialna będzie amerykanizować w równym stopniu z publiczną.

Mamy co prawda dużo szkół dzielnie po polsku prowadzonych, którym amerykanizacya bynajmniej nie zagraża, nietylko teraz, ale i w bardzo odległej przyszłości, lecz są to wszystko szkoły większe, przy bogatych parafiach.

Co się dzieje w parafiach biednych, małych, po rozmaitych zapadłych kątach i farmach rozrzuconych, **gdzie niema dostatecznej liczby uświadomionych narodowo parafian, by polskości swej szkoły dopilnowali,** tego nie wie nikt i nikt się nawet dowiedzieć nie potrafi.

Są podobno i takie, które już dziś amerykanizują na równi z publicznymi.

I nie można by się temu dziwić zupełnie.

W społeczeństwie, które przez tyle lat nie zdobyło się na jeden system dla swojej szkoły, które zresztą w głównej swej masie niema nawet świadomości że jest społeczeństwem i na granicy parafii, w której żyje, jest dla niego także granica jego świata i jego Polski w zmniejszeniu, w społeczeństwie takiem wszystko jest możliwem.

W szkołach naszych jeżeli mowa o nauce języka polskiego, historyi polskiej, a nawet religii, panuje taka rozmaitość systemów, a nawet podręczników w nich używanych, że większej wyobrazić sobie nie można. Samych elementarzy i czytanek, jest aż kilkanaście w obiegu. Są tam reprezentowane nietylko wszystkie nasze polskie księgarnie, ale i obce, ale i galicyjskie i to z najrozmaitszych czasów, które w kraju już dawno zostały wycofane z obiegu.

Na rozmaitość systemów wpływa dalej pochodzenie i przynależność do rozmaitych zakonów siostr-nauczycielek, które to zakony, każdy inaczej kształci swe kandydatki.

A jest tych zakonów całe mnóstwo.

Po szkołach naszych uczą: Nazaretanki. Felicyanki Franciszkanki, Notre-Damki, Inkarnatki, Immakulatki, Siostry Bożej Opatrzności, Zmartwychwstanki, Krzyżaczki, Benedyktyn-

ki, Józefinki, Dominikanki, Urszulanki, i kto wie, może i parę innych jeszcze.

Niema pomiędzy nami, ani jednego człowieka, ani jednej instytucyi, którąby mogła coś o tem powiedzieć, i którąby o tem coś wiedziała, jak w domach macierzystych tych zakonów, siostry-nauczycielki wychowujących, traktowaną jest pedagogia, z jakiem przygotowaniem idą one między lud polski, wchodzą w szeregi naszej dziatwy.

Są z pewnością księża proboszczowie, znający kwalifikacye zakonnic wykładających w ich szkołach, ale żaden z nich nie potrafi już nic powiedzieć o drugich, a że są i księża, bynajmniej o polskość swej szkoły się nie troszczący, więc...

Myśl o tem rozpaczliwie smutne budzi refleksye.

Klątwa podziałów, którym uległo całe społeczeństwo, trawi i szkolnictwo nasze. Te tak liczne zakony dostarczające szkołom naszym nauczycielek, istot, trzeba przyznać, w poświęceniu swem i zaparciu się siebie niedoścignionych, a czasem wprost świętych, z konieczności rzeczy ulegać muszą najrozmaitszym, a zawsze rozbieżność wprowadzającym wpływom. Każdy zakon, każdy biskup i każdy prawie proboszcz, instancye jedynie do kontroli sióstr-nauczycielek upoważnione, inaczej pojmują i pedagogię i zadanie szkoły, więc jakżeż można wymagać, aby wychowane w takiej szkole, pod tylu odrębnymi wpływami i w tylu kierunkach, społeczeństwo miało w sobie jakiś pęd do jedności, jakieś pojęcie o wspólności swego pochodzenia i konieczności dążeń do jednego celu...

Społeczeństwo nasze nie zdobyło się dotąd nawet na ułożenie jakiegoś jednego podręcznika, w którym byłyby jakieś wskazówki dla kierowników szkół naszych, aby możliwie w przybliżeniu chociaż, jakiś jeden system określić, jakąś jedną wskazać w nim prawdę, którą wszystka, polską szkołę opuszczająca dziatwa, miałaby już w siebie wszczepioną na całe życie.

Gdy to sobie człowiek tak wszystko uprzytomni, to mimowoli z piersi wyrywa się westchnienie: jacyśmy w tym kraju, pomimo naszej liczby ogromnej i pomimo wszystko cośmy już wywalczyli biedni, jacy strasznie jeszcze biedni i jacy rozpaczliwie wprost niezaradni!

ROZDZIAŁ X.

Trzeba nam wiary! — Jeszcze o potrzebie rewizyi programów naszych organizacyi. — Umożliwianie ludowi spełniania obowiązków obywatelskich. — Szkodliwy wpływ teoryi o "Polsce w zmniejszeniu". — Organizacye nie mogą być celem, a tylko środkiem do celu. — W organizacyach i przez organizacye służymy Polsce.

Kreśląc w poprzednich rozdziałach cały szereg obrazów dość ponure rzucających światło na nasze stosunki, wykazując i przypominając braki w naszej organizacyi społecznej, czyniłem to z wiarą i przekonaniem, że posiadamy jednak dość sił, aby wszystko co złe usunąć, co dobre podnieść, i czego potrzeba wykonać.

Ja wierzę w siłę i moc niespożytą ludu naszego, a i w to także wierzę, że wiara taka zatacza coraz szersze kręgi w umysłach czystych i duszach mocnych jednostek dla narodu swego szczerze oddanych.

W broszurze "Na rok Grunwaldzki" w rozdziale "O organizacyach", pisząc o potrzebie takiej wiary dla wszystkich, wołałem:

"Potrzeba nam wiary! Wiary w siły nasze, wiary w siłę Ducha naszego Narodu. Wiary w to, że wysiłki nasze nie idą na marne, że budujemy i zbudujemy tu nową wiecznotrwałą, zasobną, liczną i duchem patryotycznym do głębi przejętą dzielnicę Polski."

A nawołując organizacye nasze do rewizyi swoich programów w celu jak najrychlejszego zabrania się do takiej budowy, pisałem:

"Dziś nie potrzeba nam już organizacyi, których wyłącznym celem byłoby szerzenie uświadomienia narodowego. Dzieła tego dokonują liczne organizacye ludowe w całej Polsce, a tutaj w Ameryce polska szkoła parafialna.

Celem organizacyi naszych stać się teraz powinno głównie i przedewszystkiem umożliwienie ludowi polskiemu spełniania obowiązków obywatelskich i narodowych.

Chłop polski, który tu obecnie przyjeżdża, wie już dawno, że jest polskim, ale i to wie, że samo powtarzanie "Polakiem jestem" nie miałoby sensu.

Chłop polski chciałby czynem stwierdzać swoją do narodowości polskiej przynależność, jak ją stwierdza tam, na ziemi ojczystej. Tak samo wie o tem młody Polak, tu urodzony, który napatrzywszy się przykładom życia obywatelskiego w otoczeniu amerykańskiem chciałby widzieć to samo między swoimi.

I dlatego charakter naszych organizacyi narodowych i patryotycznych, jeżeli mają odpowiadać zadaniu i potrzebom chwili, musi być gruntownie zmieniony.

Sama nazwa organizacyi patryotycznej, choćby opartej na wypłacie pośmiertnego, choćby ułatwiającej spełnianie obowiązków religijnych, na dziś nie wystarcza i nie może stanowić dostatecznej siły przyciągającej, aby skupiać uświadomionych narodowo obywateli.

Ten stary typ organizacyi przeżył się wszędzie, przeżywa się i u nas.

Potrzeba nam koniecznie pomyśleć o zmianach.

Nie przyjdzie to tak łatwo jakby się na pozór zdawało.

Ci, których dziś widzimy u steru życia, nie potrafią już w znacznej większości dostosować się do nowszych warunków i wymagań. Wychowali się i wzrośli w innych okolicznościach. Pracy obywatelskiej w Polsce nie widzieli, bo jej tam za ich czasów nie było, pracy obywatelskiej w Ameryce nie zrozumieli, bo na to byli za starzy.

Młodzi, tak ci, którzy dopiero w ostatnich latach przyjechali do Ameryki, jak ci, których wychowały nasze pierwsze zakłady naukowe, chociaż z wolna dostają się już do steru, są jak dotąd w mniejszości i nie mają jeszcze dostatecznego wpływu, aby dokonać zmian do potrzeb dnia dzisiejszego dostosowanych.

Wszelako zbliża się coraz bardziej owa chwila, gdy ster i władza przejdzie w ręce tych młodych — więc też i czas już zacząć głębiej zastanawiać się nad tem jak uregulować nasze życie stosownie do naszych potrzeb i wymogów nowych ludzi, z jakich się dziś w znacznej części składa nasze polsko-amerykańskie społeczeństwo.

Zastanówmy się nad tem cokolwiek głębiej.

Powiedzieliśmy wyżej, że celem organizacyi naszych stać się teraz powinno głównie i przedewszstkiem umożliwienie ludowi polskiemu spełniania obowiązków obywatelskich.

Potrzeba nam organizaci, w ten sposób urządzonych, i tak wzajemnie się uzupełniających, aby do czterech milionów głów dochodząca ludność polska w Ameryce, coraz silniej odczuwała swoją jedność i swoją potęgę, by w poczuciu tej potężnej jedności czerpała nową podnietę do coraz większych wysiłków.

Potrzeba nam organizacyi, w ten sposób urządzonych, i tak członek każdej, należąc chociażby do jednej tylko, czuł się przez nią pożytecznem kółkiem wielkiego mechanizmu, ożywiającego cały nasz organizm społeczny.

Powie ktoś na to: wszak mamy tyle pięknych i wielkich organizacyi, wszak zbudowaliśmy tyle kościołów, szkół, tyle dzielnic polskich po miastach, tyle farm, czytelń, spółek, przeróżnych interesów.

Wszystko to prawda, ale prawdą jest także i to, że wszystko to zbudowane zostało siłą tego potężnego, żywiołowego odruchu, który się zrodził w każdej większej gromadzie wychodźców, a parł do wysiłków, często nawet nadludzkich, by dokoła siebie stworzyć warunki, chociaż w części podobne do tych, wśród jakich żył po tamtej stronie oceanu.

Skoro jednak którakolwiek gromada wychodźcza uporała się z tem pierwszem zadaniem instynkt niepoparty wyrozumowaną wolą, nie pchnięty na jasno rozumem wykreślone drogi, przestawał pracować, a sile naszej żywiołowej, której zawdzięczamy i parafie i organizacye nasze, przeciwstawiła się żywiołowa siła inna, daleko potężniejsza, bo na organizacyi państwowej oparta, a tą jest amerykanizacya...

I ta nas zmaga!...

Do dziś nie potrafiliśmy się na to zdobyć, aby przeciwstawić jej organizacye i parafie w ten sposób urządzone, by członek, należąc chociaż do jednej tylko, czuł się przez nią pożytecznem kółkiem wielkiego mechanizmu ożywiającego cały nasz organizm społeczny.

Bo proszę rozglądnąć się tylko dokoła:

Czy członek jednej parafii interesuje się sprawami innej, czy zabolały go kiedy jej kłopoty, czy potrafił je odczuć w mierze dostatecznej, czy co gorsza, nie cieszył się jej niepowodzeniem?...

A w organizacyach, — czy zamiast wzajemnego wspierania się wszystkich, nie mamy raczej wzajemnego zwalczania się, które często przekracza wszelkie granice...

Trawi nas ciężka, chroniczna choroba, którą już dawniej nazwałem "parafiańszczyzną", a która w każdej parafii, w każdej organizacyi, każe nam widzieć "Polskę w zmniejszeniu".

I zamiast jednej, czteromilionowej, nowej a potężnej Polski w Ameryce, którąby zdolną była oprzeć się najpotężniejszemu naciskowi amerykanizacyi, mamy ich tutaj tysiąc, tysiąc razy słabszy stawiających opór naporowi asymilacyjnemu ze strony otoczenia!

Bielmo mamy na oczach!

Parafiańszczyzna ta nie pozwala nam widzieć całej naszej potęgi, pozbawia największego dobra w każdej walce, którem jest wiara we własne siły!

Znam związkowców, dla których potężnienie naszych parafii, wzrost szkół parafialnych, rozbudzenie się narodowego ducha w parafialnych organizacyach i towarzystwach, jest prawie niczem. Patrzą na to wszystko z niechęcią, jest im to wszystko tak jakieś obce, że jakby aż nie polskie. Po za własną organizacyą, nie widzą nic zgoła!

Wejdźmy w duszę takiego związkowca.

Jest tam jedno uczucie niewątpliwie szlachetne, a tem jest pragnienie, by jego organizacya, w którą wierzy, że jest najlepszą, stała się jak najpotężniejszą, by ogarnęła wszystkich, by przez nią i za jej pośrednictwem Polacy w Ameryce spełnili wszystkie obowiązki.

Zanalizujmy to uczucie.

Nazwaliśmy je szlachetnem i jest niem niewątpliwie i bez zastrzeżeń, ale mimo to, ile się rodzi z niego zła, już nie tylko dla sprawy ogólnej, ale i dla jednostki, która go w sercu swem pielęgnuje!...

Związkowiec tak czujący, patrzy przedewszystkiem z ogromnem lekceważeniem na wszystko, co się dzieje poza granicami jego organizacyi. A dzieją się tam przecież rzeczy, które dumą i pociechą mogłyby napełnić każde polskie serce. Wszak po za Związkiem jest całe szkolnictwo nasze, poza Związkiem są kościoły, jest jeszcze milionowy lud, który mimo wszystkiego, robi wielkie postępy na drodze narodowego uświadomienia, są tysiączne wysiłki, podejmowane dla ogólnego dobra...

Nie odczuwać tego wszystkiego, nie cieszyć się, nie smucić się wraz z innymi, to znaczy dobrowolnie usuwać się z peł-

ni społecznego życia, to znaczy odrębywać własnowolnie z tratwy naszej społecznej, pływającej na amerykańskiem morzu, te belki, na których zbudowano Związek Narodowy.

I na cóż w tem oświetleniu wychodzi owo szlachetne uczucie, żywione w sercu związkowca dla swojej organizacyi?...

Oto wyrzucił ze serca swego miliony braci i ich sprawy; oto doszedł do tego, że każdy ich krok na drodze rozwoju i pomnażania ogólnego majątku naszego, nietylko go nie cieszy, ale sprawia ból jakiś, bardzo z owym bólem pokrewny, jakiego doznajemy na widok wzrostu potęgi przyrodzonego wroga i przeciwnika...

Oto do czego doprowadza nas ta parafiańszczyzna...

Bo to samo, co ze Związkiem i związkowcami, dzieje się z członkami wszystkich innych organizacyi i parafii.

Wzrost, rozwój i potężnienie innych, nie cieszą, jak powinny... ale bolą!

Piszący te słowa, szukając ilustracyi do swoich twierdzeń, z rozmyslem wysunął Związek Narodowy na front, dlatego, że będąc jego czynnym członkiem, pracując dla jego rozwoju i stawiając tę organizacyę, zgodnie z większością jej członków, na pierwszym planie, pragnął by też, **aby pierwsza uświadomiła w sobie ten ogólny błąd zasadniczy i aby pierwsza dała przykład wyrozumowanego przystosowania się do tego, co nam w rzeczywistości niesie życie i rozwój stosunków.**

Ani Związek Narodowy Polski nie pochłonie innych organizacyi, ani nawet projektowany Związek Jedności nie pochłonie Związku N. P.; rozum zaś wszystkim chyba mówi wyraźnie że w miejsce wysilań, w kierunku wzajemnego zwalczania się — powinniśmy obecnie wytężyć całą siłę myśli i woli do tego celu, by każdy Polak należąc, chociażby tylko do jednej organizacyi, czuł się przez nią pożytecznem kółkiem wielkiego mechanizmu, ożywiającego cały nasz organizm społeczny.

Tak jak nie rozumiem, dlaczego członek Z. N. P. ma się wyrzekać pewnego zadowolenia na wieść o budowie nowych szkół, nowych kościołów, rozwoju Zjednoczenia P. R. K. itd. itp., tak też pragnąłbym, aby każdy Polak poza Związkiem cieszył się z tego, że organizacya ta coraz lepiej spełnia swoje zadania, coraz więcej zakłada czytelń, coraz więcej bibliotek i najrozmaitszych instytucyi, społeczeństwu polskiemu w Ameryce potrzebnych.

Pierwszym warunkiem zmiany na lepsze w kierunku wyżej określonym jest to: **abyśmy przestali uważać organizacye**

nasze za cel, a uznali je za to, czem są istotnie, za środek do celu, który jest jeden tylko: służba Polsce.

Z pracą naszą w organizacyach, trzeba nam wyjść poza ich granice, z tą myślą, że korzyść z tej pracy powinni mieć nietylko ci, co do nich należą, — ale wszyscy Polacy.

Niech organizacya parafialna budując kościół i szkołę, nie zamyka drzwi pierwszego i drugiej dla tych, którzy do niej jeszcze nie należą; niech się murem chińskim od reszty nie odgranicza.

Niech towarzystwo, zakładające bibliotekę i czytelnię nie zamyka drzwi przed niecziłonkami.

Niech każda organizacya i każde towarzystwo myśli o tem, by wznosić coraz więcej zakładów i instytucyi, które rozumie się, pod ich kontrolą, całemu ogółowi służyćby mogły.

ROZDZIAŁ XI.

Jakim być może nasz program na dziś? — Jaką drogą powinniśmy obecnie zmierzać do celu? — Plan pracy dla wszystkich towarzystw polskich nad podniesieniem własnej kolonii, osady, czy też dzielnicy. — Lud sam wskazuje tę drogę. — Parafia św. Trójcy w Chicago, świeci przykładem. — Gminy terytoryalne. — Czego lud ma prawo wymagać od swoich duszpasterzy. — Gminy terytoryalne a Związek Narodowy Polski.

Ani w broszurze "Na rok Grunwaldzki" ani w późniejszych artykułach "Gazety Polskiej" nie doszło jeszcze do wyczerpującego omówienia, jak wyglądać powinna w ogólnych zarysach nasza robota społeczna, rozłożona planowo, w wielkiej myśli służenia przez wszystkich jednemu tylko celowi.

Próby dokonywane w przeszłości z Ligą Polską, później z Federacyą a teraz ze Związkiem Jedności, wykazały dowodnie, że klątwa podziałów wżarła się zbyt głęboko w nasze ciało społeczne, by od razu, od jednego zamachu, można było przekreślić przeszłość i nowe rozpocząć życie. Choroby, trawiącej organizm nasz społeczny przez szereg lat, nie uleczymy inaczej, jak nowym szeregiem lat wysiłków, zmierzających do usunięcia jej, z tych właśnie organów, w których się najwyraźniej przejawia.

A gdzież podział na organizacye najwięcej szkody wyrządza, nie dopuszczając do pracy wspólnej dla ogólnego dobra, dzieląc ludzi na obozy, na osobne Polski zmniejszone, których często kilka się buduje równocześnie, na przestrzeni jednej mili kwadratowej, wyłącznie przez Polaków zamieszkałej?

Oto w każdej bez wyjątku kolonii polskiej, w każdej osadzie, czy też dzielnicy i w każdej niemal parafii.

Nogami depcemy, własnemi rękami rozdrapujemy najważniejszą podwalinę łączności naszej: grunt wspólnie przez nas zamieszkiwany, poczucie sąsiedzkiej usłużności wzajemnej, ludzi jednej rasy, wspólnie jedno terytoryum zamieszkujących.

I podczas gdy w Polsce w najbardziej nawet zapadłym kącie, polski chłop ma poczucie przynależności swej do GMINY, wiedząc, że wielu rzeczy może w jej granicach dokonać wspólnie, u nas — nawet w jednym domu mieszkający ludzie, Polacy, jeden należy do Gminy Związkowej, drugi do Zjednoczeniowej, a wszyscy zamiast pomagać, szkodzą sobie wzajemnie i na każdym kroku jeden drugiemu podstawia nogę.

Próby dokonywane w przeszłości przekonują nas, że od jednego zamachu, zło wykorzenić się nie da. Czy jednak mamy, założywszy ręce patrzeć obojętnie na rozlewające się dokoła nas zło niezgody i waśni wewnętrznej... czekając, aż Bóg się nad nami zlituje, jednego i drugiego za łeb weźmie i do zgody napędzi?...

Bynajmniej!

Samym nam, to znaczy każdemu z nas, który zrozumiał, że jest źle, trzeba, zakasawszy rękawy, zabrać się do roboty i zło jak chwasty przebrzydłe wypleniać.

Każdy z nas mieszka w jakiejś kolonii; każdy należy do jakiegoś towarzystwa, które stanowi w sobie Polskę w zmniejszeniu, czyli, że nie interesuje się niczem, co się wokoło niego dzieje. Otóż każdy z nas ma możność do podniesienia w tem towarzystwie myśli, aby taką Polską w zmniejszeniu być przestało, aby zajęło się jakąś pracą, w pierwszym rzędzie, dla dobra tej kolonii, osady, czy dzielnicy, w której istnieje i **aby w tym celu z innymi towarzystwami, w tej samej dzielnicy istniejącemi się porozumiało.**

Jest zaś całe mnóstwo spraw, o których wszystkim towarzystwom w danej koloniii istniejącym warto byłoby myśleć, pomagać im i wspierać, przeprowadzać i powoływać do życia.

O kościele nie mówię. Myśli o nim ks. proboszcz i parafia i zazwyczaj myśli dobrze, a że myśleć trzeba było od pierwszej chwili, kiedy powstał, więc też i sposobu myślenia już ulepszać nie potrzeba.

Są jednak inne sprawy, wymagające stałej i troskliwej opieki obywatelskiej przedewszystkiem tych ludzi, którzy do towarzystw obywatelskich należą i do spełniania obowiązków obywatelskich są zdolni.

Jest więc w pierwszym rzędzie szkoła, w której wychowują się nasze dzieci, mające niedługo zastąpić nas w spełnianiu obowiązków obywatelskich i społecznych. Dla żadnego ojca, który dba o przyszłość dzieci rzeczą obojętną być nie powinno jaką jest ta szkoła, tembardziej, że i jego groszem się utrzymuje.

Zazwyczaj dzieje się przeciwnie i szkoła znajduje się wyłącznie na opiece proboszcza i sióstr, zawsze nędznie uposażona w fundusze i ledwie wegetująca.

O ileż lepiej by się działo, gdyby o szkole, o jej potrzebach, o programie nauk i o kwalifikacyach nauczycielskich tych, co uczą, myślały wszystkie te towarzystwa, w sklad których wchodzą ojcowie dzieci swoje do szkoły posylający. Z ich łona, z łona tych towarzystw, wyjść winna jakaś komisya, stale szkołą i jej potrzebami się zajmująca.

Szkoła to nie dogmat religijny, ale instytucya przygotowująca dziatwę naszą do życia, nietylko przyszłego, ale także na ziemi.

Tu nie może decydować tylko sam ksiądz proboszcz i siostry nauczycielki, ale starać się o nią, pamiętać o niej, radzić i pomagać powinni wszyscy obywatele dostatecznie uzdolnieni, a takich w każdej kolonii, w łonie towarzystw obywatelskich, garstka jakaś się znajdzie.

W każdej kolonii dalej potrzebny jest także dom wspólny [nawet tym, które posiadają już po kilka — jeszcze by się nowe przydaly]. Taki dom, w którym pod okiem starszych, mogłyby odpowiednią rozrywkę znaleźć dorastające dzieci, oraz młodzież nasza. Dom ze sceną do przedstawień, salami do gimnastyki, placem do gier ruchowych, z kąpielnią, z czytelnią i biblioteką.

Kto ma o tem myśleć? Czy jedno jakie towarzystwo? Czy może mlodzież sama? Jeżeli tak było dotąd, to jest to nasz wstyd i hańba, jak wiele innych. **O tem myśleć powinny wszystkie towarzystwa danej kolonii** i domy takie powinny być wznoszone kosztem wszystkich obywateli, stanowiąc wspólny majątek danej kolonii, czy też dzielnicy.

Reprezentanci wszystkich towarzystw połączonych w gminę i stanowiący naturalny zarząd danej kolonii, powinni zawsze mieć baczne oko zwrócone na wszystkie potrzeby miejscowe i jeżeli tego zachodzi potrzeba, występować z inicyatywą powołującą, przy pomocy zorganizowanej kolonii, do życia rozmaite instytucye, jak spółki budowlano-pożyczkowe, składy wspóldzielcze, a nawet fabryki.

Po zatem, taka reprezentacya towarzystw obywatelskich byłaby najwięcej kompetentną do decydowania w tak zwanej polityce miejscowej, ona powinna stanowić o kandydatach własnych polskich, a także i o tych, których poparciu głosów polskich wskazać by należało. To nic, że dotąd dzieje się inaczej, to nic, że dotąd towarzystwa nasze obywatelskie "nie mieszają się w te sprawy", pozostawiając je w rękach zawodowych

politykierów. To właśnie jest zło jedno z najgorszych. Zwykłym trybem rzeczy, przyzwyczajeni do podziałów, oddzieliliśmy i tu od życia obywatelskiego polskiego obowiązki obywatelskie amerykańskie, tworząc jakąś parodyę życia, które cudem chyba dotąd się podtrzymuje.

Zobaczcie tylko:

Polak w Ameryce, jeśli chce spełniać swoje obowiązki obywatelskie i być ze wszystkiemi w zgodzie, musi:

1. należeć do parafii;
2. należeć do grupy jakiejś organizacyi wyznaniowej;
3. należeć do Związku Narodowego Polskiego;
4. należeć do klubu, dla polityki amerykańskiej.

Podczas gdy należenie do parafii, dla spełnienia obowiązków religijnych i do jakiegoś towarzystwa obywatelskiego, wchodzącego w skład gminy, w zupełności wystarczyć powinno.

Czy możliwem jest przeprowadzenie organizacyi podobnej?

Nietylko możliwem, ale koniecznem, o ile nie chcemy skwitować z lepszej i promiennej przyszłości naszej i czekać, aż nas rak podziałów strawi do szczętu.

Zaczątki organizacyi podobnej istnieją zresztą wszędzie, gdzie się znalazło chociaż parę jednostek lepiej myślących i zdających sobie sprawę z zadań życia społecznego i naszych potrzeb w Ameryce. W tym też kierunku rozwija się nasza myśl społeczna, dźwigająca się z głębi instynktu ludowego, która w ostatnich czasach ustawicznie wskazuje na potrzebę organizowania gmin terytoryalnych, nawołując do współudziału wszystkie towarzystwa, bez względu na przynależność organizacyjną.

Istnieją też klasyczne przykłady znakomitych rezultatów, jakie wydaje tego rodzaju wspólna robota.

Jeden z nich bardzo żywy i bardzo żywotny mamy tu pod bokiem w "Osadzie federacyjnej parafii św. Trójcy". Federacya, jako organizacya, obejmująca wszystkie polskie parafie, nie doszła do skutku, bo sobie w pierwszym rzędzie nie życzyli tego amerykańscy biskupi, ale "osad federacyjnych" kilka ocalało. Najlepiej zaś z nich prosperuje i rozwija się zorganizowana w "związkowej" parafii św. Trójcy w Chicago.

Mamy przed sobą ostatnie jej sprawozdanie.

Na liście towarzystw należących widzimy 7 grup Związku, 3 grupy Stowarzyszenia Polaków w Ameryce; 2 grupy Zjednoczenia P. R. Kat.; 2 grupy Unii Polskiej; 3 grupy Macierzy

Polskiej; 3 dwory katolickich leśniczych; 2 grupy Związku Polek i jedno gniazdo sokole.

Oprócz tego na tej samej liście znajduje się: Klub obywatelski Kazimierza Pułaskiego, kilka towarzystw dorastającej młodzieży, pięć chórów śpiewaczych, oddział strzelców i — Kółko Literackie.

To ostatnie, znane ze swoich regularnych występów na wieczorkach kilkanaście razy do roku urządzanych, na których sala zawsze pełna i w których udział biorą nawet urzędnicy Związku Narodowego.

Ogółem jest na liście "Osady federacyjnej św. Trójcy" towarzystw 49.

A zatem, połączenie się grup i towarzystw do najrozmaitszych organizacyj należących na gruncie pracy terytoryalnej, dla jednej kolonii, jest możliwe i do żadnych zaburzeń, ani kłótni nie doprowadza.

Osada, o której mowa, istnieje już lat kilka i przy doskonałym podziale pracy wydaje zdumiewające rezultaty, **nie szkodząc żadnej organizacyi.**

Przeciwnie, każda z nich zyskuje członków, którzy nie stanowią martwej w spisie członków cyfry, ale są ludźmi, umiejącymi wykonywać swoje obowiązki społeczne.

Z rąk tej właśnie "Osady" otrzymał niedawno Związek Sokołów nowe gniazdo, a Z. N. P. nową grupę — gniazdo najlepsze w całym Związku, bo wypielęgnowane i wykształcone przy pomocy całej osady, chlubiącej się tem gniazdem jako swem dzieckiem najdorodniejszem i ukochanem przez wszystkich.

Oczywiście w ustroju wewnętrznym tej osady i programie jej działalności są jeszcze pewne braki, ale już sam fakt zespolenia tak różnorodnych grup i towarzystw do pracy wspólnej, stanowi dla nas dokument wagi pierwszorzędnej, jest zadatkiem lepszej przyszłości dla wszystkich kolonii w Ameryce, a dowodem niewątpliwym, że lud polski potrafi zgodnie pracować dla swojego własnego dobra.

Stwórzmy przez szereg lat kilku sto a choćby tylko 50 takich "osad", "gmin", czy jak je tam kto nazwie, w koloniach naszych, połączmy je razem, potem dopiero, a stworzymy siłę, której i piekielne bramy amerykanizatorów tutejszych nigdy nie zwalczą.

A więc gminy terytoryalne.

Powiedzieliśmy poprzednio, że w agitacyi do ich zorganizowania dopomódz może i powinien każdy, kto należąc do ja-

kiegoś towarzystwa, ma możność przedstawienia tego programu swoim braciom lub siostrom.

Na początek wystarczy, jeżeli w danej kolonii, osadzie, dzielnicy, czy parafii znajdzie się chociażby jedno tylko towarzystwo polskie, które potrzebę takiego połączenia wszystkich Polaków w towarzystwach zorganizowanych, uzna za koniecznie wskazaną i które agitacyę rozpocznie.

Sprawę wiązania się gmin terytoryalnych możnaby jednak znacznie przyspieszyć, gdyby się nią zainteresować chciało także duchowieństwo. Ale inicyatywy z tej strony nie wszędzie przynajmniej, spodziewać się należy.

Gminy takie, jeżeliby godnie odpowiedzieć miały zadaniu, **muszą się opierać na zasadach organizacyi cywilnych i obywatelskich,** już choćby z tego względu, ażeby były zabezpieczone przed możliwemi rozporządzeniami biskupów amerykańskich, mających moc dyktowania wszelkich praw organizacyom wyraźnie wyznaniowym.

Prawo to dla nas Polaków, gdybyśmy całą przyszłość naszą na organizacyach jedynie wyznaniowych oprzeć zechcieli, może się okazać nietylko niewygodnem, ale nawet i groźnem.

Episkopat amerykański, chociaż dziś tego wyraźnie nie mówi, dąży jednak stanowczo i konsekwentnie do asymilacyi i sprzyja amerykanizacyi na każdym kroku.

Dla nas zaś asymilacya i amerykanizacya, to największy wróg, z którym walka na śmierć i życie toczyć się musi.

Drogi zatem na tem polu rozchodzą się stanowczo.

Nie każdy ksiądz, w takich warunkach zechce przyłożyć ręki do pracy nad w ten sposób pojętem uspołecznianiem naszego wychodztwa. Chociaż, właściwie mówiąc, mógłby każdy tak samo, jak każdy może być członkiem jakiegokolwiek klubu obywatelskiego amerykańskiego, bez opowiadania się władzy.

Lud nasz nieodwołalnie w rzeczach wiary od władzy tej uzależniony, może jednak uniezależnić się w rzeczach swoich potrzeb społecznych, tak samo, jak niezależnym jest pod względem osobistej własności prywatnej i praw obywatelskich krajowych.

Niech władza kościelna w dalszym ciągu kontroluje parafie, w sprawach wiary i w sprawach kościoła, ale kwestyą życia lub śmierci, coraz wyraźniej staje się konieczność, by lud nasz poczuł się do obowiązku myślenia o swojej szkole, o potrzebach organizowania swojej młodzieży i wielu innych sprawach, których dziś nie zna i które wcale go nie obchodzą.

Pisząc ustęp powyższy, po wypisaniu zadania, w którem jest mowa o kontroli władz kościelnych w rzeczach wiary i sprawach kościoła dla jednolitości stylu, wypisałem następnie: "by lud miał kontrolę szkoły"... Ale przekreśliłem te wyrazy. Kontrolować może ten tylko, kto dorósł do kontroli, a o ludzie naszym nie wszędzie tak powiedzieć można.

Tu atoli wyłania się na porządek dzienny, z siłą której nic pokonać nie może, kwestya niesłychanie ważna, **dopomagania ludowi, przez wszystkich naród swój miłujących, aby do tego dorósł, o ile możności jak najrychlej i w całem tego słowa znaczeniu.**

Nie dorośnie zaś nigdy, jeżeli stale od wszelkich tego rodzaju spraw będzie usuwany, jeżeli go nikt na drogi nie wprowadzi, jeżeli się mu wiecznie będzie mówiło, w to się nie mięszaj, a tamto nie do ciebie należy. Dlatego to, po przekreśleniu prawa o kontroli, napisałem: "by lud poczuł się do obowiązku myślenia o swojej szkole, o potrzebach i organizowaniu swojej młodzieży" itd.

Naród zaś polski ma chyba prawo domagania się od wszystkich swoich synów, świadomych obowiązków obywatelskich, a więc także i księży, aby budzili lud do obywatelskiego życia, aby dokładali wszystkich sił do przyspieszenia chwili, w której wszyscy Polacy będą żyć życiem pełnem ludzi cywilizowanych prawdziwie.

Zasady organizacyi Kościoła Rzymsko-Katolickiego, jak to niedawno skonstatowała "Gazeta Bostońska", a potwierdził "Dziennik Chicagoski" — są od wieków te same, oparte na prawie rządzących i rządzonych z wykluczeniem tych ostatnich od jakichkolwiek praw i zobowiązanych jedynie do posłuszeństwa.

Niechże zatem zasada ta pozostanie sobie i nadal nietknięta i przestrzeganą we wszystkiem co się spraw kościoła i zbawienia dusz ludzkich dotyczy, ale—niech nam jej nikt stosować się nie każe do **życia obywatelskiego**, bo wtedy lud nasz polski i tak już daleko w tyle po za wielu ludami pozostający, skazany zostanie poprostu na hańbę, z której nigdy się nie podźwignie i ostateczną zagładę.

Życie nie stoi w miejscu. Życie wartkim pędem toczy się naprzód i biada tym, którzy tego nie widzą...

Otóż Naród Polski ma prawo i obowiązek, domagania się od tych, którzy są krwią krwi jego i kością jego kości, a którzy dzięki stanowisku przodowniczemu i sukni swojej kapłańskiej, największy wywierają wpływ na tak ciemne jeszcze masy naszego ludu, aby ten lud obok umacniania go w wierze, poucza-

li także o obowiązkach obywatelskich, aby uczyli go myśleć i aby przyzwyczajali go do sztuki rządzenia się sobą — bo sami chyba widzą, że ginie z tą odwieczną nieporadnością, owocem wieków niewolnych przeżytych w hańbie i upodleniu.

W świecie cywilizowanym niema dziś niewoli; niewolnictwo należy do dawno minionej przeszłości, ale człowiek ciemny, do spełniania obowiązków niezdolny, po dawnemu jest niewolnikiem, o tyle bardziej pohańbionym, i o tyle bardziej pożałowania godnym, że szydzi zeń własny jego towarzysz, który pierwej uczuł się człowiekiem.

Stosunki, w których żyjemy , są tego rodzaju, że pomocy w takiej inicyatywie i w takiej pracy obywatelskiej, o jakiej już była mowa, a w takim duchu, jak to wyświetliliśmy powyżej, nie możemy się spodziewać od **wszystkich księży.** Wierzyć jednak należy, że znajdzie się pomiędzy nimi także znaczna liczba prawych Polaków, którzy podobnie jak czcigodny proboszcz parafii św. Trójcy w Chicago, ks. Kazimierz Sztuczko, zrobią wszystko, co będzie w ich mocy, aby ich parafianie byli ludźmi i aby stawali się coraz lepszymi obywatelami i Polakami.



Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wszyscy więcej społecznie wyrobieni Polacy amerykańscy, skupili się w organizacyi Zw. Nar. Polskiego.

Nie szukając daleko, nawet doba obecna dostarczyć nam może sporą liczbę przykładów, że każdy ruch śmielszy i bardziej świadomy celu, ma swoje źródło i główne oparcie w członkach tego Związku.

Wystarczy, skoro przypomnimy sobie tyle nadziei obudzającą inicyatywę Polaków w Massachusetts, do zorganizowania się w Gminę Związku Jedności i skonstatujemy ten fakt, że wystąpili z nią głównie Związkowcy i towarzystwa związkowe. Z taką samą inicyatywą wystąpiły też niedawno towarzystwa związkowe w East St. Louis, a najlepszym chyba dowodem uzdolnień członków Związku do pracy społecznej **w imię dobra naszego ogółu,** to Osada Federacyjna w "związkowej" parafii **św. Trójcy** w Chicago, o której była mowa powyżej, a **na czele** której stoją wyłącznie członkowie Związku.

Lud polski przy Związku Narodowym skupiony rozumie zatem swoje potrzeby i jest dostatecznie uzdolniony do pracy na polu zbiorowego ich zaspokajania i tembardziej żałować wypada, że dzisiejszy program tej organizacyi, pracy podobnej,

pracy wymagającej koniecznego wychylenia się po za jej granice, nie obejmuje.

Skutkiem jakiegoś fatalnego nieporozumienia, z chaosu prądów i programów lat ostatnich wyłoniła się i na porządku dziennym w Związku utrzymuje jedna tylko dyrektywa wyraźna: "budujemy Związek."

Szerzy się tam oprócz tego idea, wskazująca na Związek jako na osobne, w sobie zamknięte społeczeństwo, nazywane czasami "rzecząpospolitą związkową", czasami zaś "Polską w zmniejszeniu". Wszystko to, razem biorąc, byłoby może dobrem, o ile pomaga w budowie Związku, gdyby równocześnie nie przynosiło szkód co raz to większych, przez odciąganie uwagi wielkich zastępów obywateli od bardzo ważnych zadań i potrzeb całego społeczeństwa, o których zaspokajaniu w łonie samego Związku niema i nie może być mowy.

Dziwić się doprawdy należy, że członkowie Związku dotąd nie czują ciężaru kajdan w jakie się sami, trzymając się takiego programu, okuli.

Warto bliżej rozpatrzeć tę sprawę.

Zobaczmy wpierw czem jest każda rzeczpospolita i czem jest Polska dzisiejsza, jako kraj, w którym mieszkają Polacy.

W każdej rzeczypospolitej, ludność jej rozwija szeroko całą pełnię społecznego życia, zapomocą nietylko organizacyi państwowej, ale także całego szeregu instytucyi i zrzeszeń społecznych, w których i przez które zaspakaja wszystkie swoje potrzeby.

W Polsce dzisiejszej, obok Polaka szczerego patryoty, żyje międzynarodowy socyalista, żyje sprzedawczyk, który usługi swoje rządom zaborczym ofiarował, żyje dalej żyd syonista, żyje wróg Lacha: Rusin i Litwin, żyje wreszcie Niemiec, Moskal i całe mnóstwo cudzoziemców, którzy nawet wówczas, kiedy Polska wolność odzyska, będą w niej żyli, ciesząc się opieką praw i swobodą.

Czyż Związek, będący organizacyą mającą tylko pewne, ściśle określone cele, nie zajmujący się nawet tak ważną sprawą, jak szkolnictwo ludowe, nie mówiąc już o innych, może być nazywany "rzecząpospolitą"?...

Czyż zrzeszenie Polaków, do których Rusin i Litwin należeć nie może pod grozą miana zdrajcy ze strony własnych rodaków, które dla polskich socyalistów jest ostatnim wyrazem polskiego szowinizmu i z której nawet Polacy co z kościołem rzymsko-katolickim zerwali wynoszą się do własnej organizacyi, czyż zrzeszenie takie, może być uważanem za Polskę w

zmniejszeniu, za Polskę, w której przecież musi być miejsce dla wszystkich?...

Zdrowy rozum każdego chyba wyraźnie wykaże, że jest to określenie mocno naciągnięte i aczkolwiek na pozór bardzo szerokie, stające się w istocie rzeczy kajdanami dla organizacyi **wyraźnie narodowej**, dobierającej sobie członków dość ostrożnie i będącej, jak to wyraźnie w Historyi Związku |zgodnie z poglądami jego fundatorów| skonstatowałem, naczelną organizacyą stronnictwa narodowego.

Jaka szkoda, że o tem obecnie zapominamy!

Historyę Związku pisałem w roku 1905, a więc w czasie, w którym w Polsce na pierwszy plan wysunęło się stronnictwo Narodowo-Demokratyczne, zrodzone z ducha tych samych mężów |na co są w tej Historyi liczne dowody| co i Związek Narodowy i skutkiem tego, nie brakowało mi argumentów wprost niezbitych na uzasadnienie moich dowodzeń.

Jaka szkoda, że nikt nie chce o tem pamiętać obecnie!

Bo proszę sobie uprzytomnić, w jaki sposób bratnia naszemu Związkowi Narodowemu organizacya stronnictwa Narodowo-Demokratycznego w Polsce, spełniała wówczas i spełnia dziś obowiązki wobec całego narodu. Pomimo, że należą do niej reprezentanci klas rozmaitych, a więc szlachta, kupcy, rzemieślnicy, robotnicy, księża i lud wiejski, reprezentując o wiele pełniej cały naród — niż członkowie naszego Związku, uznano się wyraźnie tylko stronnictwem, które nakreśliło sobie taki plan działania, by przez swoich członków, a w duchu swoich dążeń i przekonań i w myśli interesów całego narodu, działać w każdej organizacyi społecznej, którą do życia powołała rzeczywista potrzeba.

I na tej drodze stronnictwo to, narodowe, polskie, którego kadry stały się prawdziwą szkołą dla społecznych działaczy, święci ogromne tryumfy w Polsce.

Wystarczy, skoro uprzytomnimy sobie chociażby tylko kilka faktów znanych ogólnie:

Polska Macierz Szkolna, nie była organizacyą stronnictwa, ale nie mniej z jego łona wyrosła i gdyby nie cios zabójczy ze strony rządu, całe szkolnictwo w Królestwie byłoby pod jego kontrolą. Tak samo "Towarzystwo Szkoły Ludowej" w Galicyi i "Straż" pod zaborem pruskim nie są organizacyami stronnictwa, a przecież w znacznej mierze są od niego zależne. Jaki po za tem wpływ na cały naród wywierać może stronnictwo w ten sposób zorganizowane, dowodem, rezultaty wyborów do dumy państwowej w Petersburgu. Pomimo, że stronnictwo nie

ogłosiło się Polską, Polska jednak do dumy wyłącznie narodowych demokratów wysyła...

Reasumując, to co wyżej powiedziano, pragnąłbym, aby każdy zrozumiał, że organizacya tego stronnictwa w Polsce, po to tylko istnieje, aby skupiać w sobie i wyrabiać tak całe szerokie masy ludu, jak i jego wodzów, uzdolniając pierwsze i drugich do jednomyślnego działania na każdem polu pracy społecznej.

Jaka szkoda, że o tem zapomnieliśmy w ostatnich latach w naszym Związku Narodowym, który jest organizacyą z Narodową Demokracyą w Polsce związaną duchem swoich założycieli.

W przedmowie do Historyi Związku Narodowego Polskiego pisałem:

" Nie spełniliśmy dotąd misyi jaką "Organizacyi Polaków w Ameryce" wyznaczył Agaton Giller, ale Związek Narodowy Polski, potężniejący i rozwijający się z roku na rok co raz wspanialej, każe nam mieć nadzieję, że za jego głosem, w chwili, którą uzna za odpowiednią przypomnieć brzmienie tego listu wszystkim rodakom w Ameryce, pójdzie ogromna większość całego naszego wychodztwa."

A zaś tenże Giller wypisał w onym liście między innymi zdanie następujące:

" W wielkiej sprawie narodu, to tylko kierownictwo jest rozumne, które żadnej siły pojedynczej lub zbiorowej nie traci z oczu, żadnej nie uznaje za mało znaczącą, lub nie do użycia, a rozproszone lub zbłąkane zagarnia do gromady i prowadzi właściwemi drogami do służb, które podnoszą znaczenie potęgę, blask Ojczyzny, oraz jej samodzielność. Po nad tę sprawę nie ma ważniejszej dla Polaka."

A więc nie o sobie, nie o organizacyi, ani nawet nie o całem wychodźtwie każe myśleć wielki fundator Związku, ale o narodzie, o Ojczyźnie, po nad której sprawami niema dla Polaka ważniejszych.

To chyba dowód najwyraźniejszy, że na zupełnie fałszywej drodze jesteśmy w tej organizacyi dzisiaj i że byłby już może czas do pomyślenia o powrocie do pierwotnych założeń, do takiego programu działania, jakiego się trzyma bratnia organizacya w Polsce.

Wyobraźmy sobie, choćby na chwilę tylko, że Związek Narodowy Polski, na jednym ze swoich Sejmów uznał ważność organizowania gmin terytoryalnych i wszystkim swoim grupom |których jest obecnie już przeszło tysiąc, w około czterechset koloniach| polecił nietylko agitacyę za ich organizowaniem,

ale dał także wyraźne wskazówki, jak się do tego zabrać i jak je następnie prowadzić należy.

Wszyscy wiemy, że wielu członków Związku należy oprócz tego do innych towarzystw i organizacyi, ważną odgrywając rolę także w parafiach i w życiu obywatelskiem wogóle. Idea ta szybko przeniosłaby się także do innych organizacyi i zrzeszeń, tak, że w przeciągu roku mielibyśmy zaczątek poważnej roboty społecznej w kilkuset naraz koloniach...

A potem dalej jeszcze, mógłby pójść ten sam Związek i rzucić hasło, by w ten sposób poorganizowane gminy wybierały, swoich reprezentantów na zjazdy okręgowe, dla przeprowadzenia organizacyi okręgów, a w końcu walne, dla ostatecznego zbudowania Związku Jedności!

Stałoby się to co prawda po za Związkiem Narodowym, ale... stronnictwo Narodowo-Demokratyczne w Polsce bynajmniej tem się nie martwi, że jego członkowie w Petersburgu reprezentują cały naród, a nie ich organizacyę.

Ale... nie łudźmy się! Na razie przynajmniej są to tylko marzenia. Nietylko całej Polonii w Ameryce, ale nawet Związkowi Narodowemu daleko jeszcze do pojmowania w ten sposób swoich zadań i celów.

Nie przeszkadza to jednak nikomu do podejmowania prób rozświetlenia ciemności na własną rękę i w kole najbliższych sobie towarzystw, aby chwilę uzdolnienia całego naszego społeczeństwa do ogólnej organizacyi społecznej przyspieszyć.

ROZDZIAŁ XII.

Plan organizacyi "Gminy terytoryalnej" jakie organizować się powinno we wszystkich koloniach i dzielnicach polskich w Ameryce.

W rozdziałach poprzednich dostatecznie wyświetlonem zostało, że od obecnych przewodników społeczeństwa naszego w Ameryce nie można spodziewać się żadnej inicyatywy do jakiejś zbiorowej akcyi wprzęgającej wszystkich zorganizowanych w towarzystwa Polaków do wydatniejszej pracy społecznej.

Dużo jeszcze potrzeba czasu, starań i zabiegów, aby wyższa myśl społeczna odniosła tryumf nad szablonem, który wszedł nam w krew, przeszedł w nałóg, stał się drugą naturą.

W każdym razie uważny obserwator naszego życia, w ostatnich czasach coraz częściej spostrzegać musi dość wyraźne przebłyski zdrowej myśli społecznej, już to w inicyatywie do organizowania gmin terytoryalnych, powstającej samorzutnie z głębin mas ludowych. już to w artykułach dziennikarskich co raz to większej ilości pism, stwierdzających potrzebę radykalnej zmiany dotychczasowego sposobu myślenia.

Najważniejszym jednak wypadkiem w wytwarzaniu się nowego kierunku, to silnie już obecnie zorganizowane Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy, pracowników pióra, które pozapodniesieniem poziomu etyki dziennikarskiej, stawia sobie za cel główny doprowadzenie naszych gromad wychodźczych do ścisłej jedności w życiu społecznem i narodowem.

Że jedność taka polegać może tylko na wprzęgnięciu wszystkich, tak jednostek, jak towarzystw i organizacyi, do planowej pracy dla wspólnego dobra, o tem chyba dwóch zdań być nie może, a że praca taka możliwą jest, tylko na planie Gminy Terytoryalnej, na to chyba każdy także zgodzić się musi.

Dla wyraźniejszego zobrazowania w jak regularne karby ująć by się dało życie społeczne każdej naszej kolonii, niech

posłuży poniższy szkic "ustawy" o której rozpatrzenie prosimy wszystkich zwolenników tego nowego kierunku.

ARTYKUŁ I.

Nazwa.

Gmina Towarzystw Polskich w.... |nazwa miasta albo dzielnicy|.

ARTYKUŁ II.

Członkowie:

Członkiem gminy może być każde Towarzystwo polskie kościelne, albo cywilne, które zgodzi się na opłatę pewnego podatku na ogólne cele gminy i na wybór reprezentantów do "zgromadzenia."

ARTYKUŁ III.

Cele.

Cele Gminy są następujące:

1. Pamięć o urządzaniu wspólnem obchodów wszystkich ważniejszych rocznic dziejowych.
2. Opieka nad szkołą parafialną.
3. Budowa domów narodowych.
4. Opieka nad dorastającą młodzieżą przez troskliwe wspieranie jej towarzystw i organizowanie nowych w razie potrzeby.
5. Inicyatywa w organizowaniu spółek budowlano-pożyczkowych, kas oszczędności, składów ko-operatywnych, towarzystw kupców i przemysłowców i rozmaitych przedsiębiorstw akcyjnych, oraz kontrola wszystkich tego rodzaju instytucyi.
6. Udział w polityce miejscowej i baczne zwracanie uwagi na to, aby gmina miała należną sobie reprezentacyę w zarządzie czyto miasta, czy powiatu, oraz dopilnowanie, aby wszyscy jej mieszkańcy, którzy mogą, byli obywatelami tego kraju.
7. Kontrola całego obszaru ziemi zajmowanej przez gminę i kierowanie jej wykupywaniem z rąk obcych, tak, aby na tym obszarze mieszkali możliwie sami Polacy.
8. Zachęcenie Polaków do wstępowania do unii robotniczych i pomoc organizowania polskich "lokalów."

ARTYKUŁ IV.

Zgromadzenie reprezentantów.

Na czele gminy stoi "zgromadzenie reprezentantów" wybieranych w stosunku 1 do 25 członków każdego towarzystwa

|stosunek ten zresztą zależnym może być od woli interesowanych|, które odbywa co miesiąc, lub co kwartał zebranie walne dla wysłuchania raportów zarządu i komitetów i regulowania całego życia gminy.

ARTYKUŁ V.

Zarząd gminy:

Wybierany jest na rocznem zgromadzeniu reprezentantów, z odpowiedniej liczby członków, w skład którego wchodzi prezes, wiceprezes, skarbnik, sekretarz i prezesi komitetów ja ko dyrektorzy i odbywa posiedzenia tak często, jak tego wymaga potrzeba, kierując całem życiem gminy.

ARTYKUŁ VI.

Komitety:

Dla dopilnowania wszystkich spraw i interesów gminy, zgromadzenie reprezentantów na rocznem zebraniu wybiera oprócz zarządu, następujące komitety:

1. Komitet obchodowy |cel określa już sama nazwa|.

2. Komitet szkolny. |W skład tego komitetu wchodzić powinni ludzie możliwie kompetentni, dla przeprowadzenia od czasu do czasu egzaminacyi dzieci itp. Komitet ten powinien interesować się potrzebami szkoły i przedstawić je, od czasu do czasu ogółowi dla uzyskania pomocy.|

3. Komitet domów narodowych; z dążeniem do ich budowy, a następnie opieki i kontroli.

4. Komitet młodzieży. Dąży do zorganizowania gniazd sokolich, towarzystw śpiewaczych, teatralnych, sportowych i sprawy ich i potrzeby przedstawia ogółowi do poparcia i pomocy.

5. Komitet przemysłowo-handlowy, rozwija akcyę w kierunku określonym paragrafem 5 artykułu III niniejszego projektu.

6. Komitet polityczny, czuwa nad sprawami omówionymi w paragrafie 6 tego projektu.

7. Komitet gruntowy, dla dopilnowania spraw w punkcie 7.

8. Komitet unii robotniczych.

ARTYKUŁ VII.

Walne zebrania czyli wiece.

Zgromadzenie reprezentantów uchwala zwoływanie walnych zebrań czyli wieców, wszystkich członków towarzystw do gminy należących. Wiec taki raz do roku powinien się od-

być bezwarunkowo, dla wysłuchania sprawozdań, a potem tak często, jak tego będzie wymagać potrzeba.

Jeżeli idzie nam o kształcenie ludu naszego w służbie obywatelskiej i o istotne dopuszczenie go do spełniania obowiązków, oraz korzystania z przywilejów, jakie miano obywatela za sobą pociąga, to będziemy się starali o możliwie jak najczęstsze zwoływanie takich wieców, bo jakże moglibyśmy żądać od ogółu poparcia rozmaitych celów, bez przedstawienia mu ich potrzeby i korzyści, bez starania się, aby tę potrzebę i korzyść odczuł i zrozumiał.

* * *

Ot mamy i cały plan organizacyi Gminy Terytoryalnej, oczywiście w bardzo ogólnikowych tylko zarysach, wymagający w wielu punktach rozszerzenia, uzupełnienia i zmian, dający jednak pojęcie planu dążeń, który w dalszym ciągu rozwijać i popularyzować może i powinien każdy szczerze naród swój miłujący Polak-wychodźca, w tem przekonaniu, że dobrze się przysłuży sprawie ogólnej.

Kto wierzy w przyszłość, kto wierzy w to, że ludy i narody świata, przy pomocy Bożej same o swym losie i przyszłości stanowią, ten od pracy w tym kierunku się nie cofnie, ten stanie razem w szeregu w tem przekonaniu, że pracuje nietylko dla samego wychodźtwa, ale równocześnie dla całego Narodu Polskiego, któremu wychodźtwo w całej masie wiernem pozostanie na zawsze.

WŁADYSŁAW J. KONIUSZEWSKI.

Dziennikarstwo polskie w Ameryce, jego braki, zadania i obowiązki.

Lat mija 250 od założenia pierwszej gazety polskiej*), a 48 od ukazania się pierwszego pisma polskiego w Ameryce**).

I oto w rocznicę dwu i półwiekową bojowania polskiej Prasy odbywa się pierwszy Zjazd polskich pracowników pióra w Ameryce, co za wróżbę uważamy dobrą, a na duchu umocnieni, w przyszłość idziemy śmiało, Juliuszowy testament za przykazanie mając, a ducha Adamowego za słup ognisty.

A droga nas czeka ciężka!

Półwiekowe bytowanie na amerykańskiej ziemi dowodnie ukazuje nam wielkie znaczenie prasy naszej, a jednocześnie jej niski poziom, jej braki i słabe strony, mimo warunki zewnętrzne jak najlepsze i środki materyalne niezgorsze. Półwiekowe życie nasze na obczyźnie uczy dalej, że organizacye nasze religijne i socyalne nie są w stanie ustrzedz emigracyi od wynaradawiania się, bo skostniały w swych formach, że nieodzowną jest w tym kierunku potrzeba reformy, której dokonać można jedynie przez prasę. Stąd staje się ona zasadniczą dźwignią polskiego stanu posiadania w Ameryce, a chcąc go sobie zapewnić, w pierwszym rzędzie ją umocnić nam trzeba.

Hasło podniesienia prasy naszej — po wielu próbach bezowocnych — zostało częściowo zrealizowane przez założenie Tow. Literatów i Dziennikarzy Polskich w Ameryce — a pierwszy jego Zjazd rozważył środki i drogi, jakie do celu zawieść winny.

* * *

Zadania pisma polskiego w Ameryce ciężkie są, liczne i wielorakie; inne niż je ma pismo polskie w kraju ojczystym, a całkiem odmienne od pisma amerykańskiego. Wypływają one z warunków bytu, stosunków i rozwoju życia. Dotąd bowiem nie rozwiązaliśmy pytania, jak byt nasz tu ukształtować i dopiero próby czynimy w tym kierunku, omawiając kwestyę kolo-

---

*) Staraniem J. A. Gorczyna ukazało się w Krakowie 3-go stycznia 1661 roku pierwsze pismo polskie p. t. "Merkuryusz polski, ordynaryjny. dzieje wszystkiego świata w sobie zamykający, dla informacyi pospolitej."

**) Dnia 1 czerwca 1863 roku wyszedł w New Yorku pierwszy numer "Echa z Polski", pod redakcyą R. J. Jaworskiego, celem informowania wychodztwa o przebiegu powstania Styczniowego.

nizacyjną i inne. Prasa też nasza winna sprawami temi zająć się gorliwie, i rozplątać te węzły gordyjskie, porozwiązywać te znaki pytania, które tysiącem odnóg polipich dusz naszego wychodźtwa czepiają się, wywołując chaos, rozbieżność opinii, dyzorganizacyę. Polacy w Ameryce mieć muszą własną, świadomą prasę, to znaczy taką, któraby wyrazem była ich dążeń i wskaźnikiem dróg na przyszłość.

Nie mamy tu w Ameryce żadnych "kwestyi", żadnych postulatów partyjnych, które osłabiają ekspanzyę narodowego rozwoju utarczkami pobocznemi*), przeciwnie całą swoją energię skierować możemy ku obronie polskości. Stąd też obowiązkiem uczciwego pisma, które swe zadania pojmuje rzetelnie: trwanie wierne pod sztandarem Polski, czystym, bez żadnych znaków partyjnych, lub wyznaniowych. Pismo takie nie przenosi Polaków z pod zaboru rosyjskiego nad rodaków z pod zaboru pruskiego, nie dzieli społeczeństwa polskiego na klasy, przyznając jednej więcej przywilejów niż drugiej, nie wkracza w dziedzinę przekonań religijnych, popierając rzymsko-katolików ze szkodą wyznawców innych systematów — ale za dewizę bierze sobie pracę nad polskością, tak wielką i rozległą, by mogła objąć wszystkie odłamy, wyznania i klasy, boć wszystkim Macierz wspólna, a niepodległość Jej jednakowo droga.

* * *

Równolegle z tym kierunkiem, biegnie drugi: zwalczania interesów partyi, wybujałości uroszczeń poszczególnych grup lub ambicyi jednostek, bojowanie nieustępliwe z wszystkiemi "Polskami w zmniejszeniu", czyli patryotyzmem organizacyjnym i dzielnicowym, krzewiącym się ze szkodą Sprawy ogólnej. Oba te kierunki, zasadnicze, tak się wzajemnie dopełniają, w takim pozostają do siebie stosunku, że jeden bez drugiego pomyśleć się nie da, złączone — tworzą całość skończoną.

Stąd, jak ze źródła racyonalnej, zdrowej pracy społeczno-narodowej, wypływa szereg cały zadań, postulatów i przykazań, którym pismo polskie hołdować musi, jeśli chce obowiązkom swym zadość uczynić! Z punktu tego wyjścia, rozstrumienia się praca cała na szereg kierunków i dróg, podobnie jak promienie światła, wysyłane z punktu jednego, ze słońca. Muszą jednak strumienie wszystkie zejść się w punkcie ostatecznym, jakim jest niepodległość kraju ojczystego, całkiem tak samo, jak promienie słoneczne, skupione za pomocą soczewki w pun-

*) "Kwestya ruska" w Galicyi, walka stronnictw tamże i w innych częściach Polski, oparta na ruchu negatywnym, jak to wykazuje Z. Balicki.

kcie zbioru. Cokolwiek tedy czynić mamy, czyńmy z myślą wywalczenia wolności naszej Ziemi, dążąc do celu tego pośrednio lub bezpośrednio.

Na barkach prasy swobodnej i nie krępowanej spoczywa obowiązek pracy pośredniej, której wyrazem zachowanie dla narodu trzymilionowego wychodźtwa i bezpośredniej: spieszenia Ojczyźnie z pomocą, względnie nawoływania do ofiarności na potrzeby Kraju i zachęcania do powrotu, za pośrednictwem odnośnych instytucyi. Na plan też pierwszy wysuwa się akcya podtrzymywania łączności z Macierzą, kierowania tam serc i dusz! Natura ludzka podłą jest i nikczemną, łatwo dostosowującą się do otoczenia, niewdzięczną. To też ludzie, którym w kraju było źle, którym dokuczał polityczny ucisk lub głód, przybywszy tu, gdzie im powierzchownie wszystko wolno, gdzie jedzą do syta i dostatnio się ubierają, zapominają o swej rodzinnej Ziemi, aklimatyzując się tu, w myśl podłej zasady: "Tam ojczyzna, gdzie dobrze". Dla nas osobiście, jestto objaw do pewnego stopnia zrozumiały. Zastanówmy się tylko nad składem naszej emigracyi. Czem ona jest i z jakich składa się czynników?

Przybywa oto do Ameryki w pierwszym rzędzie nieuświadomiony włościanin, drobny rzemieślnik, wiejski lub miejski proletaryusz, gnany nędzą. Poza tem garść wychodźców, nękanych obawą poborów wojskowych i reakcyą polityczną, oraz garsteczka inteligencyi, która nawet za pokost nie starczy. Z cichych siół, zapadłych kątów, z błotnych, deskami od reszty oświaty odgraniczonych miasteczek wygnany, nagle przeniesiony został polski wędrowiec w inny świat, wprost, bez żadnych przejść pośrednich, znalazł się w rozgwarze amerykańskiego miasta, zastrachany murów tych wielgachnych rozmiarem, tych kolei ulicznych i górnych hałasem, tego życia amerykańskiego zwierzęcym pośpiechem.....

W duszy polskiego wychodźcy powstaje chaos; jakby kto szmatą brudną omotał mu mózg, skrępował czucie, oślepił te oczy jasne, co z radością spoglądały na falujący żyta łan, zdławił to serce zacne, co czułe było na niedolę drugich, choć samo ją znosiło. Sztucznie przeniesiony na grunt tandetnej, lecz rozbujałej materyalnie cywilizacyi amerykańskiej ze swego patryarchalnego środowiska, nie mając żadnego zrównoważenia, nie znając skarbów duchowych, własnych— zbłąkał się.

Ten biedny emigrant nie wie nawet co to jest ta Polska, bo znał w niej tylko egzekutorów podatkowych, co ostatnią z obory wyprowadzali krowę za niezapłacony podatek, znał w niej

ucisk biurokracyi i jej łapownictwo, bezprawia żandarmskie i stare opowieści o czasach pańszczyźnianych, sugerowane przez Metternichów i ich następców. Tu, w Ameryce, oślepiony jej bogactwem materyalnem, rzekomą swobodą, o której mu jeszcze przed podróżą agenci linii okrętowych cuda opowiadali — przylgnął do niej. Zrzucił ze siebie malowniczy strój, wyparł się starych zwyczajów, zawarl znajomość z amerykańskim barem, bez obawy wsiadać począł do tramwajów, nawet chodzić za 5c. do teatru — i struł się. Struł się amerykańską tandetą, suto złoconą, a nie zdając sobie sprawy, że stosunki ciężkie w Kraju Starym wytwarza wróg, nie Polska, nie znając jej przeszłości, ani kultury, sądząc, że po za wsią lub miasteczkiem niczego tam nie ma, przywarł całą siłą poczciwej, naiwnej swej duszy do amerykańskich teatrzyków kinematograficznych i "balów" w brudnych szynkowniach i amerykańskiej ordynarności, mniemając, że są one właśnie ostatnim wyrazem rozwoju ludzkości.

I w tem nasza klątwa! Naród, który w pochodzie naprzód równo szedł z Francyą, którego imię zapisało się chlubnie w kronice każdego ruchu wolnościowego, własnej dziatwie nie może przyjść z pomocą, bo dostępu do skarbnicy naszej broni obcy bagnet i nahajka.....

Stąd też wychodźtwo nasze tak łatwo się wynaradawia, w taki zachwyt miernego gatunku wpada dla wszystkiego, co amerykańskie. Choć bowiem pozory zewnętrzne pozwalają sądzić inaczej, jednak więcej niż połowa nawet zorganizowanego w towarzystwa polskie wychodźtwa, duchowo do Polski nie należy, a ta rodzima inteligencya, którą się szczycimy dziecinnie, w trzech czwartych jest zamerykanizowaną do szpiku kości, imieniem polskiem posługując się jedynie jako środkiem ogłoszeniowym!

* * *

Zadaniem tedy prasy naszej: walka z temi przekonaniami, względnie błędnymi przesądami, wykazywanie, że kultura nie jest zależną od dogodności środków komunikacyjnych, ani wysokości murów; dalej stwierdzanie na każdym kroku, że kultury tu niema, że tworzy się dopiero, ujawnianie niezdrowych stosunków tutejszych, zdzieranie łusek z oczu — wznosząc jednocześnie świętą Macierz naszą na piedestał Jej należny, wzbudzając cześć dla Jej kultury dziesięcio-wiekowej, czołobitność za Jej chlubne bojowanie w imię Wolności, miłość i przywiązanie w dniach niedoli — drogą artykułów ciepłych, uwag porównawczych, notatek nawet drobnych, dołączanych wszędzie, gdzie tylko dołączyć je można.

Środkiem już znanym to utrzymywanie stałej rubryki pt. "Wieści z ojczyzny". Przeważna część jednak pism naszych rubrykę tę zapełnia banalnemi nowinkami z wsi, miasteczek i miast w formie tak humorystycznej, że wzbudzają tylko politowanie. Czytamy oto w jednem z pism, że "w Drohobyczu na ul. Krótkiej najechał wóz ciężarowy na ob X., i ciężko go poranił. Powodem nieszczęśliwego wypadku brak choć jednej lampy naftowej."

A dalej czytamy: "Spodziewać się należy, że wypadek ten wpłynie na magistrat, by w interesie mieszkańców naszego miasta, postarał się o oświetlenie ciemnych ulic."

Więc owo pismo polskie w Ameryce, radzi magistratowi Drohobycza postarać się o lepsze oświetlenie ulicy Krótkiej! Czyż to nie śmieszne? I takiemi "wieściami z ojczyzny" zapełnia się sześć do dwunastu szpalt. Na artykuły zaś rzeczowe, na poważne, poglądowe korespondencye |choćby fabrykowane w Chicago, na podstawie pism europejskich| — nie ma miejsca. Rezultat stąd taki, że czytelnik pism naszych nie może sobie wytworzyć poglądu na stosunki w Kraju, które nieustannie ulegają zmianie na lepsze, a jeśli go ma, to spaczony. Osłabia to w nim chęć powrotu do Kraju, lub nawet przywiązanie i zainteresowanie się nim, a śmiało twierdzić można, że wielka część naszego wychodźtwa, dopiero tu zrozumiała, że jest polską — choćby uświadomienie tego faktu było nawet tylko przelotnem.

Ten sposób informowania wychodźtwa o życiu narodowo-społecznem na ziemiach polskich uledz winien zmianie, bo choć "nowinki" te podobają się, nie są żadną strawą dla ducha, ani serca nie przyśpieszają bicia, przeciwnie zacieśniają pojęcie ojczyzny i tak już pokawałkowanej i rozdrobionej patryotyzmem dzielnicowym. Pisma nasze mają obowiązek dawania pełnych obrazów życia narodu za morzem i raczej fakt każdy zabarwiać optymistycznie, niż pesymistycznie; wykazywać rozwój i parcie naprzód, mimo przeszkód i prześladowania! Czytelnik winien czerpać w tem otuchę, zapał i energię, iść w ślady swej braci, pracować jak i ona, tem intenzywniej, że tu niema tylu przeszkód, co tam; być z nią w ciągłym kontakcie, przywiązanym wszystkiemi strunami serca i duszy do ziemi własnej — tam, podnietę w nostalgii serdecznej czerpiąc i wiarę, że Polska, to nie pustego słowa grzechot, to nie szmer papierowych sztandarów, lecz żywa, serdeczna krew, serc wiernych miliony, rąk krzepkich splot i duchów ofiarnych legion!

* * *

Białym krukiem na szpaltach pism naszych to artykuł historyczny, obrazek jakiegoś zdarzenia, charakterystyka epoki, lub sylwetka bohaterskiego praojca. A jednak w walce z amerykanizmem historya nasza to broń jedyna, prawie niezawodna. A historya ta jest naszej emigracyi nieznaną — zupełnie! Szablonowe mowy obchodowe, ani obowiązkowe artykuły, w których więcej czczej gadaniny niż myśli, luki nie wypełniają. To upośledzenie historyi mści się na nas srogo; w tem upatrujemy naszą rozbieżność i jałowość. W życiu bowiem naszej emigracyi panuje pustka w stosunku do przeszłości narodu. Stąd też wyrodził się jakiś specyficzny, naszego chowu pozytywizm, pod którego wpływem objawia się wśród nas dążność niwelacyjna pod hasłem rozbratu z przeszłością, działania zaś dla teraźniejszości. I tem tłumaczyć sobie należy ową płodność chorobliwą rozlicznych projektów, ową programomanią, z czego rezultatów realnych brak! A są te pomysły tak liczne i błahe*), że twórczość nasza staje się z dniem każdym coraz bardziej jałową. "Człowiek bowiem i społeczeństwo bez zmysłu historycznego |znajomości i odczucia przeszłości| to człowiek także, ale bez duszy"**).

W kraju cała twórczość poszła w kierunku oglądania się na przeszłość i odrodzenie postępuje coraz raźniej***). Znaną jest bowiem siła wspomnień historycznych, a i fakt, że ludziom o wspólnej przeszłości łatwiej się porozumieć, a brak tego łącznika |lub jego nieświadomość| sprowadza dyzorganizacyę społeczną, a także i poczucia solidarności moralnej, będącej cementem spoistości narodowej. Drogą rozpamiętywania przeszłości, a więc wspólnych duchowych dóbr, dochodzimy do silniejszego kojarzenia się, do ściślejszego zesolidaryzowania się, co zwłaszcza dla nas znaczenie miałoby ogromne. Pozatem, poznanie i wyczucie dziejów narodu, budzi żywe przeświadczenie, że teraźniejszość nasza nie jest czemś oderwanem, stworzonem sztucznie, jak teatralny grzmot, lecz "dalszym ciągiem nici, wysnuwanej z kłębka, spowitego w pomrokę dziejów". Gdy zaś to przeświadczenie w wychodźtwie naszem utrwali się, o polskość jego możemy być spokojni. Starajmyż się to przeświadczenie obudzić, zapełnić tę lukę, zamurować ten wyłom, przez który wyciekają najszczytniejsze myśli i zamiary, najżarliwsza akcya.

*)Projekt np. założenia kooperatywnego browaru polskiego!

**)Zakrzewski: "Zagadnienia historyczne".

***)Porównaj dzieła historyczne: T. Korzona, Sz. Askenazego, W. Sobieskiego i utwory: Wyspiańskiego, Zeromskiego, Kasprowicza, Konopnickiej i wielu innych.

Dopiąć zaś celu można jedynie przez zajęcie się historyą naszą chlubną, przez drukowanie w pismach naszych artykułów z tej dziedziny, w formie popularnej, a ciepłej, pełnej i plastycznej. W Niemczech wymyślono niedawno retrospektywne nauczanie historyi, czyli cofanie się wstecz. Nie jest to rzecz doskonała w dziedzinie pedagogiki historycznej, bo rozwija się z jej szkodą; dla nas jednak miałaby znaczenie nawet doniosłe, gdybyśmy ją zastosować chcieli, obierając za punkt wyjścia naszą martyrologię, która najtwardsze serca skruszyć jest w stanie i oddźwięk serdeczny wywołać.

Nauczylibyśmy się wielu nowych rzeczy, w pierwszym rzędzie szacunku dla samych siebie i swej przeszłości, dotąd tylko wyobrażanej — przez żywioły postępowe zwłaszcza — jako dyabła w kontuszu. Z tej przeszłości nauczylibyśmy się, że nie tylko charakter nasz był zacny, tolerancyjny, zgoła nie zaborczy, lecz, że byliśmy tarczą Europy, własnych piersi murem broniliśmy kultury przed dziczą azyatycką, co nam nawet na forum francuskiem publicznie przyznano: że polska nie była jawnogrzesznicą, unikatem między narodami, ani od nich gorszą, że nawet po stracie Kraju, pod orłami Napoleona walcząc, imię polskie powtórnie rozbłysło tęczą sławy, że w kierunku reform społecznych wyprzedziliśmy wszystkich, zakładając pierwsze na świecie ministeryum oświaty, szkoły oddając pod nadzór publiczny, że we wszystkich walkach o Wolność i prawa człowieka udział braliśmy ofiarny, że na murach rewolucyjnego Paryża w 48 r. i nasz, jedyny, oprócz francuskiego, powiewał sztandar — a w te wspomnienia zbrojni, podniesieni na duchu temi widzeniami z chrobrej przeszłości, z wiarą szlibyśmy w przyszłość, twardo się opierając nienawistnej teraźniejszości.

* * *

A jednocześnie prasa nasza otworzyć winna przed wychodźtwem wrota sezamów kultury polskiej, przebogatej; podnosić zmysł moralny i estetyczny, drukując fragmenty poszczególnych dzieł z zakresu literatury pięknej, i dziejów myśli polskiej, presyę wywierać na nasze księgarnie wydawnicze, by lud nasz nie truły bajkami, wykoszlawiającą moralnie i umysłowo literaturą senzacyjną i innemi głupstwami z dziedziny kryminalistyki i jałowych bajań moralizatorskich. W tym kierunku prasa nasza ogromnie wiele zdziałać może, byle zechcieć, byle zrozumieć swe posłannictwo i zadania podniosłe. Akcya bowiem szerzenia kultury polskiej, przewspaniałej, rychło wyda owoce, łatwiejszą będzie praca ogólna, nie będzie takiego rozsprzężenia opinii, takiego brutalnego zmateryalizowania się, tej

szarzyzny przebrzydłej, uczujemy się bowiem samowładnym narodem polskim, jak nazywaliśmy się w manifestach z lat 48, a nie komornikami Yankiesów, którzy dawno już swe porywy za marne obole przehandlowali...

Gdyby cała prasa nasza, a choćby tylko część jej, te postulaty przyjęła jako obowiązujące, w niedługim czasie — powtarzamy — dźwignęłoby się nasze wychodźtwo na wyżyny społeczeństwa, świadomego swych dążeń, praw i siły — gdy dziś, jest pierwociną, materyałem zaledwie, utrzymywanym w skupieniu — dyzorganizacyą, co jest zjawiskiem zupełnie analogicznem z okresem paradokslanym rządów saskich, gdy "Polska nierządem stała." Wychodźtwo bowiem nasze nie jest jeszcze wyrobione społecznie ani narodowo, składa się z tych warstw, które nie przebyły pierwszych nawet stopni rozwoju, nie mających nawet poczucia potrzeby oświaty, a cóż dopiero mówić o solidarności szerszej, o organizacyi silnej, która dokonuje się samorzutnie, instynktownie. Prasa tedy nasza ma obowiązek podwójny: zwalczania mroków, łamania tych lodów nieufności, niechęci do książki, obojętności i głuchoty na najszczytniejsze hasła, budując w sercach trwały gmach narodowej gontyny, stawianej architekturą współczesną.

* * *

Tu też podkreślić niech nam będzie wolno powszechne i uporczywe grzeszenie przeciw czystości ojczystego języka. Pomijamy już kwestyę różnic w dziedzinie pisowni bo i w kraju ojczystym zasady krakowskiej Akademii Umiejętności z nowemi prawidłami |np. prof. Kryńskiego z Warszawy| nie zgadzają się i cały szereg kwestyi spornych z tej dziedziny, mimo obustronnej wyczerpującej argumentacyi, nie zostały rozstrzygnięte, ale psucie i szpecenie mowy naszej przepięknej, niekulturalne zachwaszczanie jej dzikimi nowotworami o sprzecznych często znaczeniach — jak **kara** i "kara" z angielskiego "car", i wiele innych powinny być poniechane. Przecież język nasz, przebogata mowa Słowackich, Wyspiańskich, Kasprowiczów, Żeromskich, która wieków dziesięć urabiała się, i uszlachetniała, by jak kruszec szlachetny dźwiękiem brzmieć czystym, jak cennych brylantów sznur tęczowym grać blaskiem, snopami złotych skrzyć się iskier — chlubą naszą być winna i przedmiotem czułej, troskliwej opieki. A co myśmy z niej zrobili! Złoto wymieniliśmy na tombak, bezcenne perły na martwe bez blasków i ognia szkiełka tandetne. Język, używany przez większość pism zaiste na miano polskiej zasługuje chińszczyzny, tworzonej dopiero, pełnej dźwięków trywialnych, nierów-

ności i ociężałości. Natworzyliśmy mnóstwo całe wyrazów cudacznie poprzekręcanych ze słów angielskich i zamiast z głęboką plastyką i polskim rozmachem mówić: szynk — wynaleźliśmy wyrażenie "salun", dom nazywamy — "hauzem", burmistrza — "mayorem", ulicę — "sztrytą", festyn — "piknikiem", nyżę — "bedrumem", pudełko — "baksą" lub "bakską", zapałki — "meczkami", biuro — "ofisem", sklep — "sztorem" i t. d. i t. d. Odzywają się nawet głosy, opierające się zwalczaniu tego wandalizmu, nawet publikowane drukiem.

Byłaby to zresztą kwestya zrozumiała i dająca się wytłumaczyć, gdyby nam brakowało słów, brakowało nazw na określenie właściwości pewnych rzeczy lub czynności.

A przecież nowo opracowywany w Warszawie słownik języka polskiego zawierać będzie przeszło 300,000 słów. Co za ogrom, co za przebogata skarbnica, z której czerpać można oburącz, nie obawiając się sięgnięcia dna, dziesięć mając nazw na określenie jednej i tej samej rzeczy w całej skali tonów i półtonów. Cóż tedy mają na usprawiedliwienie ci nasi żargonotwórcy? Chyba tylko lenistwa i obskurantyzmu dają dowody i braku poszanowania tego największego skarbu, jakim się naród cywilizowany poszczycić może, tą wiecznie żywą, nieustannie odradzającą się mową swą rodzinną, w której, jak w zwierciadle odbija się wizerunek jego duszy, kształtowanie się kultury i zapowiedź dalszego rozwoju.

Zechciejmy tylko uznać to i trudu sobie nieco zadać, a z łatwością pokonamy brzydkie nałogi, wyplenimy rażące chwasty językowe, dotąd, niestety, przez prasę naszą szczepione i hodowane. Zechciejmy tylko chcieć!

* * *

Pismo polskie spełniać ma funkcyę wychowawcy społecznego, który uczy i karci, gani lub chwali, informuje i objaśnia, tworzy opinię, rzuca inicyatywę — i przeprowadza ją. Gazeta polska ma być naszemu wychodźcy bratem i towarzyszem, wesołym kolegą i ojcem surowym i nauczycielem serdecznym. Z tego wychodząc założenia, pismu polskiemu nie wolno silić się na naśladownictwo dziennika amerykańskiego, który daje swemu czytelnikowi 24 stron materyału informacyjnego w stylu senzacyjno-reporterskim. Każda rzecz, każdy drobiazg musi być oświetlony dokładnie, objaśniony w treści ustępu danego, lub osobno np. ważniejsze kwestye polityczne lub społeczne w tzw. dziale redakcyjnym.

Wypływa z tego wskazówka dalsza, a mianowicie owe ploteczki z całego świata, ów materyał informacyjny, w formie notatek telegraficznych — zrównoważony być winien materyałem pouczającym, czyli oprócz tzw. "wiadomości", pomieszczać należy szereg artykułów treści poważnej, opisowej, z dziedzin najrozmaitszych. Pismo, które wzoruje się na brukowej prasie amerykańskiej i stara się dać swym czytelnikom jak najwięcej wiadomości, choćby błahych, często odgrzewanych, zgoła swego zadania nie pojmuje, aczkolwiek schlebiając wulgarnym gustom, nie naraża się na niepowodzenia finansowe.

Posłuchajmy, co mówi o takiej plotkującej prasie informacyjnej T. Jeske-Choiński, w lwowskiej "Kronice Powszechnej":

"Tej jejmości [prasie plotkarsko-informacyjnej], która przeszedłszy w ostatniej chwili w znacznej części w ręce reporterów, stała się oryginalną przekupką, paplącą dla samego paplania, tej handlarce, goniącej za prenumeratą, nie idzie wcale o jakieś prawdy, zasady, przekonania, lecz po prostu o szybką obsługę abonentów, płacących za wiadomość brzęczącą monetą. Byle "wiadomość" była nową, nieznaną, a jeszcze lepiej "sensacyjną", pochwyci ją ona i wydrukuje skwapliwie, nie troszcząc się wcale o jej doniosłość ujemną lub dodatnią.

"Cóż wydawcę takiego pisma, najczęściej pospolitego kupca, obchodzi dobro kraju, spokój lub niepokój bliźnich. Jego ewangielią jest książka buchalteryjna, Bogiem — pieniądz, celem — majątek. Gdy "wiadomością zdobędzie jednego prenumeratora więcej, dokonał, co zamierzał.

"Ogłupienie i demoralizacyę "tłumu" zapisze kiedyś historyk na rachunek prasy brukowej, poczytniejszej, niestety od poważnego i uczciwego czasopiśmiennictwa. Tysiące błędów, głupstw i przewrotności przeszło tą drogą do nieświadomych, przeciętni bowiem dziennikarze, nie mając sami dokładnego wyobrażenia o tem, co publiczności podają, nie mogą oczywiście dobrze objaśnić. Wiadomo każdemu rzetelnemu pracownikowi, ile lat trzeba poświęcić, ile trudów ponieść, aby dojść choć w jednym kierunku do pewności ręki i oka".

W tych słowach kilku, nawet mimowolnie wiele słusznych zarzutów uczyniono prasie naszej, która w poważnej części sili się na naśladownictwo prasy informacyjnej, amerykańskiej, a nie mogąc jej sprostać pod względnem różnorodności i szybko-

ści — stara się choć objętością dorównać. Wyniki stąd bardzo smutne, bo tygodniowe pismo nie może z natury rzeczy zajmować się rozmaitemi drobiazgami, bez ośmieszenia się, lub podawać takie wiadomości, które mają charakter wybitnie lokalny, z czem niewiele pism naszych się liczy, starając się dać jak najwięcej "ploteczek", bez uwzględnienia ich jakości i doboru.

Prasa zaś nasza na drogę tę wchodzić nie powinna! Pismo bowiem polskie w Ameryce liczyć się musi z obowiązkiem zasadniczym, by dać swemu czytelnikowi jak najwięcej nauki, jak najwięcej pożytecznych wiadomości,, a nie tylko chwilowego zajęcia i rozrywki. Nie wolno też pełzać, zgodnie z wulgarnemi upodobaniami plebu, lecz porywać go w górę, oświecać, uszlachetniać, uczyć myśleć, robić zeń ludzi, świadomych swych praw człowieczych, dążeń i ideałów.

Prasę naszą, polską w Ameryce napiętnowano i całkiem słusznie, mianem "nożyczkowej". Rozejrzawszy się bowiem szerzej, spostrzeżemy zaledwie 20 pism, na siedemdziesiąt, szczycących się artykułami wstępnymi, oryginalnymi, lub prowadzące działy redakcyjne, inne po za wiadomościami, tłumaczonemi i wycinanemi, zapełniają swe szpalty powieścidłami i wycinkami a la "rozmaitości" z pism polskich, europejskich, częstokroć nawet bez uwzględnienia ich treści!

W niektórych wypadkach dochodzi do takiego absurdu, że 12 stronnicowa gazeta tyg. daje 9 szpalt "wiadomości z ojczyzny" i "ze świata", 6 szpalt drobiazgów lokalnych — a resztę miejsca wypełniają wycinki i ogłoszenia. A wypadki takie nie są wcale rzadkością! Biorąc takie pismo do ręki, trudno domyśleć się, że wydawane jest w Ameryce, bo ani o Polakach w Ameryce, ani o niej samej nie ma tam zgoła żadnych informacyi. A ten brak informowania poglądowego o stosunkach amerykańskich jest prawie powszechnym błędem naszym. Dziennikarze nasi chętnie tłumaczą z pism angielskich opisy senzacyjnych morderstw lub innych pieprzności brukowych, zaś pomijają rzecz zasadniczą: owo właściwe informowanie czytelników o stosunkach amerykańskich, uczenie ich, że Ameryka nie jest tą, jaką była wtedy, gdy Kościuszko pod buzdyganem Washingtona o wolność jej bojował, że jej postęp i rozwój biegnie w kierunku jedynie komercyalnym, że wyzwoliwszy się z pod jarzma angielskiego dostała się w gorszą niewolę trustów, że przekupstwo publiczne jest tu większe niż w Rosyi itd. O tem wszystkiem zdaje się prasa nasza nie wiedzieć. A to jest błąd wielki. Przedewszystkiem emigrant polski nie wie, jak

sobie poczynać w tym "kraju wolności", powtóre, biorąc rzeczy powierzchownie, tombak uważając za złoto, ulega amerykańskiemu materyalizmowi, na każdym kroku płacąc frycowe, często zaś zdrowiem, czcią i życiem przepłacając praktyczną naukę. Ponadto i prasa nasza w kraju wytwarza opinię wręcz przeciwną istocie rzeczy, pod wpływem czego wiele już kroków zrobiono fałszywych. Zajęcie się tedy temi sprawami polecilibyśmy jak najgorętsze, tembardziej, że w tym kierunku nie brak środków pomocniczych, potrzeba tylko dobrej woli, a tej chyba zabraknąć nie powinno.

* * *

W dziedzinie tej podkreślić pragnęlibyśmy jeszcze kwestyę drugą, a mianowicie plastycznego obrazowania życia naszego wychodźtwa, które dotąd tak było karykaturalne, że zaiste podziwiać trzeba bezkrytycyzm naszych czytelników; a rzecz całą obliczano na łowienie prenumeratorów... O życiu Polaków w Ameryce zwykło bowiem przeciętne pismo nasze informować w rubryce "Z osad polskich", podając w niej, wzajemnie wycinane "kawałki", czerpane z kroniki sądowej i pogotowia ratunkowego. Wszelkie zaś inne objawy przemilcza się, prócz sejmów i zjazdów, opisywanych w formie panegiryków oraz rozmaitych notatek osobistych, beznadziejnie płaskich. Trzebaby jednak pomyśleć nad tem, by pisma nasze były łącznikiem istotnym polskiego wychodźtwa w jego łonie i z Krajem ojczystym. Trzeba by wprowadzić w życie pewną zmianę w tym kierunku, pewną reformę. Niechby Polacy ze Wschodu wiedzieli o pracy i postępie Polaków na Zachodzie i naodwrót, niechby i prasa krajowa mogła się czegoś o nas z pism naszych dowiedzieć.

Lat temu przeszło trzy podnieśliśmy myśl założenia Towarzystwa Polskiego Biura Prasowego*), a wówczas odpowiedziano nam, że powstanie takiego Biura jest wskazanem, ale dla zrealizowania tego projektu trzebaby uprzednio doprowadzić do skutku skupienie polskich pracowników pióra w Ameryce**). Dziś tedy, gdy skupienie to od miesięcy kilku stało się faktem, uważając zjazd nasz dziennikarski za najodpowiedniejsze forum, do załatwienia tej sprawy, myśl tę rzucamy po raz wtóry, wierząc, że po wyczerpującej dyskusyi, znajdą się środki do zrealizowania jej. Biuro nasze, prasowe służyłoby wszystkim pismom, doń należącym, podobnie jak agencye pra-

*) W przez się redagowanym "Czasie" brooklyńskim w marcu 1909.
**) W "Dzienniku Związkowym" i innych z marca 1909 r.

sowe europejskie lub American recte New York Associated Press, dostarczając materyału informacyjnego z życia Polaków w Ameryce, na razie, z czasem możnaby mu powierzyć obronę imienia polskiego przed amerykańskimi bandytami dziennikarskimi, a nawet uzyskiwać za jego pośrednictwem szybsze i dokładniejsze informacye z Kraju ojczystego — łącząc z niem jednocześnie sprawy administracyjne naszego zrzeszenia, wysyłając przez nie artykuły okrężne, budząc opinię na wypadek jakiego ogólnego niebezpieczeństwa, jak nieustannie się zwiększającej dążności do zamknięcia granic Ameryki, amerykanizowania przybyszów, krzywdzenia ich na polu praw narodowych np. przez biuro cenzusowe i w innych kwestyach.

* * *

Równorzędnie z dążeniem wprowadzenia reform w kierunkach wyżej określonych, podjęte być muszą starania, zmierzające do dźwignięcia moralności naszej prasy, która baczyć musi na to, skąd czerpie swe dochody, by nie zejść na błędne drogi, w myśl maksymy, dopuszczającej posługiwanie się wszelkimi środkami, byle celu dopiąć. Wyrażając się jaśniej, sądzimy, że pisma nasze baczyć winny na zachowanie harmonii między duchem artykułów redakcyjnych, a treścią działu ogłoszeniowego. Harmonia ta nie powinna być wymuszoną, lecz przeciwnie: treść ogłoszeń podporządkowaną być winna uczciwej tendencyi pisma. Rozdźwięk ten bowiem uwydatnia się tak jaskrawo, że mówiąc o postulatach naszej prasy, nie można go przemilczeć. W związku z tą sprawą po raz trzeci, w ciągu niniejszego referatu podkreślamy bezkrytycyzm kół naszych czytelników, który mści się na nich, nie tylko wypaczaniem dusz i poglądów, lecz stratami finansowemi, na jakie narażane bywają przez rozmaitych oszustów, wspomaganych przez pisma polskie, pozwalające im ogłaszać się na swych szpaltach. Typowym przykładem nieuczciwych inseratów, popularnych niestety na łamach pism naszych, to ogłoszenie "Instytutu Medycznego Dra Collinsa" z New Yorku, niedawno zamkniętego przez władze Stanów Zjednoczonych. O oszustwach tej jaskini medycznej możnaby spisać tomy. Leczono tam kolorową wodą, udzielając porady lekarskiej drogą listowną. A każdy list, każda flaszeczka kolorowej medycyny nie była tańszą jak 5 dol. O rozmiarach tego oszustwa dowodnie świadczy fakt, że książka adresowa tegoż przedsiębiorstwa liczyła kilkadziesiąt tysięcy nazwisk klientów, głównie Polaków, Słowaków i Litwinów, a przy kasyerce, w chwili aresztowania, znaleziono 17,000 dol. — w gotówce! A instytutów takich jest mnóstwo np.

"Peoples Medical Institute", który dawniej operował w Newarku, N. J., a obecnie w okolicy Scranton, Pa. Tu znowu leczono elektryką, pobierając za dwa lub trzy seansy po 50 dol.

Pisma nasze nie powinny w tego rodzaju oszustwach pośredniczyć, wprost pomagać żydowsko-amerykańskim "szwindlerom" lud nasz obdzierać, rujnować go fizycznie i materyalnie. A do tej kategoryi należą również ogłoszenia patentowanych lekarstw, które wprawdzie nie szkodzą bezpośrednio, w każdym jednak razie nie pomagają, bo trudno przecież pomyśleć, by jeden i ten sam płyn lub maść mogły leczyć skutecznie 65 najróżnorodniejszych chorób.

To samo dałoby się powiedzieć, z pewnemi zmianami o ogłoszeniach z dziedziny interesu realnościowego i innych, a rzecz najważniejsza: Wzgląd na dobrze płatne inseraty zacieśnia rozmach pisma, obniża jego lot, demoralizuje zacne — z początku —tendencye. Pismo takie nie może uczciwie zadań swych spełniać, nie jest w stanie bronić interesów ludu, w ciągłej będąc obawie, by nie nastąpiła kolizya z tą lub ową firmą, ogłaszającą się. Ergo, pismo takie stacza się w bagno prostytucyi, tem szkodliwszej, że nietylko samo grzęźnie w kale, lecz wpływ deprawujący wywiera na swych czytelników.

* * *

Mówiąc o dźwignięciu wpływu moralnego prasy naszej, w życie wprowadzić należy zasadę wykluczenia z łam pism naszych brudnej polemiki osobistej, wzajemnego spychania się, szkodzenia sobie wzajem tajnego lub jawnego — polemizując nie z jednostką, jako taką, z jej życiem prywatnem, lecz z zasadą, programem lub kierunkiem, których dana jednostka jest przedstawicielką, lub z działalnością jej publiczną, względnie szkodzeniem sprawie ogólnej. Nazywając rzeczy po imieniu, określić by trzeba "polemikę" przez większość pism naszych uprawianą, jako: **bandytyzm**. A pism takich mamy niestety mnogo. Jak horda Hunów, szaleją po przez życie naszego wychodźtwa, trując jadem zgnilizny szerokie koła naszego wychodźczego ludu, w którym tkwi naturalny pociąg do senzacyi, rozmiłowanie w skandalach i skandalikach. Bandytyzm ten szerzy się w sposób zastraszający, wstrętny i bezczelny, jakby pewnikiem było niezbitym, że społeczeństwo nie jest w stanie z pod terroru tego się wyzwolić, że niema w sobie ani krzty siły, że opanowała je apatya, zupełny indeferentyzm na dobro i zło. Usiłowania zaś naszego zrzeszenia, małe dotąd dały rezultaty. W szeregu pism tych spotykamy nawet i oficyalne organy rozmaitych organizacyi, co zwłaszcza objawem jest

przeraźliwie smutnym. I dzieje się to w formie tak skandalicznej, że przekracza się |w polemice| wszelkie granice kodeksu towarzyskiego i moralnego. Taki bandyta dziennikarski, w obłoconych butach, włazi do sanctuarium prywatnego życia swego mimowolnego przeciwnika, w brudną walkę wciąga nawet jego żonę i dzieci. Byle plotka, gdzie usłyszana, wystarczy mu, by oczernić swego przeciwnika publicznie, odbierając mu dobre imię, zaprzeczając czelnie nawet nazwiska i narodowości, grzebiąc na zawsze.... A masy czytają. I nie tylko czytają, lecz lgną do tego błotka, trują się niem, nikczemnieją. Jest to objaw zupełnie ludzki, bo człowiek, nie powściągany cuglami kultury i ogłady, skłonny jest bardziej do złego, niż dobrego, chętnie też zbacza na drogę złą, wolną, szeroką, nie ograniczoną przepisami i względami uczciwego współżycia. Czyż na to nie ma rady? Jest! W nas samych środków szukać trzeba. Solidarne zwalczanie bandytyzmu, oczyszczanie naszej gontyny wspólnemi siły, bojowanie świadome, nieustępliwe, musi owoce wydać, musi doprowadzić do dźwignięcia poczucia moralności publicznej.

* * *

Aby jednak prasa nasza zadania swe spełniać mogła rzetelnie, konieczną jest reforma jej samej, w łonie jej organizacyi. Tak długo bowiem wszelkie wysiłki jednostek iść będą na marne, dopóki nie zostanie ustalony stosunek dziennikarzy do ogółu, który w pracownikach pióra widzieć winien swych przewodników oddanych i przyjaciół serdecznych, a nie najemników, nie rajfurów, częstokroć wstecznych poglądów. Dziś bowiem pracę dziennikarską uważa się za robotę od sztuki, rzemiosło, do którego nie trzeba ani zamiłowania, ani wyszkolenia, ani nawet ogólnego wykształcenia, tylko nieco sprytu i łatwości zmiany przekonań, względnie ich braku. Ogół nasz, włączając weń organizacye, mające swe własne pisma i prywatne spółki wydawnicze, nie traktuje dziennikarstwa jako zawodu społecznego, lecz jako zajęcie dorywcze, któremu byle spryciarz podoła. Stąd owo lekceważenie obowiązków dziennikarskich, cierpkie rodzące owoce. Ludzie zgoła nie liczą się z tem, że chcąc uczciwie na zagonie dziennikarskiem pracować, trzeba pracę tę ukochać, przywiązać się do niej wszystkiemi strunami serca i duszy, mieć silną wiarę w pewne, stałe dogmaty społeczno-narodowe i w myśl ich działać — a nie bezwolnie dawać się kierować względami natury ubocznej. Nic też dziwnego, że zaledwie 20 pism naszych można za takie u-

ważać; reszta, to publikacye peryodyczne, do prasy jednak nie należące.

* * *

I oto wdzięczne otwiera się pole dla zorganizowanych dziennikarzy: plewić chwasty, co nam rolę głuszą. Zadanie to nie łatwe w stosunku do pism, będących własnością prywatną, uważanych w przeważnej części za środek reklamy przez wydawcę, właściciela drukarni, "banku" lub składu butów. W takim wypadku zdać się trzeba na opinię publiczną, którą czasby obudzić! O wiele zaś łatwiejszą jest akcya w stosunku do urzędowych organów poszczególnych organizacyi, będących ich właścicielami. Kierownictwo pism tych w połowie spoczywa w ręku ludzi odpowiednich, a w połowie... nieudolnych, lub szkodliwych, a mimo to powierza się im ważny obowiązek reprezentacyi na zewnątrz i obrony. I choć obowiązki redaktora organu danej organizacyi zarówno prawie ważne są jak prezesa tejże, a dziesięć razy donioślejsze, niż któregokolwiek "urzędnika", redaktora traktuje się jako najmitę, wszędzie, a nawet tam, gdzie zwykle obieranym był na zjazdach, objawia się tendencya zmiany tego na gorsze. Takie mianowanie redaktora przez zarząd, obliczone jest na uzależnienie go odeń i jego kaprysów, zaciśnięcie jego wpływów do minimum, byle dogodzić swej ambicyi, lub interesom osobistym. Jest to znakomity system — grozą utraty chleba — łamania moralnego człowieka, upadlania, przetwarzania złotostrunej harfy na chrypiący gramofon, który zdolen jest oddać tę tylko piosenkę, którą się go naśpiewało. Przykładów w życiu, mnóstwo, a wskaźnik stąd na przyszłość, że prasa uświadomiona powinna zwalczać te szkodliwe zapatrywania ze wszystkich sił, wpływając na członków danej organizacyi, by nie dopuszczali do obsadzania tych odpowiedzialnych stanowisk maryonetkami swych zarządów, a często lokajami. Zgubny bowiem wpływ wywiera to na bieg rozwoju organizacyi i szerokie koła poza niemi. Redaktor winien być członkiem zarządu każdej organizacyi, wydającej swe pismo, obieranym na walnych zjazdach, a nie naznaczanym najmitą. To, co się głosi, trzeba kochać, i w to wierzyć. A miłości ani wiary za pieniądze dostać nie można; co najwyżej szkło czeskie frazesów, których złudnym blaskiem połyskują szpalty takich pism. To też organizacye nasze ani w drobnej części nie spełniają swych zadań, nie tężeją, nie rozwijają się moralnie, jedynie liczebnie, nie są w stanie bronić stowarzyszonych przed utratą narodowego charakteru, nie mając rzetelnego przewodnictwa i duchowego łącznika.

Nim zaś rozpoczniemy tę akcyę, sami wprzód zmienić się musimy, sami siebie zacząć szanować, z godnością do siebie się odnosić. Oto niedawno dwa pisma |rzekomo najpoważniejsze|, nie mogąc w polemice z innemi dwoma pismami zwyciężyć drogą argumentacyi uczciwej, zwróciły się z apelem wcale nie dwuznacznie domagając się od wydawnictw usunięcia swoich oponentów, dziennikarzy zdolnych i w zawodzie swym wyszkolonych. Pisma te za wybryk ten skarcone zostały dostatecznie, tu zaś fakt ten podajemy jako illustracyę dyzorganizacyi i nieuświadomienia, w łonie nas samych. Ogół ma jeszcze bardzziej spaczone w tym względzie pojęcia, a czas by je zmienił, boć to XX. wiek!

* * *

Na tle tem jasno i plastycznie występuje potrzeba zorganizowania silnego naszych dziennikarzy. Że jest to sprawa istotnie ważna i przez wszystkich uznana, dowodem kilkurazowe usiłowania zawiązania takiego zrzeszenia, którego wyrazem Tow. Lit. i Dz. Pol. w Am. Półn. O losach jego dalszych, rozwoju i zasadach, wypowiedział się pierwszy nasz Zjazd w obradach nad konstytucyą. Z góry zaś było można przewidzieć, że uchwały zgodne będą z dotychczasowemi zasadami, szerzej rozwiniętemi w referacie niniejszym, ergo pod sztandarem naszym, już zatkniętym na zagrożonych okopach wychodźczych św. Trójcy*) wszyscy polscy pracownicy pióra zrzeszyć się winni, bo tylko siłą wspólną, zorganizowaną, celu dopiąć zdołamy. I jak dziś unijny znaczek drukarski zdobi szpalty wielu pism naszych, na dowód, że nie opierają się na wyzysku pracowników drukarskich, że sympatyzują i popierają czynnie walkę Pracy przeciw wyzyskowi — tak i my, pracownicy pióra, zaciśnijmy unijne dłonie, zorganizujmy się silnie do walki z ciemnotą, upośledzeniem i wyzyskiem, i my swój znaczek solidarności zawodowej ustanówmy — który z czasem wszystkich zjednoczy — w pracy solidarnej, a rzetelnej i chlubnej — już zrzeszonych i na uboczu stojących, obojętnych, a nawet przeciwnych.

* * *

Reasumując tedy wywody poprzednie, chyba wszyscy zgodzimy się, że gdy poruszone kwestye potrafimy zrealizować, zdołamy podnieść poziom naszego dziennikarstwa, pchnąć je na nowe tory, stworzyć zeń istotną dźwignię naszego stanu posiadania — jedyną. Ani organizacye kościelne, ani tzw. narodowe nie działają w tym kierunku dość intenzywnie, za cel sobie jedyny służąc, a i im samym potrzebną jest pomoc,

*) Porównanie wedle "Nieboskiej komedyi" Krasińskiego.

kontrola, pewne kierownictwo i sukurs opinii, którą prasa nasza ma stworzyć, gdy jej nie ma, lub na tory właściwe skierować, gdy na manowce zbacza.

Wykazywanie potęgi i siły suggestywnej prasy, to rzecz zgoła zbyteczna, bo pewnikiem jest to niezbitym, jak i przypuszczenie pewnego historyka dziennikarstwa niemieckiego, że dziś nawet św. Piotr bez pomocy swego pisma na próżno sieci by zarzucał. Niechżeż ta siła żywiołu, ta potęga bezmierna nie staje się służką brudnego interesu, niech nie będzie wprzęganą do rydwanu poziomych celów, niech nie staje się narzędziem w ręku gasicieli porywów płomiennych, pomniejszycieli ludzkiego ducha, ale apostolskie na się weźmie święcenia w głoszeniu ewangielii Prawdy, Ideału i Postępu, niech głosem swym obala jerychońskie mury ciasnoty pojęć i uczuć, ziarna niech sieje zdrowe i zacne, niech promotorem będzie dążenia naprzód, i choć per aspera, niech wiedzie nieustępliwie ad astra!

A choć obowiązki rozliczne, środki wielorakie, drogi rozmaite, niech jednak zbiegają się w punkcie jednym, niech prowadzą do celu jednego, a nim, Polska, tak wielka i święta, że wszystkie nasze organizacye, związki, zjednoczenia, wszelkie pisma i pisemka służyć Jej mają wiernie i ochotnie, z Niej życie biorąc i w dani składając.

I nie budujmy tu drugiej Polski, ani nie nadużywajmy Jej imienia nadaremno, ani nie przykrawywajmy na miarę krawca, za płaszczyk do swych dążeń poziomych Ją mając! Odrzućmy precz ciasny patryotyzm dzielnicowy lub organizacyjny, a cokolwiek czyniąc, czyńmy. na celu mając: łączność z Krajem ojczystym i jego niepodległość!

KS. DR. W. KWIATKOWSKI, C. R.

NASZE WYŻSZE SZKOŁY.

1. Szkoły wyższe amerykańskie w porównaniu z europejskiemi.

Zbytecznem zgoła wydaje mi się dowodzić potrzeby szkół wyższych czyli średnich, stanowiących niezbędny łącznik między tak zwanem wykształceniem elementarnem, nabytem w szkółce ludowej lub parafialnej, a wykształceniem uniwersyteckiem. Każdy bowiem człowiek wykształcony i choć cokolwiek obeznany ze systemem szkolnym, musi przyznać racyę bytu instytucyom, zapełniającym lukę między wykształceniem elementarnem a akademicznem. Chodzi głównie o to, co właściwie należy nazwać wychowaniem średniem w rozróżnieniu od elementarnego i uniwersyteckiego. O wiele łatwiej jest ustalić granice wykształcenia ogólne, jak oznaczyć jego przeciąg i charakter pośredni. To też każdy łatwo pojmie co jest wykształcenie elementarne zasadzające się na podaniu uczniowi najpierwszych początków nauki czytania, pisania i rachowania, a co jest wykształcenie uniwersyteckie dające w pewnej poszszczególniej gałęzi nauki fachowej i możliwie wyczerpujące wiadomości. Trudniej zato przychodzi określić naturę i przeciąg wykształcenia pośredniczącego między początkami nauk a ich ukończeniem. Stąd też tak wielka rozmaitość systemów i urządzeń w szkołach średnich, tak różny przeciąg czasu wymagany w rozmaitych krajach na ukończenie tego wykształcenia średniego. W niektórych krajach Europy, jak np. w Niemczech i Austryi jest jedna tylko szkoła średnia, mianowicie gimnazyum obejmujące 8 do 9 klas i tyleż lat nauki. W innych krajach, jak np. we Włoszech i we Francyi istnieją dwie średnie szkoły: właściwe gimnazyum i wyższe od niego lyceum. Gimnazyum zwykle trwa pięć lat, a lyceum trzy lata; wychodzi więc prawie na jedno z gim. niemieckiem.

[Nie bierze się tu pod uwagę rozmaitych instyutów i szkół realnych, przemysłowych i kupieckich, które znów według innego urządzone są planu — mowa jest o szkołach udzielających kursu klasycznego].

Zobaczmy teraz jak tu u nas jest w Ameryce. Panuje tu rzeczywiście chaos i zamieszanie nie do opisania. Brak tu jedno-

litego systemu tak w szkołach rządowych jak i prywatnych. Wogóle poziom nauk w tym kraju jest o wiele niższy niż w Europie, chociaż wykształcenie jest przystępniejsze dla wielkich mas ludności i wszelkich warstw społecznych. Wykształcenie klasyczne jest bardzo zaniedbane i na drugi niemal plan usunięte. W kraju tak przemysłowym i hadlowym jak Ameryka nauki przemysłowe występują na pierwszy plan, a szkoły przemysłowe i handlowe |Business College| zajmują pierwsze miejsce i są zwykle przepełnione uczniami. Publiczne szkoły wyższe tak zwane "High Schools", obejmujące 4 lata nauk, dają klasycznego wykształcenia bardzo mało, a na uniwersytetach dość powierzchownie, nieledwie po macoszemu się te rzeczy traktuje. Wykształcenie szkół wyższych dopełnia się na uniwersytetach w tak zwanym kursie kolegialnym |College Course| który zwykle trwa cztery lata. Szkoły wyznaniowe, zwłaszcza katolickie, mają przedłużony kurs nauk średnich zwykle do 6 lub 7-miu lat i nazywają się Kolegiami |Colleges|, a dzielą się zwyczajnie na t. zw. kurs akademiczny, odpowiadający mniej więcej szkołom wyższym publicznym, i na kurs kolegialny czyli filozoficzny, odpowiadający chociaż nie dorównujący kursowi kolegialnemu po uniwersytetach rządowych i stanowych.

Nauki klasyczne są więcej uwzględnione w kolegiach katolickich, niż w szkołach wyższych rządowych, gdzie znów przeważają nauki handlowe i przemysłowe zastosowane do praktycznego użytku. Tak w szkołach wyższych publicznych jak wyznaniowych prywatnych wielką rolę odgrywa gimnastyka i sport, przeważnie piłkowy |Base-Ball i foot ball|, zajmując przerażająco dużo czasu, do tego stopnia, że w wyborze szkół i nauk bywa nieraz jedynym decydującym czynnikiem. Wobec tak krótkiego przeciągu czasu poświęconego na wykształcenie średnie i przeważającej roli nauk przemysłowych, oraz namiętnie uprawianego sportu, nic dziwnego, że nauki klasyczne w szkołach średnich amerykańskich stoją bardzo nisko.

Jako okoliczność łagodzącą jednak dodać należy to, że szkoły elementarne amerykańskie stoją wogóle na wyższym poziomie niż europejskie, zwłaszcza po większych miastach i wielkich środowiskach życia przemysłowego. W wyższych klasach tutejszych szkół elementarnych udziela się już początków algebry, geometryi, oraz nauk przyrodniczych. Cały kurs nauk szkół elementarnych podzielony jest na 8 stopni |grades| czyli lat, tak że dziecko średnio wyposażone w zdolności umysłowe może co roku przechodzić jeden tylko stopień czyli klasę. Dajmy na to, że dziecko rozpocznie chodzić do

szkoły w 7-mym roku życia, to dopiero w piętnastym ją ukończy i złożywszy pomyślnie egzamin może się przenieść do szkół wyższych, które w ten sposób otrzymują młodzież umysłowo i fizycznie dojrzałą. W gimnazyach zaś europejskich przyjmują uczniów już od 10 roku życia z przygotowaniem nieraz miernem, równającem się elementarnym zasadom sztuki czytania, pisania i rachunków. Z temi wszystkiemi jednak zastrzeżeniami sąd porównawczy obu systemów nauk średnich, amerykańskiego i europejskiego, wypadnie stanowczo na korzyść tego ostatniego.

---

2. Szkoły średnie polskie w Ameryce.

Przechodząc z kolei do szkół wyższych polskich w Ameryce z bólem serca wyznać musimy, że tych szkół jest stosunkowo bardzo mało, przerażająco mało, na tak pokaźną odsetkę ludności tego kraju, którą stanowią Polacy. Szkoły te na palcach policzyć można. Szkoły wyższe polskie istniejące od dłuższego czasu i jako tako się rozwijające są właściwie tylko dwie: Seminaryum Polskie w Detroit założone przez ks. Dąbrowskiego i Kollegium św. Stanisława Kostki w Chicago, założone i prowadzone przez XX. Zmartwychwstańców.

Główna różnica między tymi dwoma zakładami leży w tem, że Seminaryum Polskie w Detroit |obecnie przeniesione do Orchard Lake, Mich.| jest przeznaczone głównie dla uczniów poświęcających się stanowi duchownemu i używa języka polskiego jako wykładowego we wszystkich przedmiotach; Kolegium zaś św. Stanisława Kostki w Chicago przyjmuje uczniów poświęcających się jakiemukolwiek zawodowi lub fachowi i używa języka angielskiego, jako wykładowego we wszystkich przedmiotach oprócz religii i języka polskiego.

W ostatnich latach powstało jeszcze kilka innych wyższych zakładów i szkół polskich, i kilka jest w projekcie, co zdaje się rokować w szkolnictwie naszem polsko-amerykańskiem świetniejszą przyszłość. Te jednak zakłady i szkoły wyższe, które świeżo powstały, nadto jeszcze są młode i słabe, aby je w ścisłą brać rachubę.

Ustrój szkół wyższych czyli Kollegiów polskich w Ameryce jest mniej więcej podobny do innych kolegiów katolickich w kraju, z tą różnicą, że język wykładowy, albo zupełnie albo częściowo tylko |t. j. w polskich przedmiotach| jest polski.

3. Szkoły wyższe polskie i szkoły parafialne.

Mówiąc o szkołach wyższych polskich, nie podobna pominąć milczeniem szkół parafialnych, z których tamte powstały i na których się opierają. Uczniowie bowiem szkół wyższych polskich rekrutują się przeważnie ze szkół parafialnych prowadzonych przez żeńskie zgromadzenia zakonne, a zostających pod nadzorem zarządu parafialnego, względnie proboszczów. Od poziomu i stopnia wyrobienia tych szkół parafialnych zależy także po największej części i poziom naukowy szkół wyższych, których zadaniem jest przeprowadzić ucznia przez pośrednie stopnie i klasy do podwoi gmachów uniwersyteckich. Wiemy dobrze wszyscy, że nie wszystkie szkoły parafialne są sobie równe: niektóre lepsze, niektóre gorsze. Niektóre z nich, bardzo zresztą nieliczne, wzorując się na szkołach elementarnych publicznych, przeprowadzają swych uczniów przez wszystkie 8 stopni z należytem uwzględnieniem nauki religii i języka polskiego, co naukę znacznie utrudnia i obciąża tak nauczyciela jak i ucznia. Większa część szkół parafialnych stoi na jeszcze dosyć niskim poziomie już to z powodu braku zdolnych nauczycieli i nauczycielek, już też z powodu braku funduszów, lub szczupłych rozmiarów danej parafii. Wiele parafii jeszcze zupełnie jest pozbawionych szkół parafialnych. Według ostatniego urzędowego sprawozdania Kościoła katolickiego w Ameryce |Catholic Directory| liczba szkół polskich parafialnych nie wiele przewyższa 300, podczas gdy parafii polskich jest prawie dwa razy tyle.

Geneza czyli powstanie szkół parafialnych jest bardzo zrozumiałe i jasne. Napływ emigracyi ekonomicznej od przeszło 40 lat był tak liczny, że pierwszą potrzebą prostego, roboczego ludu, jaki w tej emigracyi brał udział, był kościół i szkoła. Skoro większa liczba Polaków w jakiej miejscowości się osiedliła, pierwszą myślą tego prostego i pobożnego ludu było, wybudować szkołę i kościół: Kościół dla swej własnej wygody i pożytku, szkołę dla dzieci, aby się nie wynarodowiły i nie zapomniały własnej wiary i języka. Oglądano się więc za księdzem,

a skoro ten się znalazł, zbierano składki i przystępowano natychmiast do budowy kościoła i szkoły, choćby tymczasowej, jeżeli środki były szczupłe i niedostateczne. Wobec ciężkich nieraz warunków i wielkich opłat kościelnych, szkoły te z samej konieczności rzeczy musiały często być liche, niewystarczające i nieodpowiadające swemu zadaniu.

Pomimo tych wielkich początkowych trudności, przyznać należy, że szkoła parafialna polska poczyniła w Stanach Zjednoczonych w ostatnich kilkunastu latach wprost zadziwiające postępy. W niektórych starszych, ludniejszych i zamożniejszych osadach, szkoły polskie parafialne w niczem nie ustępują szkołom publicznym, a w niejednem nawet je przewyższają. Wielka to zasługa nietylko duchowieństwa i kierowniczek tych szkół, sióstr zakonnych, lecz także społeczeństwa polskiego, które nadzwyczajne ponosi koszta i ofiary, aby tylko swój język i religię w całości utrzymać i zostawić je nieskażone w spuściźnie swemu potomstwu. Społeczeństwo polsko-amerykańskie zupełnie dobrowolnie opodatkowało się, aby najdroższych skarbów nie dać sobie wyrwać. Płaci ono podwójny podatek: na rządową szkołę i swoją własną, nie otrzymując żadnego poparcia lub subwencyi od rządu, któremu pracę wychowawczą ogromnie ułatwia i koszta umniejsza. Obliczono, że w całych Stanach Zjednoczonych katolicy utrzymując własne szkoły parafialne, zaoszczędzają rządowi przeszło 100 milionów dolarów rocznie, z czego piąta część przypada na Polaków, licząc ich na trzy miliony w tym kraju. Niesłuszność i nieuczciwość takiego postępowania ze strony rządu amerykańskiego jest aż nadto widoczna, aby jej chcieć jeszcze dowodzić.

---

4. Jakiemi być powinny szkoły wyższe polskie?

Jeżeli taki jest stan i podwaliny naszych wyższych zakładów naukowych, jakeśmy to powyżej w ogólny sposób starali się wykazać, pozostaje nam jeszcze zastanowić się nad tem, jakie powinny być nasze średnie zakłady wychowawcze w tym kraju. Przedmiot to bardzo ważny, bo stanowiący niemal o naszej całej przyszłości. W szkołach średnich bowiem urabia się powoli i kształci charakter młodzieńca, dojrzewa jego umysł i ciało, pogłębia się wiedza i znajomość życia: słowem, jest to dla młodzieńca epoka przełomowa stanowiąca o jego przyszłym losie. W tym też okresie ujawnia się poszczególne powołanie do pewnego stanu, zawodu i życia, do czego podstawowe zasady niemal wszystkich nauk pobieranych dają najlepszą sposobność. Umysł i serce młodzieńcze w tym wieku są nader wrażliwe i łatwo dadzą się nagiąć do dobrego jak i do złego. Dla tych, i tym podobnych względów powinniśmy zwracać baczną uwagę na nasze szkoły wyższe.

Przedewszystkiem życzyć sobie wypada, aby tych szkół wyższych było coraz to więcej, aby stare zakłady coraz to więcej się podnosiły i rozwijały, a nowe powstawały. W każdej liczniejszej kolonii polskiej powinna być jedna lub kilka szkół wyższych polskich. Mniejsza o to, przez kogo te szkoły będą prowadzone: czy przez osoby duchowne, czy przez osoby świeckie zostające np. pod nadzorem jednej z potężnych organizacyi naszych.

Co się tyczy materyalnych podstaw takich szkół wyższych, dotychczas przeważnie duchowieństwo dawało inicyatywę i poparcie, posiadając więcej wpływu i rozporządzając większymi środkami. Organizacye nasze powinny także przyłożyć ręki do dzieła i zakładać szkoły wyższe, które przy ekonomicznem i ściśle fachowem prowadzeniu tychże przez zdolnych i uczciwych zarządców, powinny same się utrzymywać z opłaty uczniów i innych pobocznych dochodów, jak to się dzieje w szkołach wyższych amerykańskich. Jeżeli dotychczas niektóre wyższe zakłady naukowe jak np. Kollegium św. Stanisława Kostki w

Chicago, nie były w stanie same się utrzymać, lecz trzeba było rok rocznie dopłacać, pochodziło to tylko z niedostatecznej liczby uczniów.

Wskazaną także jest rzeczą, aby wyższe zakłady naukowe i kolegia nie stawiać we wielkich miastach lecz poza miastami, w otoczeniu pięknej przyrody działającej tak korzystnie na młody umysł i serce. Samotność, mędrców mistrzyni! — powiedział Mickiewicz. Korzyść stąd podwójna: moralna i fizyczna dla ucznia, który tym sposobem usuwa się z pod zgubnego wpływu złych towarzystw i unika zepsucia wielkich miast; materyalna dla zakładu, który łatwiej może się utrzymać gdyż życie w miastach zawsze jest droższe niż na wsi, lub na farmie.

Co się tyczy programu nauk zaprowadzonego w szkołach wyższych polskich, wolelibyśmy, aby był on zbliżony do programu szkół średnich europejskich, z należytem uwzględnieniem przedmiotów praktycznych, przemysłowych, jak np. kursu kupieckiego, oraz, o ile to możliwem, z pielęgnowaniem kultu ciała, gimnastyki i sportu, byleby to wszystko nie przekraczało właściwych granic i nie było z uszczerbkiem dla nauk klasycznych. Wolelibyśmy, aby gimnastyka i kult ciała przybrał formę ćwiczeń sokolich, a w szkołach wyższych polskich zakładały się osobne oddziały sokołów i sokolic, któreby mogły nawet należeć do istniejących już organizacyi sokolstwa. Ćwiczenia gimnastyczne nabrałyby w ten sposób pewnego zabarwienie patryotycznego i sposobiłyby młodzież naszą do formowania silnych kadrów wojskowych w przyszłości.

Co się tyczy języka wykładowego, zdaje nam się najodpowiedniejszy system zaprowadzony w Kollegium św. Stanisława Kostki, gdzie dla celów praktycznych język wykładowy i podręczniki są angielskie, a tylko polskie przedmioty i religia wykładane są w języku polskim. Cel takiego urządzenia jest aż nadto widoczny: chodzi o to, aby młodzieży naszej zapewnić na przyszłość jak najlepsze i najwyższe stanowiska w tym kraju, jeżeli wogóle tu mamy na stałe pozostać, a nie, jak inniby chcieli, wrócić do ojczyzny. Pobyt i praca na wyższych stanowiskach w tutejszym kraju bez dokładnej znajomości języka angielskiego jest niemożliwa.

Profesorowie wyższych zakładów polskich |z wyjątkiem chyba profesora języka angielskiego| powinni być tylko Polacy, posiadający dokładną znajomość polskiego i angielskiego języka, obeznani z terminologią polską i angielską danego

przedmiotu, który wykładają, aby mogli uczniom objaśniać znaczenie trudniejszych słów i terminów w obu językach..

Profesorowie powinni być przejęci duchem narodowym polskim, aby mogli tego ducha przelać na uczniów i wpływać na nich odpowiednio czy to na lekcyi, czy poza lekcyami w pogawędkach i stosunkach osobistych, chroniąc te młode latorośle od grożącego im wynarodowienia na obczyźnie. Te i inne ostrożności, zdaje nam się, że wystarczą do utrzymania i pielęgnowania ducha polskiego w uczniach.

Nauka religii powinna koniecznie być udzielana w wyższych szkołach polskich, bo bez niej trudno się oprzeć zniepra wieniu uczuć i obyczajów, jak otwarcie wyznają nawet niektórzy wielbiciele szkół publicznych, opartych, jak wiadomo, na bezwyznaniowości. Szczególniejszy nacisk powinno się kłaść na etykę czyli moralność chrześciańską, będącą potężną dźwignią i pomocą w wyrabianiu charakterów i nabywaniu stałych zasad i przekonań. Pomimo wielu różnic dogmatycznych między wyznaniami chrześciańskimi etyka Chrystusowa jest rozpowszechniona po całym świecie i spotyka się z uznaniem nawet nowoczesnych pogan.

Wychowanie, jeżeli ma być całkowite, nie powinno ograniczać się li tylko na podawaniu jak największego zapasu wiadomości ze wszystkich możliwych dziedzin wiedzy ludzkiej, lecz powinno przedewszystkiem zdążać do wyrobienia w młodzieńcu hartu duszy, powinno kształcić i doskonalić wszystkie jego władze duszy i ciała, nietylko umysł i pamięć, lecz serce, wolę i zmysły, aby uczeń był odpornym na wszelkie zmiany i koleje losu, aby nie upadł na drodze życia z rozpaczy lub zwątpienia. Wychowanie powinno elewowi dać skuteczną broń do ręki, którąby mógł wywalczyć swoją własną przyszłość i przysłużyć się swej ojczyźnie. Szkoła tegoczesna powinna szczególnie walczyć przeciwko sceptycyzmowi i przesytowi, który tak wcześnie zaraża i zabija młodociane serca, a wyrabiać natomiast pewność samego siebie, pewną pogodę i słoneczność w życiu młodzieńca, bez czego najwznioślejsze ideały nieraz więdną i giną.

Nie potrzeba chyba dodawać, że w szkołach średnich polskich w Ameryce powinno się szczególny kłaść nacisk na naukę języka, literatury i historyi polskiej. Do tych przedmiotów powinno się wybierać odpowiednio wykwalifikowanych profesorów, traktujących swój przedmiot nietylko ze znawstwem, lecz i z zamiłowaniem. Każda wyższa szkoła polska powinna

być zaopatrzona w doborową bibliotekę, zawierającą najcelniejsze dzieła polskich i angielskich autorów.

Gdyby uczniowie lub nauczyciele i zarządcy wyższych zakładów polskich mieli chęć skarżenia się na nawał pracy i obowiązków, na wielką liczbę przedmiotów i wynikające stąd obciążenie tak dla uczniów jak i profesorów, niech pamiętają, że należą do wybranego narodu polskiego, który ma spełnić i już spełnia wielkie zadanie misyjne wobec innych narodów, jak nas o tem pouczają nasi wieszczowie i prorocy narodowi. Do należytego spełnienia tego posłannictwa potrzeba odpowiednich sił i odpowiedniego przygotowania, co tylko przez wytężoną pracę osiągnąć można. Pamiętajmy, że być Polakiem, to żyć bosko i szlachetnie, jak mówi Zygmunt Krasiński. Słowacki zaś mówi, że Polska, to na ból skała — i stawia jako najwyższe prawo narodu: ofiarę. Zaiste bez ofiary i poświęcenia nie można nic zdziałać. Znajdujemy się w tak wyjątkowych i ciężkich warunkach, że każdy z nas powinien z siebie uczynić ofiarę dla dobra całego narodu i ludzkości. Ideałem polskiego ucznia powinien być filaret wileński z czasów Mickiewiczowskich przesiąknięty na wskroś hasłami wygłoszonemi w Odzie do młodości.

Gdy liczba szkół wyższych polskich w tym kraju wzrośnie, powstaną zczasem także uniwersytety polskie. tak jak ze szkół parafialnych wyłoniły się szkoły wyższe. Myśl stworzenia polskiego uniwersytetu została już rzucona w naszem społeczeństwie i powoli kiełkuje, nabiera siły i znaczenia, aż kiedyś się ziści. Pracujmy nad podniesieniem i udoskonaleniem naszych szkół wyższych, aby tę błogą chwilę przyspieszyć, abyśmy na tej ziemi obcej mieli bodaj choć jedno ognisko światła i nauki polskiej, rzucające na okół swe ożywcze promienie i ogrzewające skrzepłe serca nasze.

W. RYLSKI.

W sprawie ujednostajnienia i podniesienia polskich szkół parafialnych w Ameryce.

Nie mam zamiaru bezwzględnego krytykowania obecnego ustroju szkół parafialnych lub przeczenia, jakoby społeczeństwo wychodźcze polskie nie miało im wiele do zawdzięczenia. Byłoby to z mej strony sfałszowaniem rzeczywistego faktu i słusznego sądu społeczeństwa boć fakt i opinia stwierdza, że szkoła parafialna w Ameryce zaraz od pierwszej chwili skierowania się emigracyi polskiej do Ameryki Półn., wzięła na siebie zadanie nieustannej misyi oświatowej i narodowej w szeregach naszego, wciąż napływającego wychodźtwa. Bez szkoły parafialnej amerykanizacya wchłonęłaby niepowrotnie cały żywioł robotniczy polski. W historyi nietylko emigracyi naszej ale historyi całego narodu polskiego, chlubnie będą zapisane zasługi, położone przez szkoły parafialne polskie — gdyż ich to dziełem przeważnie, że emigracya polska w Ameryce pozostała polską i trwa w bratniej i żywej łączności z narodem, w synowskiem przywiązaniu do ojczyzny. Przejdzie też do historyi tęsknota za ojczyzną i miłość dla niej wychodźców, którzy nie szczędząc zachodów i pieniędzy, wznosili szkoły polskie, aby dzieci ich nie zapomniały wiary i mowy ojców i narodowości. Szkoły parafialne uratowały też setki i tysiące dziatwy polskiej dla wiary, mowy i narodowości polskiej.

Ale życie płynie — z każdem pokoleniem, zrodzonem w Ameryce, wzrasta niebezpieczeństwo amerykanizacyi, spada jak bakcyl epidemiczny wprost z atmosfery, to też zadanie szkoły parafialnej jest coraz trudniejsze. Jak we wszystkich krajach tak i w Ameryce szkolnictwo ludowe doskonali się nieustannie i wzbogaca zdobyczami nowożytnej wiedzy i myśli; narody cywilizowane wiedzą bowiem, że od korzeni trzeba wznosić gmach społeczeństwa oświeconego, zdrowego i uzdolnionego do wytwarzania pomyślności własnej i narodu. I my Polacy wiemy o tem — i z bólem patrzymy na przekleństwo niewoli, która nam w zaborze pruskim i rosyjskim odbiera prawo do wykonania świetnego narodowego testamentu Komisyi Edukacyjnej, tej dotąd nieprzestarzałej — dotąd podziwianej i niosącej światłe natchnienie — mistrzyni — w określeniu zadań, celu i systemu szkolnictwa ludowego.

Tutaj na ziemi amerykańskiej wolno nam mieć własne ludowe, parafialne szkoły, do których też wychodztwo polskie posyła krocie dziatwy, by ją wychować w wierze, w mowie i narodowości polskiej. Widzimy jednak, że coraz większe spiętrzają się trudności w spełnianiu misyjnego dzieła naszych szkół parafialnych. Z jednej strony bakcyl wynarodowienia mnoży się i potęguje, a z drugiej — pokolenia wychodźcze, wzrosłe w społeczeństwie amerykańskiem, nauczyły się patrzeć, porównywać i wymagać — a trzeba przyznać, że nasze ludowe parafialne szkoły pod wielu względami nie dorównują publicznym szkołom ludowym, prowadzonym systemowo, jakkolwiek one nie dorównują znów pod względem ducha, naszym szkołom, których wychowanie opiera się na zasadach wiary. Nie jestto zupełnie wina złej woli społeczeństwa — nie możemy bowiem rywalizować z rządem bogatym, mogącym pozwolić sobie na nieograniczone uposażenie szkół, gdzie kształcą się wytrawne siły nauczycielskie i na nakłady coraz ulepszanych podręczników. To co jest, stworzyło społeczeństwo polskie własną ofiarnością. Na razie mamy szkoły ludowe parafialne — dobre lub mniej dobre — ale właściwie mówiąc, nie mamy szkolnictwa polskiego, idącego jedną wytkniętą drogą, związanego w jedną całość według uporządkowanego, obmyślanego systemu — jednej idei przewodniej. Ten brak daje się odczuwać dotkliwie w rozwoju i poziomie naszych szkół parafialnych. Odczuwa to społeczeństwo polskie i niejednokrotnie przebija się głos żalu i pretensyi.

Niewątpliwie przyjąć musimy za objaw dodatni nieustanne głosy narzekania na chromanie naszych szkół parafialnych, tak pod względem metody jak i zakresu wykształcenia w nich podawanego polskiej dziatwie. Jestto wprawdzie objaw dodatni, ale w negatywnem znaczeniu — nie twórczy, — w każdym jednak razie jestto już budzenie się krytycyzmu i niezadowolenia z istniejącego stanu rzeczy, z tem poczuciem słusznem i sprawiedliwem, że powinno być inaczej, że nie wykorzystuje się należycie najświeższych i najpodatniejszych sił i zdolności dziatwy do kształtowania umysłu i serca, tem traktowaniem nauki elementarnej, jako czegoś, co robi się ot tak dla zbycia, bo coś robić należy, aby uśpić sumienie, iż nie patrzymy się z założonymi rękami na zbyt jawnie wyrażane chęci obcych, gotowych nam dziatwę odebrać i na swój wzór ją modelować.

Ta faza zdawania sobie sprawy przez społeczeństwo polskie z niedostatków naszych szkół parafialnych, jest barometrem wskazującym odczuwanie potrzeby reformy, wlania nowe-

go, żywotnego ducha w zastarzałą lub niedołężnie ujętą treść i formę ludowego nauczania. Nie należy więc lekceważyć sobie tego znamiennego stanu umysłu naszego społeczeństwa, ale owszem, trzeba na łamach pism naszych stanąć w roli tłumaczy — na słowa jasne i celowo obmyślane — tych niedomówionych, ogólnikowych żalów i utyskiwań naszego ogółu, w których jednak brak wyraźnego określenia niedomagań i potrzeb naszego parafialnego szkolnictwa. Trzeba nam konsekwentnie dążyć do obudzenia w społeczeństwie naszem tego jedynie logicznego przekonania, iż kiedy raz spostrzegło się, iż obecny system szkół parafialnych dziatwie naszej należnego pożytku nie przynosi, ale nawet upośledza ją niesprawiedliwie, w porównaniu z dziatwą innej narodowości, to tem samem spada na społeczeństwo obowiązek zabrania się do zaradzenia złemu, gdyż inaczej tą pełną rezygnacyi gnuśnością, przy wszystkich towarzystwach jej lamentach i żalach na temat naszych szkół, damy sobie świadectwo, iż bądź co bądź solidaryzujemy się z istniejącem złem i pozwalamy na to, by dzieci polskie dalej nabierały ducha polskiego i wiadomości w szkołach, które ani jednego ani drugiego dać nie mogą, bo same mało mają.

Sądzę, że pracą w tym kierunku wytrwale prowadzoną, można będzie społeczeństwo nasze wywieść z błędnego koła nieproduktywnych narzekań na drogę czynu. Przez ów czyn społeczeństwa nie rozumiem bynajmniej, aby je, względnie ogół rodziców, posyłających dzieci swe do szkół parafialnych, obarczać żądaniem samoistnego opracowania reform, oceniania podręczników etc.; byłoby to niedorzecznością śmieszną; ale ponieważ wszelkie zdobycze moralne i materyalne wychodźtwa naszego, z natury odrębności naszego organizmu w tutejszym kraju, idą od wewnątrz, z dobrej woli naszego społeczeństwa, więc też i w sprawie naszego szkolnictwa parafialnego, najlepszy projekt ludzi powołanych nie może się ostać i wejść w życie, jeśli społeczeństwo nie poprze go i nie oświadczy się za nim stanowczo. Tak pojmuję zajęcie czynnego stanowiska przez nasz ogół i w tym kierunku przygotować teren uważam za konieczne.

Oczywiście, iż przystępując do tej działalności wśród naszego społeczeństwa, musimy mieć już powzięty plan, doskonale obmyślany — i działaczy, których, bądź ich stanowisko dziennikarzy — kierowników moralnych społeczeństwa, bądź inteligencya, znajomość rzeczy i dobrze zrozumiany obowiązek służenia ogółowi polskiemu, powołuje do zajęcia głosu w tej sprawie, wymagającej uprzedniego wspólnego porozumienia

się i wytężenia sił w zgodnym kierunku. Nie mam zamiaru, przypisywać naszemu Towarzystwu dziennikarzy polskich jakowegoś monopolu w ujęciu tej kwestyi, gdyż do współdziałania stanąć winni wszyscy, którzy cenną swą pomocą mogą usłużyć ważnej, narodowej a nazbyt piekącej sprawie.

Nie uważam za potrzebne rozwijać tutaj szeroko celów i zadań szkoły parafialnej na wychodztwie, bo wszyscy tutaj zgromadzeni zgodzimy się chyba na to, że ma ona być jednem słowem: podstawą, fundamentem; ma dać dzieciom niezbędny, treściwy zasób wiedzy, oprzeć się na zasadach religijnych i duchu nawskroś narodowym; winna nietylko uczyć, ale i wychowywać, przeciwdziałać wpływom ulicznej demoralizacyi i uzbrajać przeciw pokusom wynarodowienia. Wiemy też, że trzy są ważne elementy, na których opiera się szkoła: nauczyciel, jego sposób uczenia i wpływu wychowawczego, czyli metoda i wreszcie podręczniki, które są pośredniem źródłem i określeniem zakresu wiedzy, mającej być dziatwie podaną. Wiemy niestety, że częstokroć a nawet przeważnie nauczanie i wychowanie dziatwy w szkołach parafialnych spoczywa w rękach amatorskich, dyletanckich, więc też i nauka i wychowanie noszą cechy tego dyletanctwa i bezplanowej dorywczości. Ten wielki błąd usunąć mogą wytrawnie prowadzone seminarya, a przynajmniej częściowo zaradzić jakie krótsze kursa tak zwanych praktycznych lekcyi i zachęcanie nauczycielstwa do interesowania się dziełami z pedagogii i psychologii dzieci.

Na razie jednak w warunkach obecnych naszego szkolnictwa widzę jeden najprzystępniejszy sposób podniesienia naszego parafialnego szkolnictwa, a to za pomocą zaprowadzenia jednolitych podręczników we wszystkich polskich szkołach parafialnych w Ameryce. Dotąd w szkołach naszych panuje dowolna różnorodności i odbiera im wszelki pozór jakiejkolwiek jednolitości, a przy często zdarzających się przenosinach klasy robotniczej z miejsca na miejsce, w najwyższym stopniu utrudnia dzieciom nietylko w nauce ale, że tak powiem, w zadomowieniu się w szkole na nowem miejscu pobytu. Ten brak planowości w zakresie udzielanej nauki i różnorodność podręczników czyni z naszych szkół przygodnie skleconą zbieraninę, bez żadnego charakteru jedności, myśli i dążenia.

Tę szkodliwą cechę przygodności trzeba nam koniecznie zdjąć z instytucyi szkół ludowych, które tak jak u wszystkich ucywilizowanych narodów, tak też i u nas powinny być pierwszą troską, a nawet powiedziałbym — u nas na wychodztwie — więcej uwagi powinniśmy jej poświęcać, bo ona nietylko uczy i

wychowuje młode nasze pokolenia, ale utrzymuje je i ratuje dla zagrożonej Polskości.

Uregulowanie kwestyi podręczników, zaprowadzenie jednakowych w całem szkolnictwie parafialnem, nada mu charakter wspólnej przewodniej myśli i duchowej łączności. Rozumie się samo przęz się, że podręczniki owe musiałyby odpowiadać celom i zadaniom szkoły parafialnej polskiej, uwzględniać wszystkie momenty kształcące i wychowawcze, jakie do całokształtu elementarnej oświaty należą — z naciskiem szczególnym, tak koniecznym w naszem wychodztwie, na poczucie łączności z Ojczyzną, jej dzieje i przywiązanie do mowy polskiej. Dobrze opracowane, zajmująco i przystępnie napisane czytanki, a w rozdziałach mających kształcić narodowe uczucia, przemawiające gorąco i serdecznie, zastąpiłyby poniekąd braki pedagogicznego wykształcenia nauczycieli i wadliwość ich systemu, bo mówiłyby bezpośrednio do dzieci i uzyskały ich zainteresowanie. Wybór podręczników należałoby uczynić przedmiotem osobnej komisyi oświatowej, którąby Tow. Dzien. i Literatów Polskich w porozumieniu się z powołanymi czynnikami wzbudziło do życia w celu zajęcia się tą kwestyą. W referacie tym postawiłem sobie jedynie za cel podniesienie ważności ujednostajnienia szkolnictwa parafialnego, a co za tem idzie i podniesienia jego poziomu — nałożeniem moralnego obowiązku na nauczycielstwo, stosowania się do planu nauk objętego danymi podręcznikami, i wyczerpania takowego. Nikt nie może żądać od szkół parafialnych aby przeładowywały pamięć uczniów nagromadzeniem wiadomości, nie mających nic wspólnego z podstawowemi, elementarnemi zasadami ludowej oświaty; ale można i powinno się żądać, aby dzieci wyniosły ze szkoły parafialnej, oprócz sztuki czytania i pisania, dobrze przetrawiony i przyswojony zasób pojęć, bez których żaden oświecony człowiek obejść się nie może; można i powinno się żądać, aby dzieci polskie znalazły też w szkołach parafialnych przybytek polskiego ducha, myśli i słowa.

Obok nauki szkolnej, prowadzonej w należytym duchu, znakomitym środkiem kształcącym dziatwę i odwracającym zgubne wpływy ulicy — jest czytanie samodzielne, to też szkoły parafialne powinny usilnie dążyć do rozbudzenia w dziatwie zamiłowania do czytania książek i uważać za obowiązek szkoły — zaopatrywanie się w biblioteczki dzieł wyborowych dla dziatwy i młodzieży. Zachęcić dziatwę do czytania i dawać jej w ręce książki zajmujące i piękne, w których będzie obcować z wspaniałą przeszłością swego narodu, oddychać tchnieniem

myśli szlachetnej i czystej, zapoznawać się z pięknościami polskiej mowy i czerpać pełnemi rękami z bogactw narodowej skarbnicy ideałów, uczuć i marzeń, to znaczy: rozświecić jej drogę życia — społeczeństwu polskiemu i Ojczyźnie zapewnić własność kroci tej młodzieży, którą bezmyślność i brak wszelkich ideałów rzuca w objęcia amerykanizacyi.

Biblioteki szkolne uważam za najskuteczniejszy sposób podniesienia poziomu szkół w znaczeniu oświaty i wychowania narodowego — i uważam to za sprawę tak wielkiej wagi, iż trzeba ją poprowadzić z całą świadomością ogromu jej znaczenia. Tak podręcznikami szkolnymi jak i bibliotekami powinna się zająć ewentualna komisya oświaty utworzona z duchowieństwa i osób świeckich a która dobroczynną i wysoce społeczną działalność rozciągnęłaby na całe szkolnictwo polskie parafialne w Ameryce. Komisya owa z siedzibą np. w Chicago stworzyłaby biuro w specyalnym celu dostarczania szkołom i sprowadzania książek do bibliotek wprost ze starego kraju ewentualnie od tutejszych wydawców — książek pierwszorzędnej wartości przez polskich autorów, które górują o całe nieba nad rozmaitymi powiastkami bez wyższych myśli i najczęściej koszlawemi tłumaczeniami, jakiemi przeważnie tutejsi agenci zaopatrują tutejszych czytelnków.

Komisowe, oraz rabaty udzielane przez wydawnictwa przedstawiałyby znaczne źródła dochodów dla wspomnianego departamentu oświaty, z których nietylko możnaby utrzymać biuro, ale nawet stworzyć wydział pewnej kontroli — w osobach kilku inspektorów, którzy w powierzonych sobie okręgach czuwaliby nad ujednostajnieniem podręczników i wyczerpywaniem tychże, nad rozwojem bibliotek i postępem zainteresowania się dziatwy czytaniem.

Aby pomnożyć fundusze szkół parafialnych na zakupowanie książek do biblioteczek szkolnych z rzeczonego biura, możnaby przy wpisowem zaprowadzić nieuciążliwy dodatek od 10 do 25 c. na cele biblioteki, z której dziatwa korzystałaby bez żadnych dalszych opłat za wypożyczanie. Z funduszu tego należałoby też opłacić bibliotekarza |lub bibliotekarkę| który w pewnym dniu tygodnia w oznaczonych godzinach wypożyczałby dziatwie książki i w osobnej księdze pod osobną rubryką dla każdego z dzieci zapisywał przeczytaną książkę. Dla dodania bodźca do czytania możnaby pobudzić emulaacyę dzieci, uwidaczniając w wykazach szkolnych liczbę przeczytanych książek z dodatkami: "Z wielką korzyścią", "z korzyścią" etc. opierając się w tych ocenach na króciuchnych sprawozdaniach

dzieci z przeczytanych książek — na co nauczyciele poświęcaliby trochę czasu, co jakiś czas na godzinach polskiego języka.

Nie zapominajmy o tem, że nauczywszy dziatwę rozumnie czytać dobre książki i rozbudziwszy w niej zamiłowanie do tej szlachetnej rozrywki — uzyskalibyśmy potężną broń przeciw opłakanym skutkom ulicznej demoralizacyi i przybliżylibyśmy dziatwie naszej dostęp do źródeł narodowej oświaty i ideałów.

Nie podobna zaprzeczyć, iż szkoły parafialne mają za sobą bardzo wielkie zasługi utrzymywania dotąd polskości w kilku pokoleniach naszej emigracyi, ale wobec wzrastających potrzeb i zdobyczy kulturalnych, wobec rosnącego niebezpieczeństwa wynaradawiania się, muszą iść w kierunku wytoczonym życzeniami społeczeństwa, muszą liczyć się z wymaganiami chwili bieżącej, aby uchylić niebezpieczeństwo chwili przyszłej, grożącej opustoszeniem szkoły parafialnej polskiej, nie mogącej dostatecznie konkursować z bezwyznaniowemi a obcemi nam duchem szkołami publicznemi.

Całe społeczeństwo, nie wyjmując nauczycielstwa, powinno zrozumieć doniosłość powołania do życia Wydziału Oświaty i Inspektorów, w celu podjęcia ważnej akcyi skierowanej na właściwe tory polskiego szkolnictwa ludowego w Ameryce. Myśl ujednostajnienia podręczników i tworzenia wzorowych książek dla dzieci i młodzieży polskiej powinna też znaleźć echo u naszego myślącego ogółu.

Sądzę, że wielką usługę sprawie — oddać może — umiejętnie opracowana ankieta*), która rozesłana do wszystkich proboszczów jako kierowników szkół, całego duchowieństwa polskiego w Ameryce w ogóle, do nauczycielstwa i do gmin parafialnych i miejscowych — poruszyłaby w sposób wyczerpujący acz treściwy ten aktualny temat podniesienia polskich szkół parafialnych, ujednostajnienia podręczników i nauczania, oraz sprawę bibliotek szkolnych i potrzebę założenia wydziału oświaty z ustanowieniem inspektorów.

W kwestyonaryuszu rzeczonej ankiety byłaby sposobność wysondowania opinii ogółu, do naprowadzenia na skrystalizowanie ogólnikowych sądów i wrażeń na temat nie wystarczającego już poziomu szkół parafialnych; dalej — ankieta owa ułatwiłaby w wypowiedzeniu się dobrej woli ogółu — czy: Uznając wielkie znaczenie szkół parafialnych polskich dla zapewnienia młodym naszym pokoleniom — podstaw oświaty i wycho-

*) W myśl tego referatu ankietę taką Zjazd uchwalił, a Zarząd Tow. w pierwszych miesiącach 1912 roku zabiera się do jej przeprowadzenia.

wania w duchu katolickim i polskim z uwzględnieniem obowiązków obywateli amerykańskich i wymagań postępu szkolnictwa ludowego — czy, powtarzam społeczeństwo polskie gotowe jest poprzeć dążenia wydziału oświaty, przyjąć jego kierownictwo i tak bez względu na przynależność do różnych organizacyi, partyi etc. — stworzyć jedno wspólne wiązadło, łączące całe wychodźtwo polskie w trosce o podstawy bytu społecznego i narodowego — o podstawy przyszłości wychodztwa polskiego — o szkołę ludową parafialną polską w Ameryce.

Nie można z góry przesądzać pesymistycznie albo zbyt optymistycznie rezultatu takiej ankiety; może dłużej, niżby się należało spodziewać z samejże ważności sprawy, wypadnie czekać na wniknięcie w ogół przeświadczenia o konieczności zajęcia się gorąco i szczerze naszem szkolnictwem parafialnem, jeśli chcemy naszą przyszłość oprzeć na pewnych, niezawodnych fundamentach.

Nie wolno nam jednak ustawać w pracy — owszem trzeba nam zyskiwać dla niej umysły i serca patrzące w głąb potrzeb naszego społeczeństwa, a nie wątpię, iż koło naszych wysiłków zatoczy tak szerokie kręgi, iż niebawem o plonach będzie można mówić.

STEFANIA LAUDYN.

REDAKTORKA "GŁOSU POLEK"

Kobieta wobec przyszłości.

Z pośród mnóstwa przeobrażeń, spraw i prądów nowych, obejmujących życie obecne społeczeństw i narodów — na powierzchnię i na czoło zadań przyszłościowych bieżącej chwili wysunęła się — sprawa kobiety. Nie stało się to pod działaniem i wpływem tej, lub innej woli, tego lub innego dla nas usposobienia opinii świata — stało się to siłą faktów i zdarzeń życia konkretnych, które nie pytają, czy ich się chce, pochwala, lub przyjmuje, lecz które siłą własną idą, uwagę naszą ściągają, miejsce sobie wśród życia, bez pytania, ani prośby biorą.

Siła zmienionych warunków ekonomicznych życia, wołanie chleba, konieczność bytowania, potrzeby jutra, rzuciły kobietę XIX w. w wir walki i zmagań się, dążeń i prac bytu, kazały porzucić jej bezpieczne dotąd i spokojne zacisze domu, kazały nieobronną duszę i słabe jeszcze ramiona wystawić na pociski życia, na twardość starć, ból zawodów, grozę rozbicia. Kazała jej uczynić to konieczność ekonomiczna życia, ale zarówno parła ją ku temu konieczność inna, źrąca — głód ducha, żądza wiedzy, tęsknota i potrzeba prac szerokich, żądań i celów życia ogólnych, ludzkich.

Wszystko się dźwiga we wszechświecie, nic nie stoi w miejscu, ruch, dążenie, postęp — oto zakon życia i bytu. Wchodzą, działają i schodzą z widowni świata siły i czynniki rozmaite, nowe zjawiska wyłaniają się i nieoczekiwane, snem wieków jakoby odurzone, dźwigają się ku słońcu i szczytom, aby następnie zejść i innym miejsce wolne zostawić.

W całym pochodzie dziejów ludzkości widzimy to zjawianie się, rozkwit, następnie przeżycie i uwiąd sił i potęg rozmaitych życia. Nie dzieje się to gwałtownie, ani z odgraniczeniem ostrem stron walczących, ale wolno i nieznacznie. Zjawiska i stany jedne odchodzą, lekko pokrywając inne, które napływają chciwie — tak iści się wieczny obrót świata dokoła osi podstawowych swych sił.

Przechodząc od tej ogólnej fizyognomii świata do dziejów poszczególnych narodów, czy nie widzimy w życiu ich tego kolejnego dźwigania się, powstawania i upadku sił przeciwstawnych? Weźmy to, co najbliżej jest nas i co obchodzi nas

najgłębiej — naród własny. Czy nie widzimy, jak kolejno rządziły tam i dźwigały się warstwy i klasy narodu rozmaite, aż rozwinęły całą swą twórczą, postępową moc, dały co dać mogły i kolejno przeszły w zanik, wyczerpanie, uwiąd i skostnienie, ustępując siłą rzeczy miejsca czynnikom młodym, świeżym, twórczym, dźwigającym się z nieznanych dotąd, uśpionych głębin bytu. Tak w ostatnich dziesięciołeciach naszego narodowego życia jesteśmy świadkami podnoszenia się wśród narodu siły milczącej dotąd, utajonej, bez głosu — ludu, który jak uśpiony tytan i władca przyszłości wstaje, ramiona swoje prostuje, ciało pręży, i rozgląda się już ciekawie i bystro w zadniach i drogach życia. Nie tylko w Polsce, na całym dziś obszarze świata wstaje ten tytan, dziecię-olbrzym uśpiony świata — lud, pracownik, niewolnik dotąd, popychadło zagnane. Wstaje i siły pręży, nie spieszy się, cierpliwy — wie, że przyszłość jego, że na niego przyszła kolej w wiekowym obrocie sił świata, do czynu, do twórczości, do ziszczenia siebie.

Stoimy więc wobec nowej fazy dziejów świata: twórczości i rozwoju akcyi ludowej. Jaki charakter będzie tej akcyi, czy u steru zostaną czynniki naczelne, dotychczasowe? Niepodobieństwo oczywiste... Naczelne, poruszające dotąd machiną świata siły zejść muszą z zabranych dla siebie tronów i ustąpić miejsca władcom innym, nowym. Wchodzi w dzieję warstwa ludzkości młoda, świeża, spychana dotąd, unicestwiana. Wnieść musi ona nakazy i czynniki życia świeże, wprost przeciwne gwałtowi siły i przemocy, a więc logiczną koleją rzeczy: sprawiedliwość, równość, wyzwolenie. Te właśnie hasła głoszą, pod te znaki stają nowe, do życia idące, a dotąd spychane i uciskane szeregi.

Kto w szeregach tych, prócz ludu, był uciskany najbardziej, krzywdzony wieki całe bezprawiem, nadużyciem, niewolą? Kto sztucznie hodowany był stulecia całe w dzieciństwie hańbiącem myśli i woli? Kto skazany był na łaskę i niełaskę pana i giął się pod nią najniżej, najbezbronniej, nieochraniany niczem, prócz fantazyi tejże samej łaski? Kto był zabawką i boginią naprzemian, aniołem i demonem, wedle gustu, władczynią i nędznem do odrzucenia pomiotłem, gdy łaska zmieniła się i siła wdzięków przepadła? Kto przez wieki był z człowieczeństwa tj. duszy wolnej i woli własnej wyzuty, kto niósł życia kajdany bez jęku, w męce ciała wetując straty krwawe ludzkości na polach dzikich walk rozmaitych i ciałem też swem sycąc apetyty znużonych i brutalnych władców i panów ziemi? Kto duszą swą umęczoną, poddaną, tkliwą, na ból każdy otwartą, bo w

bólu własnym wciąż kąpaną — łagodził krwiożercze obyczaje tych władców, tępił wybuchy okrucieństwa ich, dzikości, przynoszonej do domu z pola walk bratobójczych bez liku, jeżeli nie ta, na milczenie i bezwolę skazana połowa ludzkości — kobieta!... Ona nietylko ciszą swej duszy i niewinnością myśli, ale i pięknem zewnętrznem ciała i wdziękiem swym duchowym łagodziła brutalne zapędy charakteru wieków, samą bezsiłą swą i bezbronnością wnosiła pierwiastek umoralniający i uduchowniający w zmateryalizowane, dzikie rządy świata.

I tak na wielkim świecie kobieta była od zarania bytu, przez wieki, choć biernym, lecz łagodzącym, miłosnym czynnikiem kultury świata.

W ojczyźnie naszej, Polsce, nieco inaczej ułożyły się stosunki. Ojczyzna nasza promieniowała wśród okresu dziejów większą łagodnością obyczajów, mniej brutalnem rozrostem dzikiej siły, a powietrze szerokiej wolności, którem oddychały warstwy naczelne narodu, nie pozwalały i w kobiecie widzieć bezdusznej rzeczy jedynie, na użytek silnych oddanej ofiary. To też, mimo iż w kraju naszym kobieta, jak wszędzie, prawem żadnem bronioną nie była, czuwała jednak nad nią surowa opinia narodu, otaczała cześć wysoka, a głęboka religijność, oraz poczucie rycerskie, zawsze obecne i żywe w piersi polskiej, kazały w kobiecie widzieć duszę ludzką, słabą i bezbronną. Wszystko to składało się na to, iż w Polsce dawnej kobieta-obywatelka była matką szanowaną głęboko i żoną-przyjacielem. Następnie przyszły czasy zepsucia narodu pod rządami królów obcych, czasy saskie, a wraz z tem i demoralizacya kobiety, dalej upadek i rozbicie państwa. Sprawdziło się i na nas orzeczenie wielu historyków i socyologów, że upadek kobiety prowadzi za sobą rozbicie i upadek społeczeństwa danego.

Tradycya jednak wspaniałej i dostojnej przeszłości została we krwi kobiety, odrodziła ją z chwilowego obniżenia i uczyniła zjawiskiem wyjątkowem wśród kobiet świata. Nie znają dzieje narodu żadnego, ani obecne, ani z przeszłości dalekiej, typu kobiety, tak bohaterskiej, jaki wytworzyły w historyi naszej kobiety Polki. Najbardziej były pokrewne nam w dalekiej przeszłości wspaniałe Rzymianki, klasyczne Spartanki, odważne i miłujące Słowianki, ale niema kobiet tak wszechstronnie bohaterskich, jakiemi się stały w dziejach narodu — Polki.

Niezłomne, mądre i śmiałe, szły one na pola bitew i do administrowania dobrami ogromnemi, wzorowo wychowywały synów-rycerzy i silnie ujmowały w dłoń rządy, gdy mężowie spieszyli na pola walk odległych. Krzewiły żelazne poczucie honoru

w piersiach dzieci, oraz miłość nieskończoną, ofiarną, bez granic dla ziemi ojczystej. A gdy przyszło rozbicie i męczeńska krwawa Golgota narodu, wzięły bez drżenia swój krzyż na ramiona i nieustraszone bohaterki-męczennice szły w lody Sybiru, ciemnie lochów i więzień, patrzały na pochód synów swych na szubienice złowrogie i pod ogień rotowy siepaczy i katów. Gdy przeszły czasy krwawe, a nastąpiło zmaganie się w męce pokojowej o duszę narodu, stanęły jak mur u drzwi domów swych i z nich uczyniły fortecę i ostoję, przed którą drżał wróg, a z której wychodzili bojownicy niezłomni, zapatrzeni w wielką przyszłość narodu. A przyszłość ta przed nami coraz bliżej, coraz bardziej dotykalna i żywa — ona zbliża się, idzie — i my wstąpimy niebawem w świetlane, radosne jej kręgi.

I w Poznańskiem, i w Galicyi, i pod Moskalem święci tryumf uratowany duch narodu, ocalona z rozbicia jego polska, dziejowa, wielka dusza! Ona żyje, rośnie i potężnieje, ona w poprzek staje usiłowaniom wroga i krystalizuje nieuchwytną a wciąż rosnącą przyszłość. Ta zasługa dziejowa polskiej kobiety uznaną została w Europie całej, a świeżo hołd światowy kobiecie polskiej złożyli Francuzi — bracia Leblondowie — w pięknem dziele ''Polska żyjąca'', obrazując faktami życia wysokie dostojeństwo polskiej kobiety. Z uznaniem serdecznem przyjęto w kraju to świadectwo prawdy, dane przez szlachetnych cudzoziemców i znalazł się tylko jeden dziennik na wolnej ziemi Washingtona, który omawiając to dzieło z ubolewaniem zaznaczył, iż co do teraźniejszości łudzą się tak łaskawi cudzoziemcy, gdyż ''dzisiejsza polska kobieta daleką jest od tego wzoru przeszłości.''

Taką obelgę rzucił kobiecie polskiej ''Dziennik Chicagoski''. Myli się sz. pismo. Kobieta polska i dziś tą samą jest co w okresie walk zbrojnych narodu, zmieniła się tylko broń i charakter zapasów. Złamany miecz wypuścił z rąk naród, ujmując pokojowe potężne narzędzie — elementarz — z nim poszedł do niskich chat ludu budzić duszę jego, myśl w znoju ociemniałą, głodną.

Kto poszedł na te pola walk nowych, strzeżonych gorliwie przez zbirów moskiewskich i pruskie pikelhauby? Kto? — młodzież i kobiety. Nauczycielki ludowe, nędznie płatne, szykanowane przez władze, szły na posterunki przyszłości, gdzie w ręce swe ujęły twardy i oporny grunt, niosąc w ofierze młodość swą, siły, zdrowie. A dalej tajne nauczanie po miastach, ukryte po domach, za które idą kary, więzienia ,prześladowania. Kto je prowadzi? Oto strojnisie z miast, delikatne panny ze dwo-

rów przeradzają się, gdy potrzeba, w odważne i ofiarne apostołki światła i wiedzy. Nie zmieniła się polska kobieta, duch w niej ten sam, pod ręką jej zielenią się pola życia, rozkwitają barwne kwiaty mocnych charakterów mężów i tęczowe pędy niebosiężnych pragnień młodych dusz. Tchnienie woli jej unicestwia zabiegi wroga, a posiew miłości ofiarnej rozpłomienia i budzi nowe zastępy zapoznanych dzieci narodu. Taką jest kobieta polska w dobie obecnej wielkiego budzenia się świadomości i uznania praw kobiety w świecie całym. Jedno państwo po drugiem nadaje prawa obywatelskie, szerokie, kobietom swoim — widzimy to w Szwecyi, Norwegii, Finlandyi, Danii, Ameryce, Australii. Dźwiga się i woła o prawa swe kobieta Wschodu — Turcyi, Chin, Egiptu. Wielka Anglia woła głosem doniosłym: "przyszłość narodu, to jego kobiety" — i z pośpiechem, energią i troską najwyższą zabiera się do udoskonalenia wychowania dziewcząt. Wotują tam prawa jedne po drugich dla kobiety, ale one — dumne i pewne siebie — pragną mieć wszystkie. Idą śmiało na barykady przeszkód wszelakich — walczące, bezwzględne, gniewne i karzące, roznamiętnione walką i poczuciem swej krzywdy. Podziwiamy energię sióstr angielskich, rozmach, bezwzględność, decyzyę — nasze drogi inne. Kobieta polska stoi cicha, spokojna, milcząca. Ona — bojownica narodu dziejowa, skarbniczka dóbr jego i bogactw — dłonie ma pełne swych zasług nieobliczalnych, wysoką godność obywatelki wciąż czynnej, spokój wytrawnej pracownicy. Czeka — pragnie i wierzy, że opinia drogiej jej ziemi, szlachetna zawsze i wolnościowa, otrząśnie się z rdzy spowodowanej niewolą, a obezwładniającej ducha narodu — i słowo swe ważkie, sąd jasny, dostojny na szalę losów jej położy. I czego żąda dziś polska kobieta od społeczeństwa swego? Czy praw może państwowych i politycznych, których potrójnie rozdarty naród sam nie ma dla siebie? O nie!... Kobieta polska wie dobrze, że ani tam, pod trzema zaborami, ani tu w Ameryce wolnej, praw żadnych z rąk narodu swego otrzymać ona nie może — czegoż więc żąda? Żąda czegoś więcej może, niż praw zewnętrznych i przywilejów gwarantowanych — żąda samej treści rzeczy, samego jądra czynów — mianowicie uznania praw swych i słuszności żądań do równouprawnienia zupełnego z mężczyzną przez sumienie narodu, przez jego świadomą, niezależną opinię, przez sąd głośny jego przedstawicieli i rzeczników. Kobieta polska pragnie, by naród jej, do którego z dumą i miłością należy, stanął na wysokości kultury przodujących narodów świata, które już prawa równe kobietom swym dały, lub

wnet dadzą. Czy kobiety — Polki mniej są wartościowe, świadome i godne — niż kobiety tych krajów uprzywilejowanych?

Tymczasem ze smutkiem i bólem widzimy objawy zatrważające wśród faktów bieżących polskiego życia. Oto zażądały kobiety-Polki miejsca dla siebie w planowanym samorządzie Warszawy i gospodarce miejskiej Krakowa. I cóż? Poparte li tylko przez niektóre partye postępowe, zwyciężone zostały w żądaniach swych przez zachłanność pojęć ogółu.

Zachowawczość nie widząca nowych prądów życia, zamykająca oczy i uszy przed koniecznością zmian i naprawy stosunków, woła z zaciekłością rozpaczliwą: ''pilnuj domu, nam zostaw rządy życiem i jego prawa''...

A fale nowego życia idą, prą, zwyciężają, a my chowamy głowy ślimaczo przed ich ogarniającą, młodą, świeżą potęgą.

I żal, i ból, i wstyd i gorycz podnosi falę bolesną w duszy kobiety nowoczesnej, gdy na to zjawisko w społeczeństwie własnem patrzy. Gdy widzi jak kraje inne, oświecone, wolne, na spotkanie żądań kobiety idą, jak chętnie i z uznaniem miejsce jej wśród siebie dają.

Siedzą oto posłowie-kobiety w sejmach Norwegii, Finlandyi, wejdą niebawem do Izb Anglii, Ameryki. I co w krajach tych widzimy — postęp, podniesienie zadań etyki, akcyę na rzecz usuwania krzywd, szerzenie moralności, trzeźwości, opieki nad dzieckiem, zwalczania nierządu, bezprawia. Wraz z kobietą w dzieje świata wejść musi wyższa moralność, nowe czynniki duchowe, tryumf nad gwałtem i krzywdą.

Czasy nowe idą, przyszłość posuwa się i dojrzewa szybko — biada narodom, co nie dotrzymają jej kroku. Ominie ich ona i przejdzie dalej. Pragniemy, by — gdy chwila znamienna na zegarze dziejowym dla Polski uderzy — świadomość narodu, jego sumienie, opinia, stały na wysokości tego nowego życia, gotowe do czynów, prac i decezyi przyszłości.

Jednym z tych czynów przyszłości jest uznanie szerokie praw kobiety. I nietylko na zasadzie jej wielkich prac i zasług z wieków minionych, ale też na zasadzie prawd i ideałów idących czasów nowych.

Wymagają one myśli kobiety, udziału jej duszy i woli. Obróciło się koło dziejowe i do życia i czynów powołuje siły nietknięte, świeże, temi są — lud i kobiety. Ojczyzna nasza, idąca do życia — szeroko wrota praw, zadań i prac otworzyć musi przed swym ludem i kobietą.

Żądamy by wszystkie najświatlejsze czynniki poddały rewizyi stosunek społeczeństwa do kobiety, a głos świadomy o-

gółu — jego prasa — zajęła w tej sprawie stanowisko jasne, słuszne i godne, jak na wysoką kulturę i przeszłość narodu polskiego przystało.

Prasa — to zwierciadło i głos życia zbiorowego — uświadamiać społeczeństwo powinna, tępić przesądy i narowy wieków, rozbijać skamieniałości duchowe, wprowadzać prądy i powietrze czyste w zatęchłe stosunki i ciasnoty dnia.

Dlatego też dziś, w obec zgromadzenia poważnej części przedstawicieli zrzeszonej prasy polskiej na wychodźtwie — sprawę tę, wagi doniosłej, społecznej, poruszyć zamierzyłam, by sąd dla niej jasny uzyskać i akcyę świadomą, mającą na widoku dobro narodu całego. My tu, w Ameryce, w odmiennych znacznie jesteśmy warunkach, niż w kraju ojczystym. Kobieta polska — bez starań, walk i trudu — dnia pewnego znajdzie się w obec możności korzystania z praw wszystkich politycznych wolnego narodu. Stan po Stanie przyznaje obecnie pełnię praw kobiecie; ostatnio uczyniła to Kalifornia — kobiety amerykańskie święcą tryumfy szybkie i co raz nowe gwiazdy zwycięskie dodają na swym walczącym sztandarze.

Przed kobietą polską na wychodźtwie staje alternatywa bardzo pewna — otrzymania praw równych wyborczych. Ale staje też przed społeczeństwem polskiem jednocześnie pytanie: czy kobieta polska dość uświadomiona tu jest, czy nowa ta zdobycz posłuży wogóle na dobro naszej tu polskiej przyszłości i czy da te korzyści, jakieby dać mogła? Pytanie, czy kobieta polska przygotowaną jest do nowej tej roli społecznej, którą dla niej bliska przyszłość niesie?

Co czyniono dotąd i czy się czyni co teraz dla podniesienia poziomu i rozjaśnienia mroków przeszłości w myśli i głowie polskiej kobiety? Czy i kto nad nią tu celowo w tym kierunku pracował i pracuje?... Niestety, ze smutkiem głębokim wyznać trzeba, iż na wychodźtwie w Ameryce nikt i nigdy dla uświadomienia polskiej kobiety nie czynił nic. Zaniedbaną była w społeczeństwie swem, tak, jak zahukaną w domu i rodzinie. "Pracuj, pilnuj garnków, hoduj dzieci" — oto jedno co w nią wdrażano słowem, przymusem, brutalną często siłą. Pierwszy Związek Polek — jego Wydział Oświaty wprowdził w życie odczyty i pogadanki pouczające dla swych członkiń i w ogóle dla polskich kobiet. W latach kilku ostatnich odbywały się one, choć z rzadka i bez planu ścisłego. O prawach zaś kobiety, o dostojeństwie jej równem, ludzkiem, o godności duszy jej, mającej własne potrzeby i cele, nikt jej tu nigdy dotąd nie mówił.

Pierwszy sprawę tę wyjaśniać, kobietę polską budzić, potrzeby jej i prawa uświadamiać zaczął "Głos Polek", organ Związku Polek w Ameryce. Praca celowa w tym kierunku trwa rok jeden tylko, ale jednocześnie też odbywają się odczyty i pogadanki dla kobiet w Domu Związku Polek, które podnoszą poziom i uświadomienie, dają pewne światło zaprzepaszczonej dotąd w sprawach li tylko domu i kuchni polskiej kobiecie. Lecz akcya ta jednego pisma kobiecego obejmuje tylko członkinie Związku Polek a te setki tysięcy kobiet poza tą organizacyą — co słyszą, jak myślą, co czują? Czy oświecają je pisma inne polskie dzienne i tygodniowe, czy traktują należycie potrzeby i obowiązki kobiet w życiu, czy rozjaśniają jej horyzonty, podnoszą ludzkie poczucie, dźwigają myśli i ducha człowieka-matki i obywatelki? Niestety, oto dziś — wobec całej prasy polskiej w Am. — skonstatować muszę fakt smutny, iż prasa polska w Ameryce lekceważy i niedocenia obowiązków swych względem polskiej kobiety. Działy kobiece w pismach, które je od niedawna tylko zaprowadziły, prowadzone są niemal, jak dla dzieci. Wedle recepty starej — trochę mód, trochę z przepisów kuchennych, sposobów prania, czyszczenia, hygieny, czasem hodowania dzieci. To ostatnie jest doniosłe, reszta — dobre, potrzebne i pożyteczne, ale za mało... Za mało, panowie piszący i wydawcy... Uwzględnijcie wołanie czasu, doniosłe potrzeby życia, spójrzcie jakie klęski szerzą się dokoła wskutek ciemnoty i naiwności życiowej kobiety — usłyszcie wołanie męki jej życia, wyzysk pracy, handel ciała, dzikość częstą obyczajów domowych, nieprzygotowanie życiowe, zaprzepaszczenie rozpaczliwe wśród miażdżących kół walki o byt. Dajcie głos temu wszystkiemu, otwórzcie sumienia wasze na te wołania naglące życia, obudźcie poczucie niebezpieczeństwa i grozy wśród czytających pisma wasze kobiet i zapoczątkujcie przez uczciwe, solidarne nawoływanie wasze akcyę ratunkową, uświadamiającą, obronną, wobec nędzy życia kobiet -- ze strony ogółu, towarzystw, organizacyi i wpływowych jednostek społeczeństwa polskiego.

Kwestya kobieca — to nie idylla ogrodowa, nie zatarg stron powaśnionych, nie grymasy zalotne t. zw. płci pięknej, nie burzenie się ciepłej wody w szklance spraw codziennych — nie! To — groza, potwór, ohyda, krzywda i tragizm śmiertelny niezliczonych dusz ludzkich, to rozpacz matek, rzucających siebie i dzieci swe na dno wód, to bunt żon i kochanek, chwytających za narzędzia mordu, to obłęd i samobójstwa bezprawnych i opuszczonych kobiet wielu. Dalej -- to zatrucie sumienia ogółu,

to zatrucie duszy pokoleń, wydanie ich na zgubę i beznadzieję życia, to zatrucie ducha i mocy życia własnej mężczyzn...

Kobieta i dziecko — czy są czynniki społeczne bardziej wartościowe, doniosłe? Czy są potrzeby życia bardziej palące, nagłe? Dlatego też zwracam się i przywołuję uwagę i dobrą wolę sz. towarzyszy pióra — jako ludzi najbardziej wrażliwych, dalekowidzących i świadomych, tych zwłaszcza, którzy w szlachetnem poczuciu wielkich zadań i obowiązków dziennikarstwa polskiego — skupili się w zastęp pracowników Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy, pragnąc z całym zapałem siły ducha i moc myśli swej włożyć w budownictwo przyszłości narodu — aby zechcieli poddać rewizyi zapatrywania swe dotychczasowe na stanowisko kobiety na wychodźtwie, zechcieli uznać całą doniosłość sprawy tej i zadecydować łączne, a solidarne traktowanie jej przez polską prasę na wychodźtwie. Głos jednego pisma, jak "Głos Polek" nie wiele zdziałać może, pozostają — jak mówiłam — tysiące i setki kobiet, do których dochodzi słowo polskie inne, a obowiązkiem naszym wobec przyszłości jest, by słowo polskie każde było objaśniające, poważne, podnoszące myśli i ducha polskiej kobiety, jak i polskiego czytelnika wogóle.

Trzeba, by kierownicy pism naszych stanęli szczerze i otwarcie na stanowisku uznania głębokiego praw i potrzeb kobiety nowożytnej i w myśl uznania tego solidarnie działali. Mamy już na wychodźtwie pism parę, które usiłują jakby od niedawna zająć stanowisko zbliżone, ale to początkowanie zaledwo, reszta omija wstydliwie na łamach swych kwestyę krwawiącą życia, obchodzi, nie domawia, lub śmiało i bezwzględnie staje na punkcie chłosty względem małoletniej, lub bezceremonialnego zamknięcia jej na klucz w kuchni i sypialni dla potrzeby własnej. Oto jak jest, a źle i gorsząco jest. — Zarzuci mi kto może, że zasługi wielkie w przeszłości narodu dokonane były przez warstwę tego narodu naczelną, — mianowicie jedną — rycerską, że kobieta polska z ludu udziału w tem nie brała. Otóż błąd to zasadniczy i podwójny. Naprzód Ameryka daje prawą kobietom, o zasługi ich nie pytając, uznając w nich ludzi jedynie — człowieczeństwo. Jest to punkt sprawiedliwości — na tej zasadzie i nasze tu polskie kobiety prawa otrzymają.

Wracając zaś do punktu zapatrywania polskiego tj. zasługi, twierdzę stanowczo, że kobieta polska z ludu dziedziczy wszystkie zasługi bohaterskiej kobiety polskiej dziejowej. Gdy tamta pełniła swe wysokie obowiązki obywatelskie na jaśni dnia i życia, ta — znoiła się w ciemnych jego głębinach, u pod-

staw i korzeni. Zdobywała uprawą chleb z ziemi, hodowała twarde charaktery dzieci, w poszumie lasów i szeleście zbóż hodowała krzepkość i niezłomną dzielność narodu, zakładała fundamenty jego mocy, zdrowia i przyszłości.

I tak, kobieta polska wogóle łącząc zasługi te i tamte w jedno — ma prawo niekwestyonowane niczem do uznania przez naród słusznych praw swych i wymagań. Ponad to zaś kobieta polska na wychodźtwie krok za krokiem, cegiełkę po cegiełce, budowała tu obok mężczyzny byt wychodźtwa i jego stan posiadania. Handlowała, szyła, prała, gospodarowała, szła po zarobki do fabryk, składów etc., i tak łączną pracą kobiety i mężczyzny stanął dobrobyt względny wychodźtwa polskiego. Nie była tu kobieta nasza ani zabawką, ani pieszczotą, była i jest pracownicą życia twardą, rodzicielką umęczoną, pomocnicą i towarzyszką uznojoną zarówno. Znała dotąd obowiązki i ciężary li tylko—czas, by mogła wznieść już swą pochyloną głowę, rozejrzeć się dokoła, obudzić myśl w sobie, uśmiech życia szeroki, a wzrokiem objąć dalekie, jasne horyzonty społeczne.

Tu zwłaszcza, na tej ziemi obcej, na tej wyspie polskości, którą tworzymy, zalewanej i zagrożonej zewsząd morzem amerykanizmu – uświadomić sobie nagląco potrzeba decydującą wagę charakteru i ducha kobiety. Groza śmierci narodu, utajona tu we wszystkiem dla nas – i w tem obcem powietrzu, którem oddychamy, i w tem niebie nad głową, co nic nam o Polsce nie mówi, i w mowie tej, obyczaju, oraz całej atmosferze życia, tak różnej i nieznanej dla nas. Dzielnica czwarta Polski jest najbardziej z dzielnic Polski zagrożoną. Ostoją jest tu i być może przedewszystkiem polska rodzina, a w niej — matka, żona, wychowawczyni. Dalej i po za życiem rodziny jakiż doniosły wpływ na mężczyznę wywiera kobieta w ogóle — przyjaciółka, towarzyszka, kochanka, narzeczona. Pracownica na swych towarzyszy i kolegów, młoda panna wogóle na młodzież, obyczaje i ducha. I któraż z kobiet — pytam — tej obronnej i ratunkowej roli w społeczeństwie swem bardziej podoła: czy ta ciemna, zahukana, znieważana może i upośledzona, czy ta strojna, pusta, w błyskotki i pióropusze zdobna, bez jednej myśli w głowie, prócz zalotności i chęci podobania się? Czy może ta świadoma, wolna, do praw swych dążąca, obowiązki rozumiejąca wysoko, do służby czynnej narodu gotowa, zapału pełna?... To jest obraz rzeczywisty bytu.

Przekreślmy raz niewolnicę kuchni i zmysłów — uznajmy równą z ducha towarzyszkę życia, strażniczkę ideałów narodu, cierpiącą i bojującą zarówno duszę kobiety — człowieka, losem

życia upośledzonej. Jeżeli dziś może nie równa nam, zaniedbana małostkowa, ciasna, dźwigajmy ją, oświecajmy drogi jej, wprowadzajmy na szeroką, społeczną arenę życia obywatelskiego.

Jeżeli nie dorosła — tam ona dojrzeje, jeżeli ciasna — tam rozjaśni widnokręgi swe, jeżeli zaślepiona — przejrzy i zrozumie nas i obowiązki swe.

Niech ludzie pióra, niech prasa polska poważna — nauczycielka i przewodniczka ludu — mówi do niej słowem poważnem uznania i nauki pełnem, a odwróci to szybko myśl płochą od nizin życia, bo pragnienie pracy dostojnej i czynu da polot i hart usiłowaniom jej i wiarę zbawienną w moc i słuszność wysiłków i pracy. Kobieta polska, nawet nie przygotowana zupełnie, z ludu — rozwija się szybko i dojrzewa zadziwiająco. Mamy na to świetne przykłady w kraju — i tak rozwój czytelnictwa lat ostatnich wśród kobiet wiejskich i powstanie kilku pism kobiecych dla ludu: dwutygodnik "Zorza Ojczysta" we Lwowie "Przodownica" w Krakowie, "Ziemianka" redagowana przez M. Rodziewiczównę, w Warszawie. Poza tem stałe dążenie kobiet z ludu do szkół, do miast — na kursa gospodarcze, ich udział w obchodach jubileuszowych naszych kobiet zasłużonych, zabieranie przez nie głosu i stwierdzanie obecności ich wśród nas.

Stoimy więc wobec nowej formującej się na oczach naszej przyszłości narodu. Pragniemy, by społeczeństwo polskie tak w kraju jak i tu, w sumieniu swem i opinii stanęło na wysokiem i jedynem stanowisku uznania praw i dążeń kobiety nowożytnej, nie tamowania jej dróg żadnych rozwoju, nie zamykania przed nią żadnych pól życia i zdobywania praw.

Zdatność i konkurencya sił, wymagania natury i warunki bytu, same uregulują stanowisko życiowe obu płci bez przymusu i niewoli — my, w obec nowego rozwoju potęg i sił życia — nie tamujmy sztucznie bogatej tej ekspansyi i szerokiej rozmaitości gromadzeniem niepotrzebnych i raniących kamieni i zwałów na wielkich szlakach przyszłości...

Miejsca i swobody dla sił wszelkich — rozwoju, ścierania się życia i jego budownictwa przeogromnego...

My zwłaszcza — my — polska prasa, głos i sumienie narodu na ziemi wolnej, nie krępowani niczem, stańmy na tem stanowisku wysokiem uznania sił nowych i sprawiedliwości czynnej... Pamiętajmy, że dziejowy los dał nam tu okoliczności wyjątkowe zupełnie — niezmiernej wagi ale i odpowiedzialności pełne.

Oto patrzymy na formacyę nową i szybką społeczeństwa polskiego, budującego się samorzutnie z warstwy ludowej. Tworzywo przyszłości mamy pod ręką i pod działaniem naszej myśli i woli. Inteligencya polska na wychodźtwie, zwłaszcza ludzie pióra, chociaż nieliczni — doniosły wpływ wywrzeć mogą na tę formacyę przyszłości narodu, na oczach naszych krystalizującą się w formy życia nowe. Uświadommy sobie raz tę wielką, dziejową wprost odpowiedzialność i obowiązki najwyższe.

Szanowni Towarzysze po piórze, cała prasa polska na wychodźtwie — jeżeli gdzie w Polsce, walczącej i zmagającej się o przyszłość, wysoce odpowiedzialnem jest i rolę posłannictwa pełniącem jej dziennikarstwo, to nigdzie tak dalece wpływowem, tak wysokiem dostojeństwem nie obdarzone, jak w tej czwartej — wierzymy — formującej się dzielnicy Polski ludowej. Jeżeli czystem i zdrowem ma być wogóle słowo pisane, narodowi swemu podawane, to jakże dalece obmyślanem, rozważnem, wprost kryształowem i twórczem musi być ono tam, gdzie słuchają go masy sieroce, od ziemi swej oderwane, tradycyi już nie zachowujące, w światło upośledzone i na pokusy i drogi błędne zewsząd wystawione... To słowo polskie, słowo myśli, sumienia i świadomości narodu — jakże gorącem, czystem, głębokiem i opatrznościowem być winno dla tych uznojonych, cichych, cierpliwych, zmagających się o duszę swą i o byt wśród obcej ziemi — polskich mas...

Budujmy przyszłość oderwanej gałęzi mocnego konaru narodu polskiego, ale baczmy, by w zakładane fundamenta przyszłości tej nie weszła krzywda żadna, sobkostwo i przywilej ciasnoty, omanienie brudnych i nieczystych dróg. Budujmy rękami czystemi, myślą i wolą czystą, widzącą, twórczą — a przy tej wielkiej budowie niechaj nie brakuje żadnego z nas—ani uznojonego w mule życia robotnika skromnego, ani inteligenta zatopionego w dochodzeniach myśli swej i wiedzy... Ani dzielnego szermierza i zdobywcy szerokich, bujnych obszarów życia, ani towarzyszki jego, kroczącej po tych samych opornych drogach samodzielnej pracy, lub też kształcącej ducha dzieci narodu do lotów myśli i hartu zwycięskiej woli...

Wszyscy, wszyscy stańmy — jak mąż jeden — do budownictwa mocnego, twórczego, nie spychając się, nie kalecząc, ani zazdroszcząc sobie wzajem. Pól — taka mnogość, dróg — taka wielość — byle chcieć i módz... A warunek jeden naczelny, obowiązujący zarówno dla wszystkich — czyste mieć ręce, czystą myśl i wolę.

Czuwać nad tem winna surowo i ostro opinia społeczna, sumienie ogółu, wyraz jej głośny zbiorowy — polska prasa. Czuwajmy i niech nas nie straszą przeciwności żadne — ani głuche i zgrzytliwe syczenie żywiołów wstecznych i destrukcyjnych, ani oporne, lub wrogie stanowisko zazdrosnych a chciwych. Niech nas owiewa głębokie poczucie wielkości zadań, ukochania celów i powaga wołających najwyższych ideałów przyszłości. W imię tej przyszłości, jej haseł świetlistych, jej budownictwa przeogromnego, żywego — zespólmy siły wychodźtwa polskiego. Uderzmy łącznie, miłośnie, zarówno kobieta jak mężczyzna, w zawarte bramy budownictwa wielkiego, poza któremi stoją świetliste, jasne przestrzenie, zależne od zbiorowej woli naszej, myśli, czynu — a otworzą się one przed wzrokiem naszym i wolą — podatne, słoneczne, mocy i czaru pełne. Wejść w nie musi niebawem cały wielki, dziejowo dojrzały, naród polski — wejść w nie musi tryumfator przyszłości — polski lud i bojownica nowego życia — kobieta.

Miejmy odwagę wejść, miejmy wolę życia i czynu — niezłomną, twardą, piorunową — a pękną bramy zamknięte przemocą, pękną gwałtem skute wrzeciądze i sztaby żelazne — a duch wolny narodu, rozrywający nam już pierś w poczuciu swej prawości i siły niespożytej, uleci ponad tłoczące go więzy, strząśnie kajdany wiekowe — i twórczy w sobie, potężny, nowe ciało przyoblecze do swych nowych zadań, dróg, celów. Odwagę miejmy uderzyć w zamknięte jeszcze bramy przyszłości, odwagę miejmy potężnie chcieć, tworzyć, budować — a padną zmurszałe okopy starego Jerychonu i wstanie nowy dzień — światła, wolności, pokoju.

TOMASZ KOZAK.

Unie robotnicze i zawodowe, a Polacy.

Z wielu powodów Stany Zjednoczone Ameryki Północnej stały się wymarzonym terenem rozwoju i działania związków pracy w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu. Głównie chyba przyczynił się do tego brak klasowości pojmowanej po europejsku. Brak szlachty rodowej i uprzywilejowanej oraz brak biurokracyi dożywotniej, tak często stanowiącej państwo w państwie, a wreszcie nie bijący zbytnio w oczy, mimo to jednak faktyczny brak europejskiego typu posiadacza rolnego, — oto niektóre sprężyny, wprawiające w ruch konieczną potrzebę ochronnych związków pracy. Tłumacząc ostatnią wzmiankę o posiadaczach rolnych w Ameryce, konstatujemy rzecz, która z każdym rokiem staje się tu widoczniejszą, mianowicie, że przeciętny farmer amerykański, od starego stanu Maine na wschodzie, aż po dziewicze prerye dzikiego zachodu, o ile nie jest żywiołem awanturniczym, pozostaje właściwie tylko tytularnym właścicielem gospodarstwa, czemś w rodzaju irlandzkiego czynszownika wielkich lordów. Rolę uprzywilejowanych posiadaczy grają wobec niego skutecznie przeróżne kombinacye spekulantów gruntowych, którzy zazwyczaj dotkliwym kapitałem pożyczkowym potrafili obciążyć jego własność tak dalece, że mu jedynie tylko ograniczony "lease" dostał się w udziale.

I tutaj, od farmera zacząwszy, obserwować możemy we wszystkich dziedzinach amerykańskiego przemysłu, handlu, wogóle nawet stanu posiadania, ten brutalny, wszędzie obecny i wszystko gniotący wpływ różnorakich, często bezimiennych a zawsze istotnie panujących spółek finansowych. Tak zwany "niezawisły" handel i przemysł jest w Ameryce złudzeniem, choć złudzeniem często nawet przez sfery rządowe popieranem w przeciwstawieniu do kombinacyi finansowych wielkiego typu. Drobny przemysłowiec, rwący się do wolnej konkurencyi z miliardowemi spółkami, musi faktycznie posługiwać się w tej walce kapitałem pożyczkowym, zaczerpniętym z innej branży tych samych spółek, choć pod inną figurujących firmą. Błędne, lecz żelazne koło "wielkich interesów" wplotło w swoje tryby całe amerykańskie społeczeństwo i w obec tego naturalnego już tutaj stanu rzeczy, wszelkie prawa przeciw monopolom, zakrawa-

ją na farsę. Spółka stała się typem systemu pieniężnego Stanów, a system spółkowy tak się tu potężnie rozwinął, że nie da się on już wtłoczyć w pierwotne koryto indywidualnej własności, nie da się rozbić. Jedyną konsekwencyą stosunków obecnych w sferze wielkich interesów amerykańskich może być albo powtórne opanowanie całego narodowego majątku przez kilku magnatów, albo — upaństwowienie kapitalu.

Pmijając jednak dalszy rozwój finansowego problemu w Ameryce, konstatujemy fakt, że dzięki niemu, najjaskrawiej tu występuje podział społeczeństwa na pracowników i pracodawców, co więcej, stosunek obu tych czynników społecznych najostrzej się tu zaognia. Z jednej strony stają wielcy wytwórcy, wzajemnie od siebie zależni, wzajem się wyzyskujący i zwalczający, zawsze jednak solidarni, gdy chodzi o obronę wspólnych interesów wobec czynnika drugiego, wobec konsumentów, czyli całej masy narodu, a w szczególności wobec pracobiorców, wobec rolników wszelkich kategoryi i dykasteryi.

Interesy pracodawców i pracobiorców zarysowały się tak oddzielnie i sprzecznie w Ameryce, że samą siłą faktu musiały one patronów swoich zgrupować w dwa wrogie sobie obozy, odpowiadając siłą na siłę i solidarnością na solidarność. Przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe, spółki, kombinacye, słowem kapitał i wielki interes, zaczęły pomimo licznych konkurencyi wewnętrznych jednoczyć się na zewnątrz w poczuciu wspólności interesu, polegającego na wyciągnięciu z handlu i przemysłu możliwie największego zysku — naturalnie kosztem publicznego odbiorcy, w szczególności robotnika. Interesy wspólne pewnym gałęziom handlu i przemysłu reprezentują trusty, zarówno co do kontroli cen, jak i jakości produkcyi oraz jej ilości. One również pośrednio wpływają przez opanowanie przemysłu i kontrolę produkcyi — na zapotrzebowanie i cenę pracy. W tym ostatnim zaś kierunku bezpośrednią kontrolę potrafiły pochwycić w dłonie syndykaty przedsiębiorstw przemysłowych, zazwyczaj zwalających się na targu zbytu, lecz solidarnych przy zwalczaniu podaży pracy. Powstały przez to i w tym duchu stowarzyszenia takich konkurujących z sobą przedsiębiorstw i fabryk żelaznych, jak osławiona ze sprawy McNamarów National Erectors Association, lub równie czarno zapisana w annałach pracy zorganizowanej kombinacya, z zasady antyrobotnicza Merchants and Manufacturers Association w Los Angeles.

I nie można powiedzie, że organizacye kapitału były przyczyną organizacyi robotniczych, bo chronologia mogłaby temu

zaprzeczyć. Nie sposób jednak również uważać ich za skutek, za następstwo organizowania się pracy, gdyż skupianie się obu tych obozów wpływało na siebie równomiernie od lat wielu, w historyi świata od całych nawet stuleci. Wynika to z natury rzeczy, zarówno z wrodzonego paryasowi społeczeństwa instynktu samozachowawczego, jak z ambicyi, żądzy bogactw i władzy klasy posiadającej.

Kapitał sam przez się dąży do podboju na zewnątrz wobec nieuprzywilejowanego przezeń społeczeństwa i wewnątrz w sobie samym. Przeciw jego zachłannym tendencyom społeczeństwo mogło ustąpić albo w drodze publicznego ustawodawstwa, albo w drodze bezwzględnej solidarności wyzyskiwanych, imponujących liczbą i wytrwałością. W Ameryce, w państwie uznającem w wysokim stopniu rozwój i swobodę indywidualną, ograniczenie ustawowe wytwórczości, spekulacyi, wreszcie gromadzenia zasobów majątkowych, nie rychło może być oczekiwanem.

To też ludziom podwójnie gniecionym przez ciężar wszelkiego rodzaju monopolów, ludziom będącym odbiorcami drogich produktów przez siebie samych tanio wytwarzanych — pozostawała jedna tylko droga — połączenie się celem dyktowania cen i warunków pracy. Na barki robotników musiał spaść ten obowiązek, narażający ich wprawdzie na walkę uciążliwą i wyczerpującą, będący jednak równocześnie jedyną dźwignią, równoważącą bodaj w przybliżeniu prawo życia ich rodzin, a tem samem dużej części społeczeństwa.

I jedna jest rzecz pewna: gdyby nie było wyzysku pracy robotnika, nie byłoby związków robotniczych w ich dzisiejszej formie ekonomicznej. W każdym jednak razie, bez względu na solidarność lub rozbieżność robotniczą, związki kapitalistyczne zawszeby istniały, gdyż interes wielkiego kapitału tego nieodzownie wymaga, to jest naturalna forma jego życia.

Praca amerykańska jest we wszystkich swoich kwalifikowanych gałęziach przeważnie zorganizowana. Podstawą organizacyi są związki zawodowe lokalne, będące często narodowymi, potem idzie drugi również lokalny, lecz więcej skomplikowany typ organizacyi różno zawodowych związków lokalnych na wielkich centrach przemysłowych, tak zwane federacye miejscowe, wreszcie także różnozawodowe stanowe Federacye Pracy, obejmujące lokalne unie zawodowe wszystkich miast i wszystkich gałęzi przemysłu na terytoryum danego stanu. Lecz federacye stanowe nie są obowiązkową formą zorganizowanej pracy, często stanowe odłamy pewnych unii, nieraz dzie-

siątki i setki lokali unijnych, z pominięciem reprezentacyi federacyjno-stanowej komunikują się wprost z najwyższą w sprawach organizacyi instytucyą, z Amerykańską Federacyą Pracy, przedewszystkiem zaś z międzynarodowymi związkami zawodowymi w Ameryce, tak zwanymi International Union lub International Associations i Brotherhoods.

Całe stany pokryte są siecią zawodowych unii robotniczych a jednak Amerykańska Federacya Pracy według zeszłorocznego raportu wykazała tylko z górą półtora miliona członków, gdy istotnie związki zawodowe w Ameryce obejmują przynajmniej 3 miliony ludzi. Wynika z tego, że prawie połowa unistów zorganizowaną jest poza generalnym związkiem Federacyi i poza wielkiemi organizacyami do niej należącemi. Przyczyniają się do tego w pierwszym rzędzie stosunki lokalne które niejednokrotnie stoją w czasowej sprzeczności z programem unii międzynarodowych, wielką też w tym wypadku grają rolę czynniki rasowe, nawet narodowe. Podobnie jak wschód Ameryki roi się od bardzo licznych i fanatycznie solidarnych związków robotniczych żydowskich |często o charakterze wybitnie benefitowym|, tak samo na wybrzeżach Pacyfiku i w Stanach zachodnio-południowych prosperują kilkunastotysięczne nieraz unie robotników romańskich, nie mających lub nie chcących mieć nic wspólnego z amerykańską Federacyą Pracy ani z międzynarodowemi uniami Stanów.

Istnienie takich organizacyi odrębnych jest dla ogólnej solidarności amerykańskiej pracy niepomyślne, gdyż rozdrabnia siły i osłabia nacisk na kapitał wywrzeć się mający; zarazem jednak jest ono nietylko dowodem, że organizowanie się robocze postępuje jako ruch i pęd żywiołowy, niezależny od sztucznej agitacyi płatnych agitatorów, lecz także stanowi żywy i dodatni przykład wielkiej łatwości łączenia się o wspólnej kulturze i wspólnej narodowości w celach ekonomicznych, robotniczych.

Na tę okoliczność silny nacisk należy położyć nam, Polakom, zazwyczaj średnio tylko przystosowanym do amerykańskiego środowiska. Poziom pracy kwalifikowanej wśród emigracyi polskiej podnosi się z każdym rokiem. Dawny wyrobnik dzienny, robotnik rolny, proletaryusz bez zawodu, po kilkuletniem pobyciu w Ameryce wyszkala się w pewnym dziale fabrycznym i wogóle przemysłowej wytwórczości, a przez to samo staje się dobrym materyałem dla amerykańskich związków zawodowych. Niestety, robotnik polski, bierze na ogół w ruchu robotniczym udział bardzo słaby. Sądząc po stosunkach stanu

Michigan, gdzie na około 300,000 Polaków najwyżej 5,000 jest unistów [głównie dzięki górnikom i robotnikom stolarsko-tokarskim], procent robotników polskich w pracy zorganizowanej jest bajecznie niski. Z jednej strony jest to wypływ niedokładnego uświadomienia o interesach robotniczych, przeważnie jednak stoi tu na przeszkodzie niedostosowanie się Polaków do amerykańskich form organizacyjnych, niechęć do obconarodowych organizacyi, wreszcie wynikła z niegłębokiej znajomości języka niemożliwość wglądania w finansową gospodarkę unijnych lokali i płynąca z tego nieufność.

A wszystkie te nieszczęśliwe okoliczności dadzą się usunąć przez zakładanie miejscowych lokali unijnych narodowych, z samych Polaków zrekrutowanych, polski zarząd posiadających i za pośrednictwem polskich delegatów znoszących się z zarządem unii międzynarodowych.

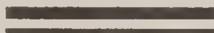
Ktoś powiedział kiedyś, że praca zorganizowana nie może uwzględniać ani rozróżniać narodowości, gdyż ekonomiczny interes zaciera wszelkie różnice i musi tu stać na pierwszym planie. Że nawet unie dążyć mają rzekomo do asymilacyi robotników, do pociągnięcia całej masy amerykańskim pokostem i z tego powodu rzekomo występują przeciw narodowościom i rasom.

W powiedzeniu tem — pewnym oderwanym objawom zewnętrznym podłożono pobudki i tło całkiem fałszywe. Polityka pracy zorganizowanej dąży stale do wzmagania sił przedewszystkiem liczebnych, pozatem zaś w obrębie pewnych unijnych gałęzi także poziomu intelektualnego i moralnego członków — zawsze celem poprawy ekonomicznych warunków bytu robotnika, a tem samem społeczeństwa. Robotnicy niekwalifikowani, z jakich przeważnie składają się "foreignerzy", przyuczeni z grubsza do pracy przemysłowej, używani są chętnie przez pracodawców jako materyał tani i moralnie pod robotniczym względem mało uświadomiony do konkurencyjnej walki ze skalą unijną. Takich ludzi musi praca zorganizowana zwalczać w łatwo zrozumiałej samoobronie, zwłaszcza lokalnej — i to bez względu na rasę czy narodowość.

Lecz niech ci sami ludzie, według fachowej skali unijnej wyszkoleni — a wymagania pod tym względem nie są nadzwyczajne — zwrócą się do organizacyi robotniczych z chęcią wstąpienia w jej szeregi, ponoszenia wspólnej solidarności, obowiązków i walki o wspólne prawa, — gdzież jest organizacya robotnicza, która ich będzie pytać o narodowość?

Najlepszym chyba tego dowodem są obie wielkie organizacye, górnicze zwłaszcza Wschodnia United Mine Workers of

America, gdzieś w Pennsylvanii np. foreignerzy stanowią 70% robotników kopalnianych, a bodaj połowę unistów. Tam unia przez specyalnych organizatorów dobrze płatnych agituje wśród Polaków, Rusinów, Słowaków, Litwinów i Węgrów i przyjmuje ich w szeregi z otwartemi ramionami!



B. S. KAMIEŃSKI.

Duchowieństwo — Prasa — Lud.

(SZKIC.)

Amicus Plato, magis amica veritas...

Na pierwszy Zjazd członków Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich w Ameryce otrzymałem do opracowania niezwykle draźliwy temat: określenia wzajemnego stosunku duchowieństwa, ludu i prasy.

Temat ten nie był dotychczas przedmiotem badań bezstronnych, a w szeregu spraw poruszanych na Zjeździe, nie można było pominąć tej aktualnej kwestyi naszego wychodźtwa.

Rozmawiałem o tem z poważną liczbą naszego kleru i zauważyłem najrozmaitsze zdania.

Największa część zapytywanych bagatelizuje przedmiot, widząc wszystko w różowem świetle miejscowych stosunków parafialnych i przyznając prasę, li tylko jako środek dodatkowy w religijnem wychowaniu ludu.

Pewna część księży, sięgająca głębiej w jądro spraw społecznych, i pojmująca, że religia w życiu narodu polskiego jest czynnikiem pierwszorzędnym, czuje powiększający się rozdział pomiędzy duchowieństwem a ludem i prasą, twierdzi jednak, że w dzisiejszych warunkach, przy braku zupełnej spójni, między klerem polskim, a jednocześnie przy niedostatku prasy, stojącej nie na gruncie adoracyi klerykalnych wydawców, lecz na stanowisku czysto katolickiem a przytem niezależnem od widzimisię pojedyńczych jednostek, — jest wprost niemożebnem zapobiegać złu. Wreszcie są i tacy przedstawiciele kleru, którzy nie wyciągają żadnej konsekwencyi z działalności prasy tz. narodowej, czy postępowej, i z zapamiętałością, mającą, może racyą bytu w czasie pierwszych lat naszego życia emigracyjnego, potępiają wszystko i wszystkich, którzy ośmielają się poddać krytyce, najbardziej rzeczowej i spokojnej, stosunek dotychczasowy duchowieństwa względem ludu i prasy..

Otwarcie mówiąc, temat, który podjąłem się opracować, mógłby sięgnąć daleko, poza ramy referatu zjazdowego, chcąc więc w tych ramach pozostać zatrzymam się tylko na tych prądach, które w ostatnich czasach wpływają w prasie na stosunek wzajemny ludu i duchowieństwa.

Naród polski od pierwszej chwili przyjęcia chrześcijaństwa stanął w rzędzie najgorliwszych synów Kościoła.

Historya nasza notuje fakty, gdzie nawet sprawy polityczne pierwszorzędnej wagi szły na plan drugi, gdy dobro Kościoła wymagało tego.

W końcu utarły się tak słowa papieża Piusa IX: "Polonia semper fidelis", że uważano, w wielu sferach, niedorzecznemi obawy, gdy mówiono o jakichkolwiek prądach antireligijnych, ewentualnie anti-klerykalnych. Tymczasem fakty pokazały co innego.

Ogromny wzrost socyalizmu w Galicyi, mankietnictwo w Królestwie, kościół niezależny w Ameryce, oraz powiększające się z każdym rokiem szeregi t. zw. "katolików dla formy", zaczęły powoli otwierać oczy czynnikom zainteresowanym.

W Ojczyźnie, za morzem, stwierdzono, że główną przyczyną, niezależną nawet, jak w Królestwie, od działaczy, jest niewłaściwy stosunek duchowieństwa do ludu i prasy, i rozpoczęto mimo nader ciężkich warunków, pracę od podstaw tj. od samego duchowieństwa.

Dużo wody upłynie w Wiśle, zanim nastąpi w tym względzie pewne polepszenie stosunków, w każdym razie, jednak widać w starym kraju coraz większą liczbę działaczy wśród duchowieństwa, którzy pojmują, że o ile napaści bezprzedmiotowe na kler powinny być piętnowane ostro, o tyle racyonalna krytyka musi znaleźć u strony interesowanej, nie potępienie w czambuł, ale spokojne rozważenie wszelkich faktów za i przeciw, i wyciągnięcie odpowiedniej konsekwencyi dla poprawy istniejących stosunków.

U nas w Ameryce, rzeczy ułożyły się tak, że ksiądz, stanąwszy na czele parafii uczuł się kierownikiem ludu, nietylko na polu religijnem, ale społeczno-ekonomicznem, a nawet politycznem. Z początku było to nawet konieczne, lecz z czasem, gdy lud zaczął bardziej krytycznie zapatrywać się na sprawy przybranej Ojczyzny, gdy zaczął życie religijne oddzielać od interesów ogólno-społecznych, rozpoczęły się pierwsze nieporozumienia parafialne.

Dalej, raptowny rozwój kolonii polskich wywołał tworzenie się licznych parafii, które w wielu wypadkach były obsadzone przez siły, nader nieodpowiednie, do samoistego, a często pozbawionego zupełnej kontroli działania.

Dziś stan przedstawia się tak, że omal co nie parafia, to inny pogląd na sprawy kościelne i narodowe.

W jednej ksiądz jest "ideałem" parafian, w drugiej przedmiotem największych napaści.

I jest to rzeczą oryginalną, że te, "ideały" są nieraz tylko znakomitymi znawcami namiętności ludzkiej, "potępieni" zaś, w wielu razach — idealnymi kapłanami, lecz nieznającymi praktyki życiowej, a przedewszystkiem, pozbawionymi życzliwych wskazówek i odpowiedniego poparcia ze strony konfratrów.

Duchowieństwo polskie, jak wiadomo, nie ma żadnej spójni między sobą, i jednolitego planu działania. Są dwa stowarzyszenia na Wschodzie i Zachodzie, gromadzące nie wielką ilość członków, płacących składki a liczących "jednostki" działające.

Na ogólne zrzeszenie się zanosi dopiero za inicyatywą ks. biskupa P. Rhodego, który zaproponował w roku 1912 Zjazd duchowieństwa. Brak tej spójni w przeciwdziałaniu lub współdziałaniu w prądach, jakie obecnie przenikają Polonią amerykańską na polu religijnem.

Jak się często w historyi dziejów ludzkich zdarza, ci, których te prądy najbardziej dotykają, lub dotknąć mogą, najmniej się nad tem zastanawiają.

Mało oni czytają o tem, a mając w obrębie swej działalności spokój, nie chcą psuć sobie harmonii duchowej, lub wprost, ze znaną polską lekkomyślnością, machają rękami, mówiąc: jakoś to będzie.

A tymczasem nie będzie dobrze.

W Milwaukee, Wis. p. Michał Kruszka podniósł projekt stworzenia federacyi katolików świeckich, w Nanticoke, Pa. rozpoczęto walkę z władzą kościelną o własność parafialną.

W jednej i drugiej miejscowości prądy te znalazły licznych zwolenników. Tymczasem duchowieństwo nie przedsięwzięło żadnej solidarnej akcyi w tych kwestyach, a próba porozumienia się w Milwaukee, skończyła się smutnym rozdźwiękiem.

Nawet w miejscowościach dotkniętych ruchem liczni księża go lekceważą, twierdząc, każdy w imieniu swojej parafii, że lud jest zanadto wierzący, aby popadł w nieposłuszeństwo prawom kościelnym. Jest to jednak błędne mniemanie.

Lud nasz jest rzeczywiście wierzącym, lecz bardzo powierzchownie, biorącym formę za treść, nie umiejącym w rzeczach religijnych rozumować, a przedewszystkiem dysputować.

Gdy dodamy do tego niski poziom oświaty wśród ogółu, łatwowierność, i śmieszną nieraz mściwość, charakteryzująca zwykle narody niekulturalne; to wówczas trudno się dziwić, że

sprytni frazesowicze, mają tak chętnych słuchaczy, że tworzą się kościoły niezależne, których członkowie są przekonani, że wierzą prawdziwie, że wśród ogółu mają posłuch najniedorzeczniejsze pogłoski, że z każdym rokiem zwiększają się szeregi niewierzących w... nic.

Gdyby mi więc, jako dziennikarzowi-katolikowi, rzucono pytanie, jakie stanowisko ma zająć duchowieństwo polskie w stosunku do ogółu, odparłbym bez wachania, że:

Każdy kapłan powinien nietylko baczyć na rozwój uczuć religijnych otoczenia, ale i narodowych, następnie życiem domowem i publicznem wykazywać wyższość nauki katolickiej nad sekciarstwem i niewiarą.

Kapłan-polak nie powinien uchylać się od żadnej pracy narodowej, i w każdym polaku widzieć, przedewszystkiem, brata, choć nawet błądzącego.

Wówczas taki kapłan będzie podlegać napaściom li tylko ze strony ludzi wyzutych ze czci i wiary.

* * *

Jaki zaś stosunek powinien panować między duchowieństwem a prasą?

Otwarcie mówiąc, tysiąc razy lepszy i ściślejszy, jak dotychczas.

Przyznaję słusznem twierdzenie jednego ze znajomych mi kapłanów, że często na łamach pism naszych, ukazują się rzeczy o duchowieństwie, nienadające się do druku, i że dużą krzywdę robią sobie księża polscy w Stanach Zjednoczonych, iż dotychczas nie mają swego własnego pisma, na łamach którego mogliby nietylko pracować naukowo, ale wymieniając wzajemnie zdania w sprawach parafialnych i społecznych,, działać stokroć spokojniej i wydatniej jak dotychczas.

Pismo takie jest nieodzownie potrzebnem dla naszego duchowieństwa, które, otwarcie mówiąc, posiadając wszelkie dane do pracy na polu naukowem, zaniedbuje się.

Nie mając zaś odpowiedniego organu, wiele bardzo cennych myśli, poglądów i zdarzeń życiowych, które mogłyby być nieocenionymi dokumentami w historyi, nietylko, Kościoła polskiego na emigracyi, ale i samego wychodźtwa, duchowieństwo puszcza w niepamięć, nie zastanawiając się, jak wielką krzywdę czyni dla całego narodu.

W ostatnich czasach pisano w prasie, że podobnego rodzaju miesięcznik zacznie wychodzić.

Następnie muszę zanotować brak współpracownictwa w prasie miejscowej ze strony księży.

Na kilkuset kapłanów polskich, niewiem, czybym doliczył się **dziesięciu** stale piszących.

Pojmuję, że nie każdemu danym jest dar władania piórem. Lecz każdy ksiądz, już z powodu swego stanowiska mógłby dawać prasie nieocenny materyał statystyczny, masę faktów bieżących i poruszać wiele naglących potrzeb otoczenia, wśród którego pracuje.

Tymczasem na tem polu widzi się zupełną obojętność, a przecież jest to chyba jednym z najważniejszych obowiązków kapłana-obywatela.

Wogóle duchowieństwo nasze zajmuje dość oryginalne stanowisko względem prasy.

Widziałem plebanie, gdzie nie było pisma polskiego, spotykałem księży negujących zupełnie prasę naszą, rozmawiałem z kapłanami którzy okazywali dziwny indyferentyzm w najrozmaitszych naszych zagadnieniach społecznych i narodowych. Znam duchownych, którzy nie prenumerują miejscowego dziennika katolickiego, poznałem przedstawicieli kleru, którzy od prasy żądają chwalby duchowieństwa, lecz, broń Boże, słowa najbardziej rzeczowej krytyki, są wreszcie i tacy co tolerują w piśmie mięszanie z błotem nienawistnych sobie osobistości ze sfery kapłańskiej, a grożą bojkotem, gdy się zatrąci ich własne "ja".

Następnie duchowieństwo z nader małym wyjątkiem niedocenia siły prasy, i nie uznaje potrzeby być najenergiczniejszym kolporterem w rozpowszechnianiu pism i książek.

Nie ma więc się co dziwić, że zastępują go w tej pracy inne, często bardzo nieodpowiednie osoby.

Zaznaczam, że mamy wśród kleru, jednostki, w stosunkach prasowych idealne, ale, niestety, są to, dotychczas, tylko jednostki.

A teraz trzeba się zastanowić nad stosunkiem prasy do duchowieństwa.

Prasa nasza, z wyjątkiem międzynarodówek socyalistycznych lub pornograficznych, drukowanych po polsku, jest narodową, i jako taka nie może występować otwarcie przeciw wierze, choć niektórych przedstawicieli pióra bierze na to wielka chętka.

Za to część organów naszych używa w polemice z przedstawicielami kleru takich wyrażeń i takich sposobów, że szanując każde przekonanie, muszę taką polemikę stanowczo potępić.

Przedewszystkiem brzydzę się insynuacyą, a tej widać na łamach pewnych pism całe szpalty.

Następnie, nie oponując racyi opisywania faktów niewłaściwego postępowania duchowienstwa, uważam za niezwykle szkodliwe dla samej sprawy, robienie z takich faktów — sensacyi.

Rzucam wprost pod adresem tych pism pytanie:

Dlaczego, gdy stanie przed sądem polak, oskarżony o pijaństwo, to sprawozdawca pisze N. N. aresztowany za pijaństwo został skazany itd.

Gdy złapią złodzieja, lub zbrodniarza, pismo notuje:

Złapano na uczynku kradzieży N. N. itd.

Niech zaś spełni coś nielicującego z prawem, lub etyką, ksiądz, to pisze się o tem tak: klecha N. N. znany ze swej łapczywości, zbrodniczych instynktów, niegodziwości itd. zrobił to i to.

Co za cel ma taki system?

Czy prasa tego pokroju nie odczuwa całego ogromu odpowiedzialności za takie postępowanie?

Czy ona nie pojmuje, że przeważna część czytelników tych organów, najidealniejszego kapłana przy pierwszem lepszem nieporozumieniu na tle osobistem, obdarzy temi samemi epitetami?

Wogóle prasa powinna być "moderatorem" w nieporozumieniach pomiędzy klerem a ludem, a przedewszystkiem powinna wyrobić sobie powagę i wpływ w tych nader drażliwych sprawach, o których tak często rozpisują się pewne pisma, a o czem reszta organów naszych, wskutek właśnie absolutnego braku wpływu, i możności wypowiadania swoich przekonań, milczy dyskretnie.

Zmarły burmistrz miasta Wiednia Lueger, powiedział raz, że największą krzywdę społeczeństwu chrześcijańskiemu przynoszą dziennikarze, którzy pracując w prasie chrześcijańskiej, nie są chrześcijaninami.

A jeden z najznakomitszych kaplanów polskich wyrzekł te znamienne słowa:

"Prasa katolicka stanie się silną wówczas, gdy będzie miała możność wypowiedzenia prawdy, nawet tym, którym się zdaje, że są ponad krytyką".

. . . .

Nikt z nas nie ma prawa posądzać drugiego o brak patryotyzmu, ale każdy co Ojczyznę kocha nie frazesami, lecz czynem, musi żądać by w pracy nad odrodzeniem Macierzy naszej, przyjmowali udział wszyscy.

Ci, którzy twierdzą, że ksiądz działać powinien tylko w kościele, popełniają poniekąd rabunek, obierając obywatela z praw obywatelskich.

Polska kapłanów swych wstydzić się nie potrzebuje.

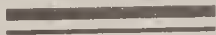
Naród, który wydał Skargów, Kordeckich, Staszyców, Konarskich może śmiało udowodnić faktami, że duchowieństwo polskie stawało niejednokrotnie na świeczniku cnót obywatelskich.

Wśród Polonii Amerykańskiej mamy, również tylu zacnych przedstawicieli kleru, że brak im, przypuszczam, tylko impulsu jakiegoś zewnątrz, by zrozumieli potrzebę zespolenia się większego z prasą i wejściem między lud, nietylko, jako kapłani, ale jako obywatele — tylko nie z gromami, nie z protestami, lub interdyktami, lecz z gałązką oliwną pokoju, z dłonią wyciągniętą naprzód, z sercem miłości pełnem...

Wierzę najmocniej, że wówczas, i pewna część prasy zmieni kierunek i lud odetchnie.

My zaś skupieni pod sztandarem naszego towarzystwa zawołamy jednogłośnie:

"Chwała na wysokości Panu,
A na ziemi pokój ludziom dobrej woli"!



ZAKOŃCZENIE.

Od Zjazdu, do chwili, w której ostatni arkusz tej książki idzie pod prasę upłynęły dwa miesiące, a sprawy na nim uplanowane i uchwalone znacznie już naprzód zostały posunięte.

Zarząd Towarzystwa zrobił przedewszystkiem co tylko mógł w celu nawiązania ściślejszych stosunków z Macierzą. Pisma nasze pomieszczają stale ogłoszenia adresu dwóch instytucyi wychodźczych: Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie, |Radziwiłłowska 21| i Opieki nad Wychodźcami w Warszawie |Erywańska 2|, głównie w tym celu, aby wybierających się z powrotem do Polski tam skierować po informacye.

Do zarządów tych instytucyi zwróciliśmy się z ofertą dalszych usług wszystkich pism w Towarzystwie reprezentowanych i jest nadzieja, że raz nawiązane stosunki będą się stale zacieśniać.

Zwrócił się też Zarząd do bratnich towarzystw literackich i dziennikarskich w Polsce z zamiarem nawiązania jak najściślejszych stosunków.

Nie wiedzieliśmy jeszcze wówczas, że w Ojczyźnie naszej dokonano już dzieła doniosłości pierwszorzędnej, że towarzystwa literackie i dziennikarskie z wszystkich trzech zaborów zorganizowały się już w jeden Związek Dziennikarzy Polskich, tworząc w ten sposób pierwszą polską organizacyę łączącą widzialnie i wyraźnie poprzedzielany kordonami Naród Polski.

I właśnie w odpowiedzi na nasze listy pod adresem poszczególnych towarzystw literackich i dziennikarskich, we wszystkich trzech zaborach nadeszła ta radosna i tak swem znaczeniem doniosła informacya, a nadeszła wraz z życzeniami dla naszej instytucyi i zaproszeniem w szeregi.

Listem podpisanym w imieniu Zarządu . Związku przez Franciszka Rawitę-Gawrońskiego, jako prezesa, Zygmunta Wasilewskiego jako skarbnika i Bronisława Laskownickiego, jako

sekretarza, — Związek ten odzywa się do nas w następnych słowach:

"Wiadomości o stworzeniu przez Was pierwszej tak bardzo pożądanej i potrzebnej organizacyi polskiej w Stanach Zjednoczonej Północnej Ameryki, wywołały u nas radosne echo. Organizacyę tę wita dziennikarstwo starego kraju tem goręcej, iż zdaje sobie sprawę z jej wielkich celów i zadań już nietylko wobec polskiego stanu dziennikarskiego, którego honor, czystość i doskonałość nam wszystkim jednako leży na sercu, ale wobec naszej sprawy narodowej, której "Polskie Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy w Ameryce" może i powinno oddać usługi niesłychanej doniosłości. Wszak chodzi o czwartą dzielnicę Polski, o trzy miliony z górą Polaków, których Macierz nietylko nie powinna stracić, ale winna zyskać w nich nową życiodajną siłę, potężną podporę w nieustającej na chwilę, usque an finem walce o zdobycie na nowo praw Jej wydartych, o lepszą, jaśniejszą w przyszłości dolę.

A tutaj właśnie dobre, stateczne i rozumne dziennikarstwo polskie w Ameryce ma przed sobą olbrzymie pole pracy i wielkie a piękne zadania. Wiemy, iż ta właśnie a nie inna myśl kierowała dzielnymi założycielami Związku, o czem zresztą świadczy wymownie przebieg pierwszego zjazdu polskiego dziennikarstwa w Ameryce i dlatego z dalekich stron szlemy Wam szczere, serdeczne, gorące życzenia pomyślności w Waszej pracy i jak najobfitszych z nich skutków.

Przedzieleni morzami, bliscy jednak sercem i duchem, pracujmy wszyscy, bez względu na różnicę przekonań politycznych, ożywieni jedną myślą o jednako przez wszystkich umiłowanej Ojczyźnie, wspólnym celem: Jej wyzwolenia!"

W dalszym ciągu następują informacye o formie organizacyjnej Związku, do którego w chwili obecnej należą towarzystwa następujące: "Towarzystwo dziennikarzy polskich we Lwowie", obejmujące dziennikarzy polskich w Galicyi, "Towarzystwo dziennikarzy i literatów" w Warszawie, "Komitet warszawskiej Kasy przezorności i pomocy literatów i dziennikarzy" w Warszawie, i Towarzystwo literatów i dziennikarzy "na Rzeszę niemiecką", i następnie formalne zaproszenie do szeregów, oraz o reprezentacyę na Zjazd, który się odbędzie w Krakowie, w dniach 6 i 7 stycznia 1912 roku.

Zarząd Tow. naszego, komunikat ten przyjął z największą radością i w obec faktu, że już Zjazd o łączności naszej z Macierzą zadecydował, natychmiastowe przystąpienie do Związku uchwalił, a członkowie Towarzystwa osobnym okólnikiem zostali powiadomieni o warunkach i formie organizacyi.

W ten sposób Towarzystwo nasze położyło pierwszy fundament pod rzeczywistą łączność z Macierzą, skupia bowiem w sobie pierwsze grono ludzi organizacyjnie z ogólno-polską organizacyą związanych.

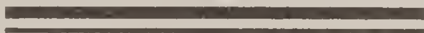
* * *

A i na innych polach prace nasze już znacznie naprzód są posunięte.

Nasze "biuro prasowe" funkcyonuje coraz to sprawniej i z większą dla interesowanych korzyścią. Gotowe są też, w głównych zarysach, plany ankiety szkolnej i robotniczej na koszt których funduszów ma dostarczyć rozsprzedaż tego właśnie pierwszego wydawnictwa naszego i wiele innych spraw i projektów, które, mamy nadzieję, że przy pomocy członków naszych i innych ludzi dobrej woli, będą już w najbliższym czasie mogły być urzeczywistnione.



SPIS RZECZY.





ZARZĄD TOWARZYSTWA LITERATÓW I DZIENNIKARZY POLSKICH W AMERYCE PÓŁNOCNEJ:

Stanisław Osada, Prezes;
Bronisław S. Kamieński, Wiceprezes;
Iza Pobóg, Sekretarz;
Stefania Laudyn, Skarbnik;
Aleksander Karczyński;
Władysław J. Koniuszewski.

Adres Biura Zarządu:
Stanisław Osada, 1115 N. Leavitt st., Chicago, Ill.



